



HUCAŁO
DOMOWE OGNISKO

JEW HEN HUCAŁO

Domowe ognisko

TŁUMACZYLI
ZOFIA I STANISŁAW GŁOWIAKOWIE

CZYTELNIK • WARSZAWA 1971

Tytuł oryginału ukraińskiego
РОДИННЕ ВОГНИЩЕ

Obwolutę i okładkę projektowała
ALICJA WAHL

*„Czytelnik”. Warszawa 1971. Wydanie I.
Nakład 8290 egz. Ark. wyd. 7,7; ark. druk. 12,5.
Papier dr. m/gł. kl. IV, 65 g, 92×114 z Kluczy.
Oddano do składania 5 XI 1970. Podpisano do druku
25 V 1971. Druk ukończono w czerwcu 1971 r.
Drukarnia Narodowa w Krakowie
Zam. Wyd. 660; Druk. 831/70. U-92. Cena zł 10.—
Printed in Poland*

Hanka mieszka na Chacapetówce — jest taki kąt w ich wsi. Kąt jak kąt — do szosy nie tak bardzo daleko, i las za pagórkami, do dnia można się uwinąć tam i z powrotem po wiązkę suszu, a nawet dwa razy, jakby tylko starczyło sił. I pole do samiotkiego ogrodu dochodzi. Rzeka też niedaleko, można naciąć trzciny czy sitowia, wymoczyć konopie, jak trzeba. Lubi Hanka swoją Chacapetówkę, nigdzie by się stąd nie przeprowadziła, choćby ją kto prosił. Czy kto jeszcze we wsi ma tak blisko do glinianek, jak ona? Nikt, bo glinianki też są zaraz za jej ogrodem. Pewno, że wygoda to niewielka, ale czy to dziś tak dużo tych wielkich wygod? Jedna malutka wygoda, druga jak szczypta, trzecia jak ziarenko maku — ale jak się to wszystko złoży razem?

Nie każdy też ma pole zaraz za chałupą. Po zbiorach zawsze można tam jeszcze znaleźć jakiś kłosek, a kłosek do kłoska — to już dwa. Albo, powiedzmy, wymyją deszcze jakiś pozostawiony ziemniak, buraczek czy marchewkę, też można coś dla siebie uzbierać. Bo kiedy idzie człowiek przez pole, grzech byłby nie schylić się i nie podnieść, przecież tak czy owak przepadnie. Dawniej sadzono tu nawet kawo-

ny i pomidory, ale już od zaprzeszłego roku przenieśli je dalej od wsi, żeby dzieciśka mniej robiły szkody. Przenieśli, to przenieśli, tyle że przykrość dla dzieciarni, ale ziemia nie leży odłogiem. I kołchoz ma z niej pożytek, i mieszkańcy Chacapatówki też coś niecoś skorzystają.

O Hance trudno powiedzieć, jakiej jest tuszy, bo zawsze chodzi tak ubrana, że nie sposób zmiarkować. Spódnice nosi długą, że prawie nad ziemią majda, a tak sutą, że jak jest zimno, to siada Hanka na trawie, okuta nią nogi i już nie marznie. Jej bluzka i kaftanik są stareńkie i do cna znoszone. Inna kobieta ma coś do ubrania od święta, stara się wyjść między ludzi w czymś nowszym i czystsiejším, a Hanka, czy świętek, czy piątek, zawsze w tym samym. Co prawda ma pantofle, które nie byle jak szanuje. Miała je na nogach trzy, może cztery razy, jeszcze jak dziewczyną była, ale od tej pory nijak nie odważy się ich włożyć. Z każdym rokiem wydają się jej piękniejsze i szykowniejsze — włoży, a ludzie zaraz zaczną mleć ozorami, że nie darmo tak się wyparadowała, już pewno ma kogoś na oku. Więc żeby nie dawać żeru ludzkim językom, niech sobie te pantofle leżą spokojnie, od leżenia się nie zestarzeją, a jak nawet nie doczekają się swojej godziny, też niewielkie nieszczęście.

Miała Hanka matkę, co wojnę przeżyła, mogłaby jeszcze żyć i żyć, bo nie była znowu taka stara, ale śmierci nie udobruchasz, nie powiesz, żeby przyszła później. No i przybyła na ich cmentarzu jeszcze jedna mogiłka i krzyż z napisem na blasze: „Tu spoczywa sługa bo-

za Stepanida Kiryłówna Manzos. Niech jej ziemia lekka będzie. 1890—1946”.

Mąż Hanki zginął na froncie. A że wiadomienia o jego śmierci nie dostała, długo jeszcze rozsyłała na wszystkie strony zapytania, chodziła do rejonowej komisji wojskowej, pisała do okręgu, aż wreszcie jej powiedziano, że mąż zaginął. Nie dostała nawet do ręki papierka, w którym byłoby wypisane — atramentem między drukowanymi literami — że na pewno zaginął. Hanka nie płakała, może dlatego, że była już tak sterana, a może wypłakała już wszystkie łzy, czy same wyschły. Tylko jakby w niej coś pękło z przejmującym bólem, i tak już pozostało. Nieraz nachodził ją smutek, ale nawet posmucić się nie było kiedy, nie miała czasu ani możliwości — trzeba jakoś żyć, dawać sobie radę, z dziećmi na dodatek.

— Żebym was nie musiała karmić — mówiła do nich, kiedy ją brała złość, a złościła się niezbyt często — to niechbyście sobie żyli, co mi tam, ale co dzień dzioby rozdziawiacie, co dzień trzeba tam coś wrzucić.

Dzieci słuchały tego w milczeniu. Cała trójka miała mizerne, żółte twarze, w których widać było tylko oczy — niebieskie jak barwinek. Po ojcu mają te oczy, a po niej — nie włosy, ale kosmyki.

— I czemu wy jesteście takie spokojne? Czemu się nie kłóćcie, nie bijecie się, nie płaczecie? Narobiłybyście harmideru, to może i mnie lżej by na duszy było, a to cicho w chałupie jak na cmentarzu.

— Czego wy, mamó... — zaczynał i nie kończył najstarszy Iwan.

— No, no, pokaż matce, co potrafisz! — podjudzała syna.

Ale Iwan tylko wyciągał głowę w ramiona i siedział nastroszony jak sowa.

— O właśnie, tacy wy jesteście! Nawet matce nie umiecie się sprzeciwić. A jak trzeba będzie z ludźmi się użerać, to co wtedy? Albo mnie pomóc? Dlaczego wdaliście się w ojca, a nie we mnie? Oj, źle wam będzie w życiu, a ja przy was — jakbym pierogi z piołunem jadł!

Dzieci milczały.

Na Chacapetówce tacy są ludzie, że nie kładź nikomu palca w gębę, bo odgryzie. Tu nic się nie dzieje, żeby inni o tym nie wiedzieli. Sprawi ojciec nowe butki córce, wyjdzie dziewczyna w nich na ulicę, a nazajutrz już wszyscy o tym wiedzą, już ją biorą na języki, że widać nie bez przyczyny tak się wystroiła. Niech się tylko zacznie jakaś kłótnia, wszyscy się zaraz wtrącają i potem nie tak łatwo się pogodzić — trzeba, żeby się wszyscy pogodzili. Tu każdy z czymś się kryje. Ten ze swoją radością, tamten ze swym bólem, jeden z niepowodzeniem, inny ze szczęściem. I wszyscy uważają, że inaczej być nie może, że inaczej zginęliby marnie. A nikt z własnej woli nie chce ginąć marnie.

Ot, chociażby taka Klara Stefanyszyn. Trzydziestka już jej dawno stuknęła, do czterdziestki jeszcze nie dobiła. Przed wojną może tam który z wsiowych chłopaków i chodził do niej — nikt tego nie pamięta, a może nie chce pamiętać. A jak w ich Zbarażu stał front, to

Klara niejednego Niemca gościła u siebie, jeszcze teraz nosi darowane szmatki. Przyszli nasi — czyż nie związała się z sierżantem-oczajduszą? Kiedy odchodził ze swoją jednostką, obiecał, że wróci, dlatego nikt nie tykał Klary, trochę się ludzie bali. Co prawda sierżant nigdy nie wrócił — może spotkała go w boju przeznaczona mu kula, może on spotkał inną kobietkę i koło niej się zaczepił, a Klara i bez niego nie przepadła. Przyjeżdżał do niej z rejonu taki solidny mężczyzna w skórzanym płaszczu — smarował go smalcem, żeby błyszczał. Jakiś zaopatrzeniowiec. Klara mówiła, że chce się z nią żenić, ale czy się rozmyślił, czy przerzucono go do innego rejonu, dość że przestał przyjeżdżać. Za to Klara przeniosła się do miasta, a kiedy przyjeżdżała do wsi, umalowana, z miejską fryzurą i z torebką, mówiła do Hanki:

— Jak ci się żyje?

— A tak sobie. Żyję, chleb żuję! — odpowiadała opryskliwie Hanka. Nie bardzo lubiła Klarę i wcale się z tym nie kryła.

— No tak — przytakiwała Klara poprawiając włosy skręcone w drobne pierścionki. — Dzieciska obsiadły cię jak szarańcza, one ciebie zgubią.

— Zgubić nie zgubią, bo mnie nie lubią.

— A cóż one lubią?

— Co? Pstro.

Ale Klara nie obrażała się, w mieście nauczyła się składać usta w serduszko.

— A ty — mówiła łagodnie — zostałeś taka sama, jak byłaś.

— A byłam zła, co?

— Nie, dlaczego... Tylko mogłabyś je porzucić albo oddać do przytułku. Same wyrosną, bez ciebie.

— Alboż to one matki nie mają, żeby szły do przytułku?

— Ale ta matka ma tylko jedno życie. Pojechałabyś ze mną do miasta. Tam byś się przyodziała, odkarmiła. Toż strach na ciebie patrzeć.

— To nie patrz!

— Czasem coś takiego powiesz... Przecież kiedyś trzymałyśmy się razem, razem chodziłyśmy z chłopcami...

— Ja już swoje odchodziłam. Mój chłopiec w ziemi, a ja — po ziemi.

— Otóż to, że po ziemi... Mogłabyś mieć zarobek, i do kina pójść, i co dzień mieć herbatę z bułką na śniadanie.

Ale Hanka nie chciała dłużej z nią rozmawiać, odwracała się i odchodziła. Będzie się zadawać z Klarą, to jeszcze i ją zaczną uważać za taką samą jak Klara. A kto by chciał, żeby o nim źle myślano?

Już czego jak czego, ale tych dobrych rad tyle się Hanka nasłuchiwała, aż dziw, że jej uszy od nich nie spuchły. Kto tylko ją spotka, kto tylko zajrzy do chałupy, każdy pcha się z radami. Jakby Hanka własnej głowy nie miała! Pewno, że dobrze jej życzą, ale cóż, rada to tylko pocieszenie, i to na krótką chwilę. A już najbardziej szcudra jest stara Bachurka. Przeważano ją tak, gdy była jeszcze mała, i jak przylgnęło do niej to przezwisko, to już na całe życie. Jest malutka i zaszuszone, istny grzybek. Ma ładne imię, Dunia, ale każdy, stary czy mały, w oczy i poza oczy nazywa ją Bachurką.

— Wiesz, co ci powiem, Hanko — mówi Bachurka i patrzy tak, jakby miała jej podarować czerwonońca.

— A Bóg was wie...

— Trza ci iść za mąż.

Hanka chciałaby się roześmiać, ale drze ją w gardle od tego gadania, jakby jej tam ktoś kłujący wiecheć wetknął.

— Zaraz jutro wyskoczę... dookoła chałupy w prysiadach.

— E tam, żartujesz. A ja ci powiadam, bez chłopca jak bez głowy. Choć czasem i uderzy, choć połaje, to przecież jakieś portki kręcą się po obejściu, i to już dobrze.

— Teraz takich jak ja na kopy. Kto na mnie spojrzysz?

— Spojrzeć, to spojrzysz, ale i sama powinnaś... Ot, taka Sońka Twerdostupicha...

— Ja, babko, nie jestem Sońka. Mam jeszcze sumienie. I nie myślę odbijać cudzych żywicieli.

— Odbijesz jednego i więcej nie będziesz.

— Taka jesteście mądra, taka rozsądna, to dlaczego sobie jakiegoś nie odbijecie?

— Przede mną jedna już tylko droga... A tyś jeszcze młoda. I masz dzieci. A chałupa całkiem się wali, co jeden bok podeprzesz, to na drugi się chyli, jak pijana.

— A pijana, pijana. I wiatrem poszyta, nie snopami.

— Nie mogłabyś to pójść za Dudnyka? Że nie ma jednej nogi, to nie takie nieszczęście, ale za to jaki majster! I charakter ma...

— Ależ z niego próchno się sypie!

— Niech się sypie, a ty weź miotełkę, obmieć

naokoło i już nic nie widać. On buty szyje i łata, umie zrobić dziezę albo i trumnę. Nie wozi to co niedziela grabi na sprzedaż? A kociuby? Kosze też plecie, i sieci na ryby.

— Plecie, ale nie dla mnie. Ma starą matkę...

— Oj Hanko, Hanko, jak będziesz miała takie miękkie serce, nie będzie ci dobrze. Teraz tylko takie jak Sońka jakoś żyją.

— Nie chcę pić cudzych łez, nie mówmy już o tym.

— Wspomnisz kiedyś moje słowo...

Bachurka tak się zafrasowała, że zdawało się, smutek zaraz tryśnie z jej oczu. Taki stary grzybek, purchawka, dziś, jutro sama w czarną ziemię się obróci, a patrzcie, jeszcze o niej, o Hance, myśli. Chciała jej za to podziękować, ale nie mogła, czuła się rozdrażniona, stara rozdrapała jej nie zagojone rany.

— Co tam, babko, nie martwcie się — powiedziała. — Jeszcze wypijecie na moim weselu, boć nie ku starości mi idzie, a ku młodości.

— Śmiej się, śmiej ze starej.

I Bachurka poszła. A Hanka rozmyślała o różnych rzeczach. Pewno, że Sońka ma niedobrą sławę u ludzi, bo odebrała męża żonie i ojca małym dzieciom. I co to za chłop — taka wyleniała mizerota, w dodatku pijak, samochwał i łgarz. Dalibóg, tyle tylko, że te męskie portki, bo chyba nic więcej. A przecie Sońka umie trzymać go w rękach. I choć źle o niej mówią, chociaż niejeden przeklina, są i tacy, co ją szanują. A tak! Bo potrafiła znaleźć dla swoich dzieci może i nie ojca, ale zawsze jakieś oparcie.

Któregoś dnia przylatuje Bachurka jak wiedźma na miotle — zdyszana, z kosmykami wyłazającymi spod chustki. Otwiera usta i dyszy tylko jak ryba, słowa nie może powiedzieć. Hanka podała jej wody, żeby się stara uspokoiła.

— Idź do gminy — wymówiła wreszcie Bachurka.

— Wzywają mnie?

— Idź do gminy. Posłuchaj, co ci powiem... Tam zjawił się kowal, jakiś obcy. Niech go do ciebie przyślą na mieszkanie.

— A czy ja jestem głupia, żeby go brać? Jeszcze sama mam lecieć i prosić?

Bachurka już się wysapała.

— Przyjmą go do kuźni i przecież kołchoz będzie coś na niego dawał? I zboże, i słomę... Nietutejszy!... Może i na zawsze zostać.

Hanka poszła. Ale już z ulicy zawróciła. Umyła się, przyczesła. Chciała nawet włożyć pantofle, ale czym prędzej odpędziła od siebie tę myśl — gdyby chociaż wieczór, żeby mniej ludzi widziało, ale tak pośród białego dnia!

Przed gminą — glinianą chałupą o trzech oknach — stały dwie kobiety. Hanka podeszła śmiało, nie zmiarkowawszy zrazu, po co one tam sterczą. A kiedy zrozumiała, było już za późno.

— Jest sołtys? — spytała pozdrowiwszy tamte.

— O, i ona do sołtysa — z krzywym uśmiechem odezwała się Katria Muraszko, tęga dziewczucha, która na kartoflach rosła lepiej, niż niejeden by rósł na drożdżach.

A ciotka Gusta zerknęła tylko ostro i nieprzyjaźnie na Hanke i odwróciła się bez słowa.

— Jak nie ma, to poczekam — powiedziała Hanka, nierada już, że posłuchała Bachurki i przyszła. Bo chyba się spóźniła, nie jest pierwsza w kolejce.

Kobiety milczały, odwracając się od siebie. Wreszcie Katria nie wytrzymała — a taki miała cięty język, że nikt się jej jeszcze nie odciął.

— A wy po coście przyszli, co? — zwróciła się do Hanki. — Kowala do was nie pošlą, nawet o tym nie myślcie.

— Właśnie że pošlą!

Katria roześmiała się, patrząc z lekceważeniem na jej posiniaczone bose nogi, na czerwona jak cegła twarz.

— Wy go przecież nie nakarmicie, nie obrzędzicie, bo dużo maku nasialiście i tego maku trzeba doglądać. Po coście tu przylecieli? To ja wam powiem, po co. Żeby go objadać!

— A ty?! — zbladła Hanka. — A ty po co? Ty suko!

— Nie jestem suka — spokojnie zaprzeczyła Katria. — O tym wszyscy wiedzą. I kowala pošlą do nas, bo u nas jest gdzie się przespać i wyżywić też potrafimy.

W Hance aż się wszystko gotowało, ale się hamowała. A Katria mówiła dalej:

— Do was nie pošlą, i on sam nie zechce pójść, bo siedzicie na zakazanej Chacapetówce, a nasza chałupa koło kuźni.

— Moja też koło kuźni — cicho dorzuciła ciotka Gusta.

Gruba Katria wzruszyła na to ramionami, ale nic nie powiedziała. Bo do Gusty najprędzej jeszcze mogą pošłać — mieszka sama i dom ma czysty, obszerny.

— Ale ja mam dzieci! — wyrwało się Hance i zaraz pożałowała tych słów.

— To co z tego? — podskoczyła od razu Katria.

— To co z tego? — nie powstrzymała się i ciotka Gusta.

A Katria już trzepała:

— Toż one go zjedzą! Nie będzie miał przy nich spokojnej chwili. Już lepiej żywcem człowieka pogrzebać!

Tymczasem nadszedł sołtys Semen Bałko z jakimś nieznanym wążaczem w zielonej, wojskowej bluzie, wypłowiałej i znoszonej, w kaszkieciku z obwisłym daszkiem. Ten wążacz był chudzina, a ręce miał takie długie, że do kolan sięgały. Wyposażyła go też matka w skuły, jakby mu tym chciała wszystko wynagrodzić.

— A-a, gwardia — rzekł Bałko na widok kobiet. — Coście się zleciały? — Jego zawsze pochmurna twarz, jakby wiecznie był z czegoś niezadowolony, jeszcze bardziej spochmurniała.

— Wywołujcie nas pojedynczo — wyrwała się Katria. — Po kolei.

— Przyszłyście wszystkie w jednej sprawie — Bałko leciutko się uśmiechnął — czy każda w innej? Wy, Hanko, w jakiej?

Kobieta przestąpiła z nogi na nogę. Już się domyślała, że ten wążacz to chyba kowal.

— Jeśli władza nie ma nic przeciwko temu — odezwała się — to może by tak do mnie posłać kowala na kwaterę?

Katria Muraszko wyskoczyła naprzód, odtrąciła ją ramieniem.

— Matka mówiła, żeby do nas.

— Wy też w tej sprawie, ciotko Gusto?

Ciotka Gusta skinęła tylko głową. Bałko łypnął na kowala, ten na Bałkę.

— Widzisz, jak się o ciebie w naszej wsi targują?

— Jak w niedzielę na jarmarku — dodał kowal.

— Wracajcie do domu — powiedział Bałko do kobiet. — Idźcie, bo my już mamy i wikt, i kwaterę.

— Ach tak! — szepnęła tylko Katria. Zaczerwieniła się nagle jak burak i szybko odeszła.

Za nią ruszyła i ciotka Gusta. Tylko Hanka nie spieszyła się z odejściem. Bałko spojrzał na nią pytająco. Niby — na co czekasz? Nie rozedrę przecież człowieka, żeby i tobie trochę udzielić!

— Chciałam jeszcze spytać — zaczęła i urwała, bo słowa więzły jej w gardle, jakby kto zauroczył. — Otóż... jakby ktoś jeszcze trafił do wsi, to może by tak... do mnie, co?

— I skąd ta ochota? — sołtys mrugnął do kowala. — Czy ty czasem nie zamysłasz machnąć się za mąż? Przecież jesteś dzieciata.

— Gdzie mnie do tego! Niech już takie sprytne jak Kat'ka... A do mnie tylko na kwaterę. Zawsze byłby jakiś przydział słomy czy ziemniaków, albo grochu.

— To po to przyszłaś? — udał zdziwienie Bałko. I do kowala: — A myśmy myśleli... No dobrze. Idź już, Hanko.

Ale Hanka nie ruszyła się z miejsca.

— To jak? Nie zapomnicie? Zrobicie tę łaskę?

— Na pewno — obiecał Bałko. I już wcho-

dząc do gminy pokręcił głową i rzucił: — Ech te baby, baby!

Hanka wracała do domu i wcale nie czuła wstydu. Bo czego miałyby się wstydzić? Nie chciała przecież nic ukraść ani nikogo oszukać. Po drodze spotkała Sońkę Twerdostupicę, szła ze sklepu z pełnym koszykiem, przewalając się z boku na bok. Sońka skrzywiła w złośliwym uśmiešku te swoje wargi podobne do glist i spytała:

— Co tam w gminie przydzielają?

Nic innego, tylko Kat'ka już rozniosła. Bo ciotka Gusta nie z tych, w każdym razie nie powinna.

— Słyszałam, że cudzych chłopów będą zwracać żonom, a poza tym — nic nie przydzielają. I poszła swoją drogą.

Z sąsiadami Homozami można by sto lat przeżyć i nie pokłócić się. Ale gdybyż to tylko od HANKI zależało! Stary Homoz to nie człowiek, to istny obraz: przystojny, postawny, z długą brodą, chodzi wspierając się na lasce z mosiężnym okuciem. Ta laska to tylko tak, dla ludzkiego oka, bo stary Homoz to jeszcze chłop krzepki. Bykowi co prawda rogów już nie skręci, ale przytrzymać to jeszcze przytrzyma. Bo koło ziemi się nie narobił. Od kiedy ludzie pamiętają, zawsze przy cerkwi się kręcił; śpiewał tam, służył popom przy ołtarzu, aż się wreszcie dosłużył cerkiewnego starosty. Wszystkie baby do niego biegają, bo niedawno ich popa przepędzono czy też odwołano, nowego jeszcze nie ma, a pobożni przecież nie wyginęli. I Homoz

ma mir i poważanie we wsi. Nie tylko zresztą poważanie. Kiedy wraca z pochówku, nigdy nie idzie z pustymi rękami, zawsze z jakimś woreczkiem albo koszykiem, a w nich — chleb, kołaczki. A jak trzeba kogoś namaścić świętymi olejami czy odśpiewać modlitwy nad nieboszczykiem — to też jego o to proszą.

Cerkiewny starosta nazywa się Todos, a jego żonę nazywają Todosicha. Jest to baba sucha i zgarbiona, ale bardzo prędką, niby ta muszka, co to lata i lata, brzęczy i brzęczy. Bo rzeczywiście brzęczy — lubi sobie pogadać, pogwarzyć, pobajdurzyć. I o bożych sprawach też potrafi mówić, a przeważnie kończy tym, ile czego dostało się batiuszce dobrodziejowi na Wielkanoc czy na Gody, przy sposobności narodzin czy chrzcin. Kto daje więcej popowi, ten bardziej bogobojny, bo przy popie i jej Todosowi też zawsze coś kapnie. Ludzie w Zbarażu mówią, że Todosicha sama mogłaby odprawiać nabożeństwo, tylko że ani dawniej nie wyświęcano kobiet na popów, ani dziś, tak że jak świat światem kobieta może być najwyżej popadłą.

Czyż Hance nie wszystko jedno, kim są jej sąsiedzi — ślusarze czy cieśle, heretyki czy chrześcijanie? Jeszcze nigdy nie stąpiła nogą na ich obejście, i nie ma zamiaru. Ale Todosicha do niej chodzi, bo Hanka ma studnię. Ciągnie jej wodę i ciągnie, nosi i nosi. Niech tam. Ani ziemia od tego nie zbiednieje, ani Hanka nie schudnie. A woda w jej studni dobra — i do gotowania, i do prania, i do mycia głowy. A taka zimna i czysta, że wydaje się aż słodka.

No cóż, chodzą po jej obejściu — niech so-

bie chodzą, biorą jej wodę — niech biorą. Ale po co to z roku na rok podkopywać podwórze i miedzę? Ino z wiosną wezmą się do roboty w ogrodzie, zawsze muszą kawałek jej podwórza zagarnąć. Dawniej od ich strony można było wozem zajechać, a dzisiaj już nie sposób, bo Todosisze ziemniaki potarasi, słoneczniki połamię. A jak się dobrze zastanowić, to te ziemniaki i słoneczniki wcale nie są Todosichy, tylko Hanki, bo ogród zachodzi na jej podwórze.

Aż pewnego razu, kiedy już ogrody były skopane, patrzy Hanka, a jej ogród jakby zmałał. Co to może być? Od pola jest rów, z jednej strony wysoka, trawiasta miedza, a z drugiej, tej od Homozów, tylko wąska ścieżynka. Zaczęła się przyglądać tej ścieżce — niby nie tam biegnie, co dawniej. Naprawdę, czy tylko jej się zdaje? Aż ją pomacała, a potem jeszcze raz przyjrzała się z boku — nie, nie tam!

Nic innego, tylko Homozowie przesunęli jej miedzę. I jak to pomyślała, aż ją zatkało. Pobiegła po łopatę i rzuciła się do przekopywania, tylko się kurzyło. W oczach pociemniało jej od gniewu, cały świat wydawał jej się czarny jak ta ziemia, nawet powietrze miało smak ziemi.

Widziała, jak Todos przeszedł ulicą, ale czy spojrzał w jej stronę, tego nie zauważyła. A po chwili wyskoczyła z chałupy Todosicha. Ni-ziutka, zgarbiona, niby chyża łasiczka przytur-łała się do Hanki. W okrągłych jak borówki oczach migotały popielate skry, cieniutkie jak korzonki wargi były białe.

— Ludzie kochane, ona miedzę przekopuje! — wrzasnęła skrzypiącym głosem, jakby naprawdę zwracała się do stojących naokoło ludzi.

Hanka tylko sapała i zawzięcie odrzucała ziemię.

— Ludzie kochane, ona chce nam zabrać ogród! — znowu wyskrzypiała stara i obiegła Hankę wokoło, jakby chciała ją dziobnąć, a nie mogła się odważyć. — Co to dziś za złodziej, kradną pośród białego dnia!

Wyszedł Todos ze swoją laską i stanął pod chatą — wysoki, wyprostowany. Teraz baba zaczęła krzyczeć, niby do niego:

— Dlatego że jesteśmy starzy, w kołchozie nie robimy, cerkiew i słowo boże szanujemy, to można nas krzywdzić! Nikt się za nami nie ujmie! Nie ma teraz sprawiedliwości, zdeptali ją i nikt jej nie chce podnieść...

Lamentowała i lamentowała, skargi i przekleństwa sypały się z jej ust jak kamienie, a stary Homoz stał nieruchomo pod chałupą, tylko biała piana brody drżała mu z gniewu. Wreszcie ludzie zaczęli przystawać i słuchać. Wtedy Hanka wyprostowała się i powiedziała:

— To oni w nocy orali i przesunęli miedzę. Oni, patrzcie ich, muszą mieć więcej ziemi, bo głodni.

Todosicha obstawała przy swoim:

— Żebym tak skonała, jak to prawda! Żebym się tak z tego miejsca nie ruszyła! Żebym więcej słońca nie oglądała!... Łże, jak Boga mego kocham!

Stary Todos odwrócił się i poszedł do chałupy. Hanka pochyliła się i dalej przekopywała miedzę. Todosicha wciąż krzyczała:

— Ludzie kochane, nikt jej miedzy nie przesuwiał, ona tylko tak tumani, żeby nas obrabować. A żebyś ty się na równym potykała, żeby

tobie rodzone dzieci na starość kawałka chleba nie dały!

„Przeklinaj, przeklinaj — myślała Hanka. — A tobie naprawdę na starość dzieci nic nie podadzą, bo nie masz ni rodu, ni płodu.”

— Twoja matka była żebraczką, twój ojciec umarł od zawiści, a brat przez co się skończył? Bo taki był pazerny!

„Wyzywaj, wyzywaj — odpowiadała jej w myślach Hanka. — Niech wszyscy widzą, jakaś ty święta i pobożna. I ten twój Todos. Niech się z was ludzie pośmieją.”

Aż tu nadeszła Bachurka. Od razu zmiarkowała, o co ten cały gwałt i:

— Trza zawołać geometrę! Bo się szczepiły...

Todosicha umilkła. Bystro spojrziała na Bachurkę, zatrzęsła się jak w febrze, nastroszyła się cała — nie człowiek, a kolec w żywopłocie.

— A bez ciebie, Duńko, nie obejdzie się? Przypomnij sobie, jak to twój ojciec sparzył się gorącą kaszą, że potem ani jeść, ani pić nie mógł!

Todos znowu pojawił się przed chatą, wciąż tak samo wyprostowany, z laską. Tylko już laska w jego ręce podskakiwała, jakby coś dziobiąc. Wreszcie przemówił cerkiewny starosta, głosem łagodnym, nieomal uroczystym:

— Martocho, a chodź ino do chałupy, bo mamy gości!

Chyba nie słyszała, bo dalej nacierała na Bachurkę, a w gębie miała czarno od złości.

— Przypomnij sobie, ile was było u ojca, zawszeście goli chodzili, bo nie stać was było ani na koszulę, ani na spódnicę!

A Bachurka ani pary z ust. Stała blada jak

chusta, osłupiała, tylko zmarszczki pod oczami jej drgały.

— Toż ja tylko chciałam zawołać geometrę — wyszeptała.

— Martocho, chodźże już! — znów zawołał Todos. — Goście czekają!

Martocha pewno dalej by się kłóciła, ale trzeba było uciekać od grzechu. Wiedziała, że nie ma żadnych gości, że Todos umyślnie tak mówi, żeby nie wystawiać się na pośmiewisko. Poszła, ale jeszcze w pół drogi się odwróciła, przeżegnała: .

— Przyjdzie czas, że będziesz jeszcze gryzła tę ziemię, Hanko! Będziesz ją gryzła, ziemią zapijała i ziemią oddychała!

„Gadaj sobie, gadaj — myślała Hanka. — Tylko że ja ze swego ogrodu ani pręcika nie dam, ani pół pręcika nie daruję. Bo to prawda, że ja tę ziemię jem, ziemią zapijam i ziemią oddycham.”

Todos i Martocha weszli do sieni i zniknęli z oczu. Więcej już nie wychodzili. A Hanka przekopała miedzę i pod sznurek wydeptała nową, tam gdzie kiedyś była. Potem naciosała kołków, powbijala obuchem w ziemię, nanosiła kolczastych gałęzi i ułożyła wzdłuż miedzy. Niech teraz ktoś spróbuje pokusić się na jej ziemię, niech...

Sania zrywała się śród nocy, siadała na piecu i zaczynała płakać. Najpierw płakała cichutko, jakby wzdychała przez łyzy, a potem coraz głośniej. Łzy spływały po buzi, a ona nawet ich nie ocierała, tylko wzdrygała się co chwila

i kopała nóżkami, jakby chciała odepchnąć coś niewidzialnego. Hanka tuliła dziecko do piersi, głaskała, szeptała coś na ucho, ale Sania płakała i płakała, jakby to nie matka ją pieściła.

— Co ci jest, córuś? — pytała Hanka.

Sania nie odpowiadała. W świetle kaganka jej oczy błyszczały nieprzytomnie, całkiem obco.

— Może cię boli w piersiach?

Sania przecząco kręciła głową.

— A może główka? Może ręce? Nogi? Powiedz, co ci jest?

Sania kręciła tylko głową, że nic ją nie boli. Potem zrywała się i wznosiła ręce w górę, jakby chciała wdrapać się na ścianę. Matka obejmowała ją, ale Sania prężyła się, rzucała się w kąt i patrząc w sufit obmacywała ściany.

— Może ona głodna? — podsuwał Iwan. Obaj chłopcy budzili się i patrząc szeroko rozwartymi, wystraszonymi oczami, słuchali tego płaczu.

Hanka dawała córce skibkę chleba, ale ta nie chciała brać, odtrącała, jakby bała się sparzyć.

— Może ona chce jabłko? — zgadywał Tolek.

Odrzącała i jabłko. Nalewali jej mleka do kubka — też nie chciała.

— Czegóż ty chcesz, córeńko? — w bezsilności gryząc palce pytała Hanka.

— Mo-lo... — zaczynała bełkotać Sania.

— Co takiego? — wpatrywała się w jej usta matka.

— Mo-lo, mo-lo...

— No co?

— Ona pewnie chce mój samolocik! — Tolek zrywał się i biegł na dwór.

Wracał z drewnianym, dwuskrzydłowym sa-

molocikiem jego własnej roboty. Samolocik miał blaszane śmigło, aluminiowe paski po bokach i czerwone gwiazdki.

Sania brała zabawkę, przyglądała się jej uważnie i przestawała płakać. Chlipała tylko, ale coraz rzadziej, aż wreszcie zasypiała przytulona do matki. Hanka dziękowała Bogu, że dziecko nareszcie się uspokoilo. Chłopcy też zasypiali i matka z nagłym bólem wsłuchiwała się w ich oddechy, modląc się w duchu, żeby i z nimi coś się nie przytrafiło.

— Saniu — pytała rano — czemu płakałaś w nocy?

— Płakałam? — dziwiła się Sania wzruszając ramionkami i po jej smagłej buzi przemykał cień niepewnego uśmiechu.

— Nie piecze cię w piersiach?

— W piersiach? — powtarzała Sania.

— A może się czego boisz?

— Ph... — to była cała odpowiedź Sani.

— Nie będziesz już więcej, prawda?

— Uhm — obiecywała.

Ale następnej nocy wszystko powtarzało się od nowa. Sania znów zrywała się pośród nocy, znowu płakała. Hanke dławił niemy żal, gdy patrzyła na zeszeconą płaczem twarz dziecka, na wykrzywione wargi. „Niech twój strach przejdzie na mnie — szeptała biorąc jej rączki w swoje dłonie. — Niech przejdzie na mnie wszystko, co ciebie boli. A jeśli ktoś rzucił urok, niech ten urok przejdzie na naszych wrogów.”

Ale i błagania nie pomagały. Iwan i Tolek, obudzeni, podpowiadali ze swojej pryczy:

— Może jej znowu przynieść samolocik?

— Albo dziurawe pudełko?

— Albo trybiki?

— A może lufę z automatu?

Sania nic nie chciała. W jej oczach był strach i pustka, zdawało się, że nic nie widzi, albo widzi to, czego inni widzieć nie mogą.

— Dać ci wody? — pytała matka.

Sania wreszcie kiwała głową, że tak, Iwan podawał jej wodę, ale ona zaczynała go odpychać ręką.

— A może przynieść ci świeżej ze studni?

— U-u-u.

Iwan biegł do studni, wyciągał wiadro zimnej wody i prędyutko wracał do izby. Dzwoniąc zębami o brzegi kubka Sania wypijała trochę i westchnąwszy głęboko, zasypiała. Ale to nie był mocny sen; otwierała oczy, macała rękami, czy jest przy niej matka, wzdrygała się cała i kopała nogami, jakby chciała coś odpędzić. Hanka całą sobą wchłaniała to dygotanie, pragnęłaby przejąć je na siebie, ale...

Trzeba było coś robić, bo Sania schudła, zzółkła, sama skóra i kości. Ale co? Do kogo się już nie zwracała, z kim się nie radziła... Ale każdy radził inaczej. Jeden — żeby nie zapalać kaganka, jak się dziecko budzi, inny, żeby zasłaniać okna, aby księżyc na nią nie świecił. „Ależ nie świeci, Sania śpi na piecu” — mówiła Hanka. „Zasłaniajcie, żeby nawet poświaty w izbie nie było.”

Hanka zasłaniała okna i kaganka nie świeciła. Zdawało się z początku, że to pomaga. Ale tylko tak się zdawało. Sania jak męczyła się po nocach, tak dalej się męczyła. Posłuchała Hanka innych doradców, zaczęła ją leczyć zio-

łami. I to nie samymi ziołami, ale dymem z ziół. Bachurka przynosiła jej skądś rozmaite zioła, pono aż po sąsiednich wsiach za nimi chodziła, a nawet do odległego chutoru, gdzie mieszkała jakaś zielarka. A już Hanka sama te zioła kładła na węgielki, a gdy zaczynały się tlić, taki był od nich zapach przyjemny i odurzający, aż mdliło. Wypędzała chłopców na dwór, nakrywały się obie płachtą na środku izby i wdychowały ten dym i zapachy. Sania aż oczy mrużyła z uciechy.

— Okadzasz mnie, mamó?

— Okadzam.

— Tak jak się okadza drzewka na wiosnę?

— Jak drzewka na wiosnę...

Z początku te zioła niby pomagały, tak się przynajmniej Hance zdawało. Ale potem Sania znowu zaczęła płakać jak dawniej.

— To uroki — orzekła Bachurka. — Ktoś ma takie niedobre oczy. To te oczy są winne, nie inaczej.

— Jakie tam oczy!

— Nie gadaj! Bo jak się dziecko odstawia od cycka nie raz, a dwa razy, to potem zawsze ma niedobre oczy. Wyrośnie taki człowiek i sam może o tym nie wiedzieć... Kto mógł tak na nią popatrzeć? Może które z Homozów?

— Może...

— A kto do was często przychodzi?

— Nikt nie przychodzi. Tyle co wy czasem przyjdziecie, babko.

Bachurka zamrugała bezrzęsymi powiekami.

— Bójże się Boga, Hanko, czyż to ja rzuciłam urok?

— Albo ja mówię, że wy?

Całe szczęście, że doszły do porozumienia. Bo Bachurka to baba honorna, dla niej obrazić się — to jak wody się napić. Zaczęły razem się zastanawiać. Jeśli to są uroki czy przestrach, to trzeba by poszukać baby-znachorki. W ich Zbarażu nie ma takich, co by się znały na rzeczy. Kiedyś pono były, ale czy powymierały, czy się przytępiły, dość że nikt o nich nie wie. Pogadywali ludzie, jakoby kiedyś stara Tyłymonicha zamawiała bolączki, że się goiły, jakby ich nigdy nie było. Ale to były bolączki na ciele i zresztą już dawno nic takiego o Tyłymoniszce się nie mówi. Kto jeszcze? Chyba nikt. E, nie ma już tych ludzi, co dawniej, nie ma.

Dowiedziały się, że jest jakaś znachorka w Polowej Lisijówce. Mieszka tam pono ze starą matką niemłoda już kobieta, którą mąż porzucił, poleciał do młodszej. Do tej kobiety wydeptują ścieżki ludzie ze wszystkich stron. A ona nikomu nie odmawia. Kiedy do niej do domu przyjdą, zaradzi, kiedy poproszą do innej wsi, też idzie. To wołać ją czy nie? Hanka nie zastanawiała się. Wołać!

Bachurka sama poszła do Polowej Lisijówki, sama przyprowadziła znachorkę. Była to wysoka, chuda kobieta z długimi rękoma, obsypanymi piegami. Twarz miała także podługowatą i chudą, a głęboko osadzone oczy, o nieruchomych jakby powiekach, przezierały człowieka na wskroś. Kiedy Hanka na nią spojrzała, jakby coś się z bólem oberwało w jej piersiach, od razu odwróciła wzrok. Ale coś jej w duchu szepnęło — ta kobieta pomoże!

A kiedy usłyszała głos znachorki, łagodny,

miękki, całkiem w środku odtajała. Takim głosem mogła mówić tylko kobieta, która pomieściła w sobie dobroć całego świata.

— Wejdźcie, wejdźcie — zapraszała Hanka, czując się we własnym domu jak obca.

Znachorka sięgała głową prawie do powały. Brodę miała jak plaskanka sera, do której od dołu przyczepił się sopelek. Rozglądała się dookoła z ujmującą dobrocią.

— A gdzie wasze dzieci? — spytała.

Akurat Sania wpadła do izby. Znachorka pogładziła ją po głowie i nachylając się nad nią powiedziała:

— Ładna dziewczynka... Będiesz zdrowa, będziesz spała, wszystko będzie dobrze. — I do Hanki: — Macie nóż? I jajko?

Hanka podała jej nóż i jajko. Znachorka poprosiła o szklanę z wodą. Szybciutko podano jej szklanę. Sania patrzyła na to wszystko jak urzeczona.

— Weźcie ją na kolana i siadźcie na ławie. Hanka usiadła na ławie przy stole.

— Może zasłonić okno? — spytała.

— Nie trzeba. Niech świeci słońce. — I wzięwszy w prawą rękę nóż, przeżegnała Sanię. Tym nożem ją przeżegnała. Hanka chciała zapytać, po co, ale w porę ugryzła się w język. Bo jak już kobieta przyszła, to na pewno wie, co i po co robi.

Znachorka wypędzała z Sani złego ducha. Toczyła jajko po głowie, potem wokoło głowy, piersi, pleców, wokół rąk i nóg. A potem od samego czubka aż do pięt jakby coś zdmuchiwała, coraz to spluwając.

— Wywołuję cię z głowy i spod głowy,

z włosów i spod włosów, z oczu i spod oczu, z ucha i spod ucha, z mózgu i spod mózgu, z zębów i spod zębów, z kosteczek i spod kosteczek, z paluszków i spod paluszków, z kolanka i spod kolanka...

— Idź sobie tam, kędy wiatry hulają, kamienie przewracają, piaskiem przesypują, wodą przelewają.

— Za drugą razą, za łaską bożą...

Sania słuchała uważnie. Znachorka wydawała jej się istotą nie z tego świata. I ten nóż, i to jajko... A kiedy znachorka przy modlitwie ziewnęła, właśnie to czemuś największe na niej zrobiło wrażenie. Ale przez cały czas nie powiedziała ani słowa.

Wreszcie, po tych wszystkich szeptach i zaklęciach, znachorka wzięła szklanę z wodą, uderzyła jajkiem z jednego brzegu, z drugiego, jakby chciała przeżegnać wodę, potem uderzyła mocniej, skorupka pękła i jajko wypłynęło do szklanki. Wtedy zaczęła oglądać to wszystko pod światło.

— Patrzcie! — rzekła nieomal uroczystym głosem.

Hanka i Bachurka nieśmiało zbliżyły się do niej. Sania siedziała nie spuszczać oczu ze szklanki.

— Patrzcie! — powtórzyła znachorka. — Widzicie?

Hanka patrzyła i patrzyła, ale nic nie mogła wypatrzeć. A Bachurka, choć oczy jej łzawiły, musiała chyba coś zobaczyć, bo rzekła:

— Aha!

Hanka ze zdziwieniem zerknęła na nią, pytając oczami — coście tam zobaczyli, babko,

pokażcie i mnie. Ale znachorka już prawiła dalej:

— Dziecko bardzo się przelęкло. To zadawniony przestach. O—o, widzicie, jak idzie w górę? Jak spłynął? A teraz, jak błyszczący?

Hanka widziała, jak z żółtka podnosiły się w górę i kołysały dwa cieniutkie srebrzyste dymki, z białymi, błyszczącymi pęcherzykami na czubku. Jeden dymek był mniejszy i pęcherzyk na nim był mniejszy. A na tym większym — jak orzeszek. Dymki chwiały się — znachorka na wszystkie strony obracała szklankę — i z tych dymków osiadały na żółtku złociste krupeczki.

— Zadawniony przestach, och, jak zadawniony! Kogo to ona tak się przelękla? Nie mogę dojrzeć, bo mi się wciąż chowa... Jakiś człowiek z karabinem... I w szynelu... Niemiec, widzę już dokładnie, że Niemiec...

Bachurka westchnęła i otarła łzę.

— A któż inny mógłby być — powiedziała.

Ale Hanka, choć jak bardzo się przyglądała, nie tylko Niemca, ale nawet szynela ni karabinu nie mogła się dopatrzeć. No cóż, na to kobieta jest znachorką, żeby zamawiała, wylewała, odczyniała, wróżyła.

— A co, naprawdę przelękla się w czasie wojny? — spytała znachorka Hanę.

— Było tak... Jak Niemcy się cofali, to w pierw kryliśmy się w Zbarażu po piwnicach, a potem uciekliśmy do Nowej Grobli. Śród nocy biegliśmy polami. Starsi chłopcy niby nic, ale ona, jeszcze wtedy całkiem malutka, bardzo płakała. Trzymałam ją na rękach, a ta się

wyrywa, chce gdziesik biec, i to ciągiem ode mnie, ciągiem gdzieś w pole.

— Zadawniony przestach — znów przypomniała znachorka. — Czemuście wcześniej nie wylewali jajka?

— Bo nie działało się z nią nic takiego jak teraz.

— Wyrzucicie zaraz to jajko na dwór, żeby je zjadł pies albo kot. Byłoby lepiej, żeby zjadł pies.

Hanka duchem wyskoczyła na dwór. Ale jak zawsze po jej podwórzu tłucze się rozmaite głodne psiarstwo, tak teraz żeby choć jeden! Biec, szukać po wsi? Wylała koło rowu i — z powrotem.

— Dawajcie dziecku proskurkę na czczo i święconą wodę do picia. Macie proskurkę?

— Ja mam — wtrąciła się Bachurka. — I troszkę święconej wody we flaszczyce za obrazem.

— Idź, Saniu, na dwór — powiedziała Hanka, a gdy dziewczynka, oglądając się wciąż na znachorkę, wyszła, spytała: — Powiedzcie mi prawdę... pomoże? Mam tych dzieci troje, ale każde jest mi jednakowo drogie, droższe od największych pieniędzy.

— Pomoże — zapewniła znachorka. — Za pierwszym razem może nie będzie dużej poprawy, bo strach zadawniony, ale ja tu jeszcze przyjdę.

— Dziękuję wam, nie wiem, jak was nazywać... Bo to serce mi pęka i dusza boli każdego dnia i każdej nocy, jakby ją kto posolił. Rośnie to dziecko — i tak się męczy! Dziękuję wam... Mam tu trochę grosza, weźcie, a ta

słonina dobrze już stara, całkiem zżółkła, będziecie mieć na zasmaczenie barszczu.

Znachorka wzięła słoninę, ale pieniędzy nie chciała przyjąć.

— To grzech brać dużo. Moja matka gniewa się, jak biorę dużo od ludzi. Ot, tyle, aby przeżyć, więcej nie trzeba.

— Ależ weźcie — nalegała Hanka. — Pan Bóg nie będzie się gniewać, bo daję przecie ze szczerego serca.

— Przyjdę jeszcze, to wtedy znowu coś dacie. Nie godzi się bogacić na cudzym nieszczęściu.

I nie wzięła. Wyszła z obejścia, wysoka, chuda, trzymając pod pachą zawinięty w czystą szmatkę kawał słoniny. Szła przez ogrody, przez pole i pomaleńku znikąca w ciepłej dali, aż wreszcie całkiem zniknęła za pagórkiem. Sanna, przyczajona za chlewikiem, patrzyła za nią, nie rozumiejąc nic z tego wszystkiego — po co ona przychodziła, co szeptała, po co rozbiła ją jajko.

Z twarzy Bachurki nie schodził wyraz pobożnego zachwytu.

— Nie wzięła — rzekła. — Słyszałam, że ona należy do jakiejś sekty, a tam zabraniają...

— Do sekty? — Hanka nie mogła uwierzyć. — To czemu modli się do Boga?

— Widać to jakaś boża sekta.

— Powiedzcie mi, babko, naprawdę widzieliście... Niemca... i karabin?

Bachurka bardzo uważnie spojrzała na Hankę. Aż oczy zmrużyła, a jej wargi zrobiły się cieniutkie jak pajęczynka.

— Widziałam — rzuciła twardo.

„Coś takiego — pomyślała Hanka. — Że też

są ludzie, co na wszystkim się znają, wszystko widzą, a ja..." A na głos powiedziała:

— Dziękuję i wam.

— Nie ma za co — odparła Bachurka i poszła z obejścia. Szła, jak niedawno znachorka — z wysoko zadartą głową, równym krokiem. Hanka bardzo ją poważała w tej chwili.

Znachorka przychodziła jeszcze kilka razy. Wchodziła do izby z jasną, promienną twarzą, z dobrocią w oczach. Sania już na nią czekała. Wsłuchując się w jej łagodny głos próbowała dojrzeć coś u siebie „na paluszkach” i „pod paluszkami”, „na łokciach” i „pod łokciami”, ale nic nie mogła zobaczyć. Znachorka zwracała się do Boga i świętych, przepędzała nieczystą siłę na pustkowie, gdzie wiatry hulają, kamienie przewracają, a potem, wznosząc w górę piegowate ręce, modliła się.

— Za trzecią razą, za łaską bożą...

— Za czwartą razą, za łaską bożą...

— Za piątą razą, za łaską bożą...

Dużo jeszcze było tych razów i łaski bożej; wytrwale czyniła nożem znak krzyża nad Sanią, toczyła kurze jajko po głowie i wokoło głowy, po piersi i wokół piersi, po rękach i wokół rąk, spluwała zdmuchując coś to z lewej nogi Sani, to z prawej. Potem, przeżegnawszy jajkiem brzegi szklanki, wybijała je do wody, podnosiła szklankę do światła i mówiła:

— O, patrzcie, widzicie?

Hanka nic nie widziała. Cóż, kołysze się w wodzie biało i żółtko i niby coś tam jak dym unosi się w górę. Ale Bachurka, która przychodziła na te wróżby, zawsze odpowiadała:

— Aha!

— Podnosi się, idzie w górę, widzicie? To dym z bomby! I jak dużo tego dymu! Zadawiony przestrasz, ale dobrze, że wyszedł dym, bo się bałam, że już nie wyjdzie. No co, prawda, że już jej lepiej?

— Lepiej — potwierdzała Hanka. — Nie płacze już po nocach, nie drapie się po ścianach, jak dawniej. Tylko czasem jeszcze dygoce, jakby przemarzła na mrozie.

— Dawaliście jej proskurkę?

— I proskurkę, i święconą wodę — wtrącała Bachurka.

A kiedy znachorka przyszła po raz ostatni, to pokazując szklanekę z rozbitym jajkiem, rzekła z cichą radością:

— O, wyszły groby. To bardzo dobrze, że wyszły groby, bo to przez nie ta cała bieda. Jeden grób widać całkiem wyraźnie, a drugi ledwo, ledwo. Widzicie?

Hanka nic nie widziała. A Bachurka:

— Aha!

I za ostatnim razem znachorka prawie nic nie wzięła. Tyle tylko, co tę miskę studzieniny. A tych paru rubli, co jej Hanka wtykała w rękę, nie chciała przyjąć, mówiła, że to grzech, że jej matka gniewa się na nią, jak za dużo bierze...

Sani rzeczywiście pomogło. Nie działo się z nią już nic takiego jak dawniej, nie trzeba jej było uspokajać w nocy ani zimną wodą, ani zabawkami. I zaczęła lepiej jeść, i poprawiła się na twarzy. Bo taka już była mizerna i chuda, że choć oczy zamykaj, żeby tego nie widzieć. Jak to jest na tym świecie — rozmyś-

łała Hanka — tak się biedne dziecko męczyło, a przyszła znachorka, poszeptala — i jak ręką odjął. I choć ona sama żadnych grobów nie widziała, to może i były, bo przecież pomogło! I bomby nie widziała w szklance ani karabinu, a widać to wszystko musiało tam być!

Bachurka potem ją pouczała:

— Tylko nikomu się nie przyznawaj, że wołałaś do dziecka znachorkę, bo teraz z tym bardzo ostro.

— Wiem przecie sama...

— Jakby się dowiedzieli, będzie kłopotu co niemiara, i tamta kobieta dostanie za swoje.

Co roku jedno i to samo strapienie — skąd wziąć opał na zimę?

Dobrze, że koło Zbaraża są pokłady torfu. Do kołchozu należą dwa takie miejsca — jedno nazywa się Ruda, drugie Laski. Nieraz można usłyszeć od zbaraskich ludzi: „Wybieram się na Rudę po torf”. Albo: „Ryłem tę ziemię pod Laskami, ryłem, a tam nie opał, ale tfu!” Ruda leży bliżej, prawie we wsi, torf tam dobry, korzonkowaty, po wyschnięciu żółknieje, łatwo się pali i daje dużo ciepła. A ten spod Lasków schnie wolno, jakby mu się nie chciało, i okropnie gliniasty. Choćby się nie wiem ile tej gliny nałożyło do pieca, ani z niej ognia, ani ciepła. Całkiem do niczego ten torf pod Laskami.

To kopcie na Rudzie! — mógłby ktoś powiedzieć zbarażanom. Jakby oni sami nie wiedzieli, że pod wsią torf jest lepszy! Wiedzieć, wiedzą, tylko że nie każdy dostaje zezwolenie na

kopanie koło wsi. A po co zezwolenie? — spytacie. Oni też uważają, że zezwolenie nie jest potrzebne (dawniej rzeczywiście kopano tu bez zezwolenia), ale zarząd kołchozu uważa inaczej.

Jak dostać zezwolenie? Różnie z tym bywa. Ot, na ten przykład, widzi człowiek, że już wiosna minęła, letnie słońce zdrowo przypieka, i jesień już za pasem. Czymże to będzie palił w zimie? Na jakiś czas starczy naci ziemniaczanej, co ją zbierze na ogrodzie, badyli kukurydzy czy słonecznika. Można jeszcze ściąć krzaki na miedzy, bo tak się już porozrastały, że niedługo wilki w nich będą wyć. I to wszystko. Kwitu na drzewo mu nie wypiszą, bo w zeszłym roku dostał, a sam kraść nie pójdzie, bo przecie nie ze złodziejskiego rodu... Tak to sobie miarkując widzi człowiek, że pozostała mu tylko jedna droga — do zarządu kołchozu. A tam siedzi przewodniczący kołchozu Drobacha, wiecznie niezadowolony i z siebie, i z ludzi, bo nic mu się nie klei.

— Dzień dobry! — mówi chłop.

— Dzień dobry! — odpowiada Drobacha. — No, co dobrego?

— Dobrego? Hm... Może właśnie złego?

— O co przyszedłeś prosić?

— Opału by...

— Nic! Ani suszu, ani gałęzi, nic!

— A po co mi gałęzie... Żeby tak torfu...

— To nakop sobie. Pod Laskami.

— Hm... To daleko... I jak potem przywieźć? Żeby tak na Rudzie.

— Wszyscy by chcieli na Rudzie. Nie widzą, że tam jeszcze na dzień, dwa... A ty w dodatku

jesteś chytrus. Kto przez półtora roku pracował w cukrowni? A ciągnęli cię do kołchozu, ciągnęli...

— Przecie moja żona nie wychodziła z kołchozu.

— Bo się bała, że ziemię odbiorą!

— I dzieci pomagały...

— Pod Laskami!

I nie ma gadania. Kop, człowieku, pod Laskami i niech ci nie przyjdzie do głowy obchodzić zakaz. Bo jeśli, broń cię Boże, wleziesz na Rudę, napytasz sobie tylko kłopotu. Drobacha tak czy owak się dowie — albo sam, albo mu ktoś doniesie — a jak się już dowie, to ci ten wykopany i wysuszony torf i tak odbierze. Potem twoim torfem w zarządzie czy w klubie całą zimę będą palić. Albo odwiozą do szkoły, bo przecież kołchoz ma obowiązek zaopatrywać szkołę w opał.

U Hanki też różnie z tym bywało. Bywało, że i ją posyłano pod Laski, i kopała tam, bo czyż można pluć pod wiatr? Ale jednego roku posłali ją pod Laski, a ona — na Rudę! Co się wtedy działo! Sam Drobacha przyjechał odbierać torf, a ona nie dała! Co Drobacha położy bryłę torfu na wóz, to Hanka zdejmuję, co on położy, to ona zdejmuję. Czym już jej nie groził, a ona wciąż zdejmuję, jak tylko on położy na wóz. Niczego się już nie bała, ani kary, ani grózb.

Na tym się wtedy skończyło. Razem z dziećmi Hanka przeniosła w workach ten torf do domu, schowali w chlewie, trochę na stryszku i przysypali śmieciem.

Innego znowu roku skradziono Hance torf.

Właśnie na Rudzie. Niemalą wtedy jamę wyryła razem z dziećmi i trafiła na pokład gruby na kilka sztychów, nie na jeden czy dwa. Cieszyła się, że nie trzeba będzie martwić się w zimie o opał. Niejeden raz biegła na Rudę, przekładała torf, żeby lepiej sechł i już go miała przewieźć na swoje obejście, żeby tam się dosuszył, aż tu przychodzi któregoś dnia — nie ma torfu, tylko białe łaty w trawie, tam gdzie leżał. Ktoś ukradł. Zajechał wozem, może dwoma, widać jeszcze ślady. Dokąd one wiodą? Doszła po tych śladach do drogi, a dalej dużo zobaczysz, kiedy drogą już tyle ludzi przeszło i przejechało!

A przecież odnalazła Hanka swoje. Nie byłaby sobą, gdyby nie odnalazła. Chodziła po podwórzach, przyglądała się, u kogo co i gdzie leży. Już hen, hen pod jesień, kiedy zrobiło się zimno i ludzie zaczęli palić torfem, wstąpiła do pewnego dobrego człowieka (dalibóg, dobry, nie mogłaby o nim nic złego powiedzieć), żeby o coś zapytać czy poprosić. Zerknęła pod piec, a tam leży jej torf! Od razu poznała, bo kiedy cięła torf na kawałki, na każdym robiła znak łopata, taką podłużną krechę... Podeszła teraz bliżej do pieca, pochyliła się — tak, jest, o tu jeszcze jeden znak, i tu...

— Widzę, że palicie moim torfem — powiedziała jakby drewnianym głosem.

A ten człowiek naprawdę był dobry, nie rzucił się na Hanke z pięściami, nie wypędził z chałupy, nie krzyczał, tylko powiedział spokojnie, też jakby nieswoim głosem:

— Powiadasz, że to twój torf?

— Są znaki.

— W samej rzeczy, jakby ktoś łopataą zardapał...

— Na każdym kawałku to samo... Tu i tu... Jakże to tak?

— To ci dopiero! — dobry człowiek zaczął drapać się w głowę. — Jak to się mogło stać? Nic innego, tylko ktoś zauroczył. Pojechałem w nocy, bo czy to w dzień można się doprosić koni, i niby do swojej jamy podjechałem... A potem żona mi mówi: „Patrz, ile torfu przywiozłeś, a tam jeszcze leży. Czyś ty czasem cudzego nie załapał?” Też tak sobie pomyślałem, nawet rozpytywałem między ludźmi na wszystkie strony... Nikt wam nie powiedział?

— Nic nie słyszałam...

— Coś takiego! — biadolił dobry człowiek. — Do was to nie doszło?

— Nie doszło...

— Co za ludzie! Nigdzie chyba nie ma takich ludzi jak w naszym Zbarażu! — oburzał się dobry człowiek. — A ty nie martw się, Hanko, i nie myśl sobie nic takiego... Odwiozę ci twój torf. Jak jest twój, będziesz nim paliła. Sam ci przywiozę.

Czekała dzień, czekała tydzień, czekała trzy tygodnie. I choć bardzo jej było przykro iść i przypominać o swoim torfie, ale poszła.

— Nie miałem czasu! Wiecznie robota i robota, nie będzie chyba nawet czasu, żeby umrzeć. Dziś przywiozę! — zapewnił dobry człowiek.

I rzeczywiście przywiózł. Co prawda nie tego samego dnia, ale gdzieś dopiero po tygodniu. Hanka zobaczyła go przez okno, wybiegła na

podwórze, a na wozie — no, parę worków tego torfu, nie więcej.

— A gdzie reszta? — pyta Hanka.

— Jaka reszta? Nie ma więcej. Zapomniałem powiedzieć żonie, no i paliła waszym torfem. Tyle zostało... — i znowu skrobie się w głowę, aż żal na niego patrzeć.

— Tyle? — zbladła Hanka.

— Jak Boga mego... Wyzbierałem wszystko, co było znaczone. A swego przecież wam nie oddam, bo czym sami będziemy palić?

Podważył wóz ramieniem, wysypał ten torf i odjechał. A Hanka nawet się z nim nie kłóciła. Bo co się będzie kłócić? Dobry człowiek zawsze może się przydać. A spróbuj powiedzieć o takim marne słowo — i tak nikt nie uwierzy, jeszcze o tobie rozgłoszą, że obgadujesz!

A zdarza się czasem i tak, że... Ot, choćby to, jak Hanka zaprzyjaźniła się z gajowym Czupryną.

Po susz chodzi się jak kiedy — albo w pojedynkę, albo we dwójkę, a nieraz zbiera się cała gromada. Najgorzej chodzić hurmem, bo jak zobaczą z kołchozu, to zaraz awantura, i w lesie taką kupę ludzi łatwiej zobaczyć i usłyszeć. Hanka najczęściej chodziła z dziećmi. Biorą powrozy, podpaszą się nimi i hajda! Jeśli nie z dziećmi, to szła z Bachurką. Bywało, jeszcze hen, hen do świtu, a babka już puka do okna. Wracają z lasu, kiedy słońce wschodzi. Ale nie zawsze Hanka może w powszedni dzień wyrwać się do lasu, wtedy zmagają się na niedzielę. Tylko że w niedzielę nie bardzo to wygodne — dużo kobiet i dzieci szykuje powrozy na dzień wolny od pracy.

Którejś niedzieli Bachurka wstąpiła po Hankę, wzięły dzieci i wyruszyły. Nim wyszły ze wsi, jeszcze kilka kobiet do nich się przyłączyło. Istny klucz żurawi! Taką kupą zbierać susz w lesie, to lepiej wcale nie zbierać, bo jedno drugiemu sprzed nosa stara się porwać.

Snuły się między drzewami, dzieci rwały szczaw, z którego tylko oskoma... Już wiązki były gotowe, już miały kobiety wracać do domu, gdy nagle spomiędzy łożyny nad głuchym jeziorkiem wyszedł Czupryna, w czapce z lakierowanym daszkiem, ze strzelbą na ramieniu. Przed nim, szczerząc kły, biegł czarny pies.

Kobietom nogi odjęło ze strachu, bo same już wiedziały i od innych się nasłuchały, że lepiej nie spotkać się z Czupryną w lesie — nie przepuści ani kumowi, ani swatowi, ani rodzonemu bratu.

— Dobrej niedzieli, baby! — powiedział głośno Czupryna, jakby nie w lesie się spotkali, ale na bazarze.

Nikt nie odpowiedział. Czupryna uśmiechnął się. Był podobny do Cygana, z brodą, z kieszonki na piersi wyglądał czerwony ołówek i notes.

— Milczycie? Dlaczego? — dopytywał się gajowy. — Zapomniałyście ludzkiej mowy? A może mnie chcecie obrazić, co?

— Gdzieżby tam! — zaprzeczyła Bachurka w nadziei, że go udobrucha.

— No, właśnie! To czemu nie odpowiadacie na pozdrowienie?

— Dzień dobry — rzekła Bachurka.

— Tak, tak — kpiąco spojrzął na nią gajowy. — Cóż to robicie w lesie?

— Zbieramy szczaw — rzuciło któreś z dzieci.

— Aha — podchwycił Czupryna. — I świeżym powietrzem oddychacie... A czyje to wiązki, co? Pewnie nie wasze?

I co mu teraz odpowiedzieć? Powiedzieć nasze — źle; powiedzieć nie nasze, jeszcze gorzej, bo od razu zabierze, bez gadania. Toteż kobiety milczały.

— Kwity na opał macie?

— Jakie tam kwity! — mruknęła Hanka.

— A bez papierka nie wolno! — Nawet jakby bez gniewu, całkiem łagodnie to powiedział. — I o tym trzeba pamiętać. Las jest państwowy. A okradać państwo, to okradać samych siebie. Czyż chcecie okradać siebie?

— A któż by sam siebie okradał! — przyznała Bachurka.

— To jak nie chcecie siebie okradać, rozwiążcie wiązki.

Nikt go nie usłuchał.

— Jakże to tak? — odezwała się Hanka. — Nikogo przecież nie okradamy. Zebrałyśmy tylko to, co spadło na ziemię, i tak by zgniło. Albo to państwo na tym się wzbogaci?

— Tak myślisz? Ty weźmiesz gałąź, a ona — pokazał na Bachurkę — pociągnie całe drzewo...

Wszyscy spojrzeli na Bachurkę, jakby babka rzeczywiście zdolna była ukraść całe drzewo.

— ...no i z lasu nic nie zostanie — dokończył gajowy.

— Stoi i dalej będzie stał — wypaliła Hanka. — Nasze państwo nie jest biedne. A jeśli jest takie biedne, jak mówicie, to tą trochę suszu też się nie wzbogaci.

— A kto ci to powiedział? — drwiąco spytał Czupryna.

— Sama wiem.

— No cóż...

Gajowy wyjął z kieszeni scyzoryk i nim kobiety zdążyły się opamiętać, poprzecinał powrozy i rozsypał wiązki. Ale jak tylko zbliżył się do Hanka, żeby i jej sznur przeciąć, zasłoniła sobą wiązki i krzyknęła do swoich dzieci, stojących opodal:

— Iwan! Sania! Tolek! Wiazki na plecy i hajda!

Dzieciom nie trzeba było tego powtarzać. Hanka też chwyciła swoją. Czupryna chwilę stał jak osłupiały. Potem skoczył naprzód, pies za nim i zawrócili dzieci. Czupryna podszedł do każdego z nich i susz migiem znalazł się na ziemi. Żadne z dzieci nie zapłakało, ale gdy gajowy znów podszedł do ich matki, oczy Sani napełniły się łzami.

Hanka aż się trzęsła ze złości. Rzuciła swoją wiązkę i z zaciśniętymi pięściami ruszyła na gajowego. Pies groźnie zawarczał.

— A ty skręcałeś te powrozy, żeś je porznął? Ach, ty psiołowcze! — krzyczała na niego i jakby chciała go uderzyć. — Tak dużo ich mam, żebyś je rznął? Żeby ciebie tak rznęli po żywym ciele, żeby cię po duszy smagali!

Czuprynie drgnęły wargi, jakby cień uśmiechu przemknął po nich.

— Że też ci ręce nie pousychają, kiedy tak cudze dobro marnujesz! Ty potworze siedmiogłowy, Herodzie przeklęty! Ty nie serce masz w piersi, a figę! — Tak się jej to śmiesznie powiedziało, że sama o mało się nie uśmiech-

nęła. — Czy myślisz, że moim dzieciom tak przyjemnie chodzić do lasu po susz? Myślisz, że ja bym je posyłała? Albo sama chodziła? Popatrz na swego psa, on jest lepszy od ciebie, bo choć warczy, nie robi nikomu krzywdy. A ty nie warczysz, tylko od razu za gardło! Jak poprzierzynałeś te powrozy, to teraz zwiąż! Poskręcaj! Bo jak my cię tu zwiążemy, jak skrećimy, to cię cholera weźmie!

Czupryna dotknął strzelby, jakby chciał sprawdzić, czy jest na swoim miejscu, i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale splunął tylko ze złości i wyjął z kieszeni papierosy. Hanka umilkła, dysząc ciężko. Czupryna zapalił, znów chciał coś powiedzieć i naraz odwrócił się i poszedł w las. Pies przysiadł na tylnych łapach, spojrzał na swego pana, potem na kobiety i dał nura w krzaki.

Czupryna znikł, jakby go wcale nie było. Pierwsza ochłonęła Bachurka.

— W imię Ojca i Syna! Co teraz będzie? Hanka i na nią wsiadła:

— Za mąż was wydadzą, babko! Bo co jeszcze może być?

Bachurka obraziła się:

— Gdzie mnie równać się z tobą! I po co ty tak z nim... A on i psa ma jeszcze na dodatek... Nie daruje tego — może już poszedł złożyć skargę?

— Na mnie nie złoży, a na was, babko, może i złoży.

Bachurka jeszcze bardziej się obraziła.

— A to dlaczego? Czy ja jestem większa złodziejka od ciebie? Ja przyszłam tu sama, a ty z dziećmi!

— Na was się, babko, poskarży, bo za dużo gadacie!

Co robić z suszem? Zostawić? Tyle pracy włożyły, żeby go uzbierać, i teraz zostawić? A potem znajdzie jakiś spryciarz, nawet nie podziękuję. Zabierać też niebezpiecznie. Bo jak jeszcze raz przyłapie, nic już ich wtedy nie uratuje.

— Jak sobie chcecie — powiedziała Hanka. — Ja swego nie zostawię! Dzieci! Związujcie powrozy i narządzajcie wiązki!

Widząc to, inne kobiety też zaczęły wiązać swoje. Strach strachem, ale co miały robić! Raz kozie śmierć! Jeszcze były wdzięczne Czuprynie, że choć porzwał powrozy, ale nie zabrał z sobą.

A z Czupryną Hanka jeszcze się spotkała. I to nie w lesie. Już dobrze kurzyło śniegiem, leżało go na ogrodach do licha i trochę, ani nosa z chałupy wytknąć, jakoś wtedy od razu przyszła zima, nawet deszcze jesienne nie padały. Hanka z dziećmi łuszczyła na łożku groch czy fasolę, aż tu pod oknami słychać pryhanie koni, skrzypienie sań. Myśleli, że ktoś przejechał koło chałupy, gdy wtem drzwi się otwierają i wchodzi do izby jakiś nieznajomy człowiek w kozuchu, w walonkach, z białymi od szronu brwiami.

— Dzień dobry — powiedział głośno. — Nie poznajecie mnie?

Hanka naprawdę nie poznała. A Sania ci-chutko pisnęła:

— To Czupryna.

Rzeczywiście gajowy. Hanka nie przywykła do gości, a co dopiero do takich, których nawet nie zna. Ale Czupryna nie przejechał ot

tak sobie — pełnusięńkie sanie gałęzi przywiózł, i to grubych, grabowych. Hanka z początku się wymawiała, że nie ma czym zapłacić, niechby sprzedał komu innemu, aż Czupryna się zgniewał i powiedział, że nie chce pieniędzy, że tak jej przywiózł.

— Tak? — nie mogła zrozumieć Hanka. — A kto kazał przywieźć?

— Ja sam, od siebie — tłumaczył gajowy.

— To wszystkim rozwożę? — dopytywała się.

— Nie, nie wszystkim, ja tylko wam przywiozłem... Pamiętacie wtedy w lesie? Mocno mnie to poruszyło, w żaden sposób nie mogłem zapomnieć ani was, ani dzieci. Taka już moja służba, niech ją diabli! — Czupryna był trochę podпиты, bo mówił z przejęciem i zalaatywało od niego wódką. — Sam wiem, że mnie ludzie klną, ale czyż ja mogę inaczej? Inaczej mi nie wolno.

Dobrego opału przywiózł wtedy Czupryna, na długo starczyło, a że jeszcze było trochę torfu, to jakoś tę zimę przebiedowali.

Potem Hanka też chodziła do lasu. Ale tak się jakoś składało, że nigdy nie spotkała się tam z Czupryną. Powiadali, że innym kobietom odbierał wiązki, rznął powrozy, a Hankę czy Bóg miał w swojej opiece, czy sam Czupryna starał się omijać...

Zbarażanie już od dawna nie daliby rady żyć bez kołchozu. Niechby tak wypędzili kogoś z artelu, no, spróbowałyby sam wyżyć! Dalibóg, od razu by zawrócił i prosił się, żeby go przyjąć z powrotem.

Bachurka dawno już nie pracuje w kołchozie, bo stara, ale nieraz jeszcze liczy się za kołchożnicę. Czasem niby jest kołchożnicą, a czasem nie. A spytajcie ją, kiedy jest, a kiedy nie jest, też wam nie odpowie. I to nie dlatego, że baba skryta, że ze wszystkim kryje się przed ludzkim okiem, ale dlatego, że sama nie wie.

Jak tak może być? Miarkujcie sami.

Wszelkie produkty, wszelkie zapasy kończą się, jak o tym każdy wie, przed wiosną. Jeszcze tej wiosny nie ma, dopiero słońce świeci trochę wyżej, śnieg jeszcze nie topnieje, tylko błyszczczy niemiłosiernie — i wtedy to w komorze, jak ktoś ją ma, robi się pusto. U Bachurki też. No i zaczyna się bieganie po pożyczkach — tu garść kaszy, tam garść mąki i jakoś babka pcha biedę naprzód. Alboż taka stara kobieta dużo potrzebuje, ot, jak ten wróbel, aby coś dziobnąć.

Ale dużo się człowiek napożycza! Jeden ci da, drugi da, a trzeci tak popatrzy, aż się wszystko w środku przewróci. A czwarty — może i najlepsze ma serce, bo i uśmiechnie się ładnie, i w oczy szczerze popatrzy — weźmie i zapyta:

— Jesteście, babko, kołchożnicą?

— Pewnie! Przed wojną tak się narobiłam, tak się narobiłam...

— To idźcie do Drobachy, niech wam coś wypisze. Takim jak wy nie odmawiają. Nie będziecie musieli chodzić i prosić. Bo to wiecie, jacy u nas ludzie. Dać, dadzą, ale ością to w gardle staje...

— Święta prawda — przyznaje Bachurka.

— A jak wam wypiszą w zarządzie, będziecie

mieć swoje. Bo wy jesteście człowiek zasłużony, szanowany, każdy was zna.

Starej nawet przyjemnie, że tak o niej mówią — i że zasłużona, i że szanowana. Któregoś dnia zbiera się i idzie do zarządu. Długo stoi na ganku, nie mając odwagi wejść do środka, aż wreszcie ściąga wargi i nadając swej poradlonej zmarszczkami twarzy wyraz godności, wchodzi. Idzie w pierw do rachmistrza, a ten, wysłuchawszy, odsyła ją do księgowego. Księgowy nie chce nawet słuchać, mówi, że on nie załatwia takich spraw i że trzeba się zwrócić do samego Drobachy.

Bachurka znowu wychodzi na ganek. Boi się iść do Drobachy. Nie dlatego, żeby jej jaką krzywdę kiedy wyrządził albo co. Nie, po prostu boi się go i tyle. Stoi tak na ganku, przestępuje z nogi na nogę, aż w końcu łąza zaprosza jej oko. Stara gniewnie ociera łzę i drepcze do przewodniczącego. Drobacha słucha jednym uchem i pyta:

— Jesteście, babko, kołchoźnicą?

Bachurka milknie. Bo jak powie, że tak, zaraz usłyszy, czemu to nie widać jej w polu przy robocie.

— Przed wojną tak się narobiłam... — zaczyna.

Ale Drobacha przerywa jej zniecierpliwiony:

— Przed wojną nie byłem przewodniczącym w tym kołchozie, tylko w innym.

— Ludzie mogą zaświadczyć.

— W Zbarażu tacy ludzie, że wszystko mogą zaświadczyć. A nasz kołchoz to nie towarzystwo dobroczynne. Nie będziemy trwonić socjalistycznego mienia.

— A po co mi to mienie? Jakby tak na racuszki...

— Pomagamy tylko rzetelnym kołchoźnikom.

Bachurka milkła na dobre, bo sama już nie wiedziała, czy była rzetelną kołchoźnicą, czy nie. Jej się zdaje, że tak. A może ktoś na nią nagadał? Czy to nie potrafią? Odwracała się i wychodziła. I im dalej szła, tym bardziej się upewniała, że ktoś musiał na nią nagadać, bo co by innego mogło być?

Nie zawsze, ma się rozumieć, wracała z niczym. Bywało, że i jej wypisywano kwit — na trochę kukurydzy w kaczanach, jeszcze nie całkiem zeprzałej, trochę żyta, które co prawda już zaczęło porastać, ale jeszcze nie całkiem porosło. Wtedy Bachurkę rozpierała dumą, wiedziała, że nie darmo przepracowała tyle lat, że oto na starość jest podzięką. W takie dni chodziła uszczęśliwiona, że sąsiedzi jej nie poznawali — widać coś dobrego starej się przyśniło.

Na wiosnę każdy ma pełne ręce roboty koło domu, a najwięcej — w ogrodzie. I w kołchozie wtedy najgorętsza pora — choć weź, człowieku i rozerwij się! Ale że się i tak nie rozerwiesz, to musisz i tu, i tam dobrze przyłożyć ręk. Tak też kobiety robią — wstają o świtaniu, grzebią na swoich grządkach, a jak słońce już dobrze się podniesie, wtedy za motykę — i w pole. Ale kiedy tak się spieszą do kołchozowego, to do roboty nie bardzo się przykładają. No i potem nie można ze wszystkim nadążyć...

Wtedy to posyła się po stare baby, po kalleki, ściąga się uczniów ze szkoły. Nawet ta-

kiego, co nie ma nogi, i tylko buty szyje czy łąta siedząc kołkiem w domu, nawet takiego zagadują — pomóż, człowieku, bo taka pora, że każdy dzień na wagę złota. I człowiek nie odmawia. Idzie i robi, co mu każą, bo inaczej nie można.

Do Bachurki też się przymawiają. Stara po-
leżałaby sobie, bo jak pocieplało, w kościach ją łamie i nogi się trzęsą.

— Na pole — powiada — jeszcze zajdę, ale z pola to już mnie chyba przywieziecie.

— Nic, nic — mówią — wy, babko, jeszcze dziesięć młodych dziewczuch zapędzicie w ką.

— Tak myślicie? — uśmiecha się z wysiłkiem, rada dobremu słowu. — Ale ja przecie nie jestem kołchoźnicą.

— Jesteście, jakże nie — przekonują starszkę. — Całe życie pracowaliście w kołchozie. Stara gwardia!

— Pewno — mówi Bachurka, ucieszona, że i ją zaliczają do starej gwardii. — A Frośka poszła? A u Seklety byliście? A u Horpyny? — wylicza swoje dawne przyjaciółki.

— Byliśmy, i jeszcze raz pójdziemy. No to jak?

— Już się zbieram i idę...

No i niech teraz, po tym wszystkim, ktoś powie, kiedy Bachurka jest kołchoźnicą, a kiedy nią nie jest.

To znowu jakoś rozdawał kołchoz cielęta między ludzi. Sroga była wtedy zima, w stajniach mróz jak na dworze, ino patrzeć, jak wszystko pozamarza. A krowy cielą się, nie zważają na to, że w powale dziury, a w ścianach jeszcze większe. To samo maciory. Zda-

wałoby się, że mogłyby poczekać z prosieniem, aż się trochę ociepli, ale czy one coś rozumieją? Dają przychówek, i to niezgorszy, cóż, kiedy drobiazg żywcem zamarza. Świniarkom płakać się chce, jak na to patrzą. Tak się starały, tak doglądały, ale czy to da się ustrzec?

No i zaczęto rozdawać młode między ludzi, co prawda już przed samą wiosną, kiedy i paszy zabrakło. Niektórzy nie chcieli brać, to im z kołchozu do chałupy przynosili: chcesz, doglądaj, nie chcesz, nie doglądaj, ale jak się coś stanie, będziesz odpowiadać. A dużo było takich, co sami przychodzili i brali. Po pierwsze wiedzieli, że i tak się nie wykręcą, a po wtóre... żal im było, naprawdę chcieli pomóc, bo przecie niby to własne, nie cudze.

Hanka Wołoch sama poszła, dali jej dwoje prosiąt. Od Homozów nikt nie poszedł, to im przynieśli do domu, też dwoje prosiąt. Chcieli dać nawet Klarze Stefanyszyn, ale przypomnieli sobie, że ona więcej miasta się trzyma, i nie dali. A o Bachurce czy zapomnieli, czy co, aż sama poszła prosić, żeby jej powierzyli cielątko.

— Cóż wy z nim będziecie robić? — pytali.

— Alboż ja nie potrafię go doglądnać?

— Toż wy sami potrzebujecie doglądu, babko! Nikogo przecież nie macie.

— Ja będę doglądać cielątko, a ono mnie.

— Wesoła z was kobieta, żarty się was trzymają.

— Dajcie, dajcie. Nie jestem gorsza od innych.

Dali jej jakąś mizerotę — zbiedzone toto, schuchrane, trzy ćwierci do śmierci. Tak czy

siak przypadnie u starej. Bachurka wzięła cieliczkę na postronek, żeby zaprowadzić do domu, a ta uszła kawałek i stanęła rozkraczywszy nogi — ani w te, ani wewte. Stara i poszturchiwała, i prosiła, a to tylko wytrzeszczyło oczy i trzęsie się całe na tych swoich cieniutkich patyczkach. Na szczęście trafił się dobry człowiek, jechał saniami, to wsadzili na sanie i jakoś dowieźli.

Bachurka trzymała cielątko w izbie. Pewno, że można było w komórcie czy w sieni, ale jak się tak zastanowić, to przecie izby od tego nie ubędzie. Akurat znalazło się miejsce w kąciuku. I we dwójkę zawsze cieplej i różniej. W chałupie wieczna pustka, a tak będzie jakieś żywe stworzenie.

— Miń-miń-miń — przemawiała Bachurka do cielęcia, kiedy już je nakarmiła i napoiła. — Chodź do mnie, nie bój się.

Cielę stało w kącie i bało się podejść, patrzyło tylko na Bachurkę, siedzącą na łóżku, okrągłymi, błyszczącymi oczami.

— Ckni ci się do mamy? — pytała stara. — Chcesz mleka? No to niech ci się odechce, i tak by ci nie dali, wszystko odwożą do skupu. Ale nie martw się, zaraz ci przyniosę. Powiadasz, że nie dadzą? Pewno, że nie zechcą dać, ale mam przecie język nie od parady, jakoś wyproszę.

Brała garnuszek albo dzbanek i naprawdę szła wypraszać mleko u ludzi. Mówiono jej, że nie ma, że własne dzieci siedzą o głodzie, na co stara odpowiadała: „Toż nie proszę dla siebie, ino dla cielątka. Gdzieżbym śmiała prosić dla siebie!”

— A kto was tam wie, dla kogo!

— Mam się przysiąc?

Co tam Bachurce mówiono, to mówiono, ale z pustym garnuszkiem nie wracała. Jak nie świeżego, to zsiadłego mleka przynosiła albo odciąganego. Poila swoją czerwoną figlarę, coś przy tym mruzczała, uśmiechała się — całkiem jak dziecko, co się bawi z żywą istotą.

Miała Bachurka troszkę łąkowego siana — nażęła kiedyś na wiosnę i wysuszyła pod chałupą. Cieliczka mamląła siano i w izbie pachniało zieloną swobodą i ciepłym przestworem. Gotowała dla niej ziemniaki, narządzała picie. Różnie bywało, nieraz sama nie zjadła, ale o cielątku nie zapomniała. I nic to, że może w izbie cuchnęło gnojem i moczem. Bachurka szybko przywykła do tych zapachów, nawet zaczęły jej się podobać.

— Oho, jakie to z nas panny — przemawiała do cieliczki. — Żeby się już ciepła doczekać, można będzie wyjść na dwór, pobiegać.

I tak sobie żyły we dwójkę. Nikt nie mógłby o nich złego słowa powiedzieć — w zgodzie żyły, dobrały się względem charakteru. Chodziła Bachurka do mleczarni, żeby jej dawali chude mleko dla cielątka, to jej powiedzieli, że nie ma takiej instrukcji. Mówiła brygadziście, żeby jej wypisał trochę siana, bo to, co miała, już się skończyło, a cieliczka, bez uroku, chce jeść, ładna z niej będzie krówka. A brygadzista jej na to, niech sama jakoś sobie radzi, nie po to rozdało się młódz między ludzi, żeby potem wszystko ciągnęli z kołchozu!

I stara uspokoiła się. Ale trzeba było trafu, że doszło do niej, iż niektórym z tych, co do-

glądają kołchozowego bydła, przecież coś tam wydają. Bachurka wpadła w gniew, chciała wziąć cielę na postronek i odprowadzić do kołchozu. Ale nie odprowadziła, żal jej się zrobiło. I co baba umyśliła? Jak się już całkiem ściemniło, wzięła płachtę i poszła kraść na kołchozowe obejście. I gdybyż ją jeszcze tak przycisnęła bieda, że nic, tylko z mostu w wodę, gdzie tam! Zaślepił Bachurkę gniew!

Koło obory stały stogi grochowin, słomy owsianej, stało też kilka kopek siana. Rozumie się, że ani grochowiny, ani słoma owsiana nie nęciły starej. Tylko siano. Akurat była zadymka, wiatr hulał nad samą ziemią bijąc śniegiem w twarz. Bachurka bez przeszkód podkrađa się do kopki, nałożyła pełniuteńką płachtę — i z powrotem. Ale widać złe ją prześladowało, nigdy nie miała szczęścia. Jakiś szczeniak czy inna zaraza narobiła jazgotu, przestraszyła starą na amen i musiała obudzić kóregoś z koniuchów, bo nagle Bachurka usłyszała za sobą czyjeś sapanie... Zaskrzypiał śnieg... Sama nie potrafiłaby powiedzieć, jak wtedy uciekała! A przecież ją złapali i rozpoznali.

Ile to było szumu! Rano cała wieś już wiedziała, że złapano Bachurkę na kradzieży. Znaleźli się tacy, co się nawet cieszyli — nie tylko im się takie rzeczy przytrafiają! Ale inni współczuli starej — nigdy nic takiego nie miała na sumieniu i raptem!.. Hanka Wołoch wsiadła na Bachurkę:

— Trzeba wam było tam chodzić, co?!

— Gdybym to wiedziała, że mnie złapią...

— Co wy się tak zabijacie o to cielę? Lepiej, żeby zdechło, niż tak się zhańbić!

— A ty niby swoich prosiąt nie dogładasz —
odgryzła się Bachurka.

— Takie one moje jak wasze!

Dużo wtedy mówiło się w Zbarażu o Bachurce. A stara wciąż czekała, że ją wezwą do zarządu albo od razu przyniosą wezwanie do sądu. Ale czas mijał i jakoś jej nie wzywali. I stara trochę poweselała. Aż przyszedł taki wiosenny dzień, kiedy zabrano od niej cieliczkę — było już czym karmić bydło i cały rozdany przychówek wracał znów do kołchozu.

Wzięli cielę na sznurek i poszli. A Bachurka stała na podwórzu, własnym oczom nie wierząc. Jakże to tak, ma teraz zostać sama? Nie mogła się z tym pogodzić. Poszła za swoją cieliczką do obory, cały dzień się tam kręciła. Nazajutrz z samego rana — znowu do obory. Ale wszystko było zebrano w stado i popędzono w pole. Bachurka ze smutnie zwieszoną głową podreptała do domu...

Nie mogła zapomnieć tej cieliczki i choć ta już wyrosła, już się goniła, już i sama wydała na świat byczka, Bachurka zawsze o niej pamiętała. I czuła się jakby nie taka całkiem sama na świecie, jakby zjawił się w jej życiu krewny, nie krewny, ale ktoś bliski; miała o kim myśleć, o kogo się troszczyć i o kim opowiadać Hance Wołoch i wszystkim sąsiadom i znajomym...

Nie ma rady, musi Hanka jakoś ściągnąć się na nowy dom, bo jej chałupa ma więcej lat niż Bachurka. Co tam Bachurka, babka jest młodziutka w porównaniu z nią. A chałupa sama

już nie wie, na który bok padać. Jedna ściana całkiem osiadła, jakby do połowy ugrzęzła w ziemi, druga chyli się i chyli, popodpierana różnymi drągami, żeby się nie zawaliła. No dobrze, tej jesieni jeszcze się nie zawali, przyszłej też nie, a co potem? Kto może wiedzieć, co będzie potem.

Ze strzechą jeszcze pół biedy. Ile dostanie się świeżych snopków, tyle wymienia się zgniłych. Jednego roku tu się załata, drugiego tam, i jest jak z tym kozuchem, co to już całkiem znooszony, łata na łacie, a nie jest dziurawy, i ciepły, bo te łaty grzeją. Z polepą też nie ma kłopotu. Bo jak wydepczą się dziury czy trzeba pomazać, to idzie Hanka do glinianki, przynosi w worku trochę gliny, pozalepia dziury, pomaze i nikogo nie musi o nic prosić ani pół litra stawiać na stół.

Myśleć o nowej chałupie Hanka myślała, ale gdybyż to chałupa tak z samego myślenia wyrosła! Chodziła też do Drobachy, żeby choć trochę jej pomógł.

— Wypisać ci drzewa na chałupę? I przywieźć? — Przewodniczący założył nogę na nogę, jego chromowe buty nie tyle skrzypnęły, co wrzasnęły, i wpatrywał się w Hankę. — Masz ty sumienie, **kobieto?**

— Jakie sumienie? — zdziwiła się Hanka.

— Otóż to właśnie! O nic cię głowa nie boli!

— Kto powiedział, że nie boli?

— A jak nawet boli, to nie o to, co trzeba. Musimy oborę wyremontować, postawić nową stajnię, koszar też do niczego... Nic ci nie poradzę. **Idź!**

Spokojna z HANKI kobieta, nawet cicha, ale bywa, że i ją porwie złość.

— Ale innym dajecie! Ławruszczenkowie pobudowali się? Pobudowali. Czy im nic kołchoz nie dał? Dał!

— Dajemy tym, którzy na to zasługują. U Ławruszczenków duża rodzina i wszyscy pracują.

— A u mnie mała?

— Ławruszczenków ojciec nie wrócił z frontu.

— A nasz wrócił, tak?

Twarz Drobachy pociemniała, jego małe oczy zrobiły się jeszcze mniejsze, jak dwie szparki.

— Ty mi tu nie urządź śledztwa!

— Nie, wy mi odpowiedzcie, nasz wrócił, co? — nalegała Hanka, a w jej głosie czuło się łzy. — Odpowiedzcie!

— Ty, kobieto, jeden dzień w polu, a dwa na swoim ogrodzie się grzebiesz.

— A nasz wrócił, co?

Drobacha podniósł się z za stołu, zacisnął zęby, aż mu zuchwy wystąpiły.

— To ja mam żyć pod gołym niebem czy jak? — nacierała Hanka.

— A to już nie moja rzecz!

Tego samego wieczora zdarzyła się taka historia. Przyleciał zapłakany Tolek i powiedział, że dozorca kołchozowy zajął ich gęsi, bo wlażyły w groch, i zamknął w kurniku za stawem. Hanka jak to usłyszała, o mało trupem nie padła. To po to trzyma tych parę gęsi, żeby je zajmowano, po to posyła Tolka, żeby harcował z dziećskami? Tolek czując swą winę tylko pociągał nosem.

Co miała matka robić? Spódnice w garść —

i hajda! Koło kurnika spotkała akurat dozorcę Macedona.

— Gdzie są moje gęsi?

— Oj, gdzie twoje gęsi! — miękkim i łagodnym, nieomal kobiecym głosem odpowiedział Macedon. — Zerwały się i poleciały!

— Wypuszczajcie moje gęsi! — zażądała Hanka, której nie do żartów było.

— Gęsi już nie są twoje — łagodnie wyjaśnił Macedon.

— A czyje? Może twoje?

— Kołchozowe. Pasły się w kołchozowym grochu, to są kołchozowe. A jak chcesz odebrać, zapłać za szkodę. Po trojaku od dzioba. Ile masz tych dziobów? Dwanaście? Dawaj trzydzieści sześć rubli.

— A skąd ci wezmę? Słuchaj, Macedonie, nie doprowadzaj mnie do szału. Dziecko odwróciło się na chwilę, to wlaży w szkodę. Czy to można dopatrzeć?

— Drobacha powiedział, że kara musi być.

— Niech Drobacha nałoży karę na swoją lochę, co marchew zryła! Nie nałożył, prawda?

— To nie moja sprawa — mruknął Macedon.

Siadła Hanka pod kurnikiem, objęła głowę rękami. Już dobrze zmierzchno. Macedon cały czas kręcił się w pobliżu, a potem:

— Pewno, że to dla ciebie wielki pieniądz. Ale Drobacha tak kazał... Wiesz co, teraz ja pójdę, a ty posiedź jeszcze trochę i potem sama wypuść gęsi. Powiesz, że ja nic o tym nie wiedziałem, żeś ty sama...

— Trzeba było tak od razu...

— Czyż ja ci jestem wrogiem? Ale potem

mnie będą się czepiali. W razie czego, sama będziesz odpowiadać.

— Już odpowiem, niech tylko spytają!

Przypędziła gęsi do domu już hen, hen po nocy. Wszystkie dzieci siedziały na progu, czekały na nią. Tolek zaśmiał się radośnie, w jego śmiechu pobrzmiwały niewypłakane łzy.

— Jutro wszyscy razem będziecie paść. Nie pędźcie za staw, koło grochu, trzymajcie się bliżej domu. Słyszysz, Iwanie?

Ledwo zjedli kolację, ledwo dzieci ułożyły się i zasnęły, a tu jakby ktoś przeszedł pod oknami. Nawet całkiem cicho ziemia zadudniła, ale Hanka usłyszała. Kto to może być o tej porze? Uniosła się na łokciu, nasłuchując. O, ktoś skrobął po szybie, prosi, żeby go wypuścić. Prędyutko się ubrała i wyszła do sieni.

— Kto tam?

— Otwórz, Hanko, mam coś pilnego do ciebie.

— Ale kto?

— Co to, nie poznajesz? To ja, Macedon.

Rzeczywiście Macedon, że też od razu nie poznała go po głosie. Może przyszedł odebrać gęsi? Ale przecie sam kazał jej wypuścić!

— Jaka choroba cię przyniosła? — spytała otwierając drzwi.

— Nie choroba, Hanko, nie choroba... Może wpuścisz do izby, to pogadamy.

— Dzieci śpią, gadaj tu.

— Można i tu... Za taką rzecz godziłaby się ćwiartka, nie?

Hance kamień spadł z serca. Pewno, czemu by nie? Powinna go była sama poprosić, ale Macedon swój rozum ma, i tak przyszedł. I tam

w sieni go ugościła — zawsze miała pod ręką butelczynę na takie okazje. I starej słoniny urznęła na palec, i skórkę chleba dała — może zjeść, może wachać.

— Być dozorcą to nie taka prosta rzecz — mówił Macedon. — Może mi jeszcze troszkę należysz? — I wychyliwszy, ciągnął dalej: — Nikomu człowiek nie dogodzi, a co już mówić o sobie!

— No, sobie jakoś umiesz dogodzić — rzuciła Hanka.

— Nikt nie jest wrogiem dla samego siebie. Takich teraz nie ma... A ty, Hanko, też się napij wódki. Ona pomaga, przeklęta.

— Niech ją licho, gdzie bym ta piła! Gorzkie toto jak piołun.

— Spróbuj. Z początku gorzka, a potem — dobra.

— Chyba że kapinkę.

Macedon chrupał w ciemności cebulę. Hance wydało się, że on się uśmiecha, i jakby jaśniej, cieplej zrobiło się jej na duszy. A może dlatego, że posłuchała Macedona i golnęła sobie?

— Moja rzecz to mieć głowę na karku — wódka rozwiązała Macedonowi język, mówił coraz prędzej i prędzej, prawie zachłystując się. — Nie do wszystkich mam jednakowe podejście.

— Czemuż to?

— Takie jest życie, Hanko. Coś tam chyba jeszcze w butelce zostało... Dziękuję... Ależ gorzka! Pewno z melasy, co? Aha, z buraków! Już dawno takiej gorzkiej nie piłem... A ty wiecznie sama i sama. Jeszcześ nie stara, może...

— Gdzie mi tam...

— Ale, Hanko, nie mów tak. Czy to ja nie widzę?

— Co widzisz?

— Widzę. Nalej, to ci powiem... Ta butelka chyba nie ma dna. Widzę, że nie jesteś znowu taka stara.

— Cha-cha! — ledwo wstrzymywała nagły śmiech.

— Myślisz, że jak już młodziutka, to musi być dobra? Gdzie tam! Różne już wypróbowałem, wiem. Taka zielona nie ma żadnego pojęcia, a bez pojęcia nie można...

— Dlaczego?

— Bo takie jest życie, Hanko.

— To czemu ono jest takie?

— Czy ja wiem... Ludzie je takim zrobili.

— A my kimże jesteśmy?

— Czy ja wiem... Posłuchaj, co ci powiem...

— Idź już sobie, bo jeszcze kto zobaczy albo usłyszy. Todos i Martocha tylko czekają, żeby mi dosolić... Oj, dajże spokój, trzymaj ręce przy sobie. Cha-cha! Przestań, Macedonie!

W tej chwili skrzypnęły drzwi od izby i rozległ się cieniutki głosik Sani:

— Mamo, kto was dusi?

— Bóg z tobą, dziecko — powiedziała Hanka zasłaniając sobą Macedona — co ty wymyślasz? Nikt mnie nie dusi.

— A czemu jesteście w sieni?

— Duszno mi było, wyszłam się przewietrzyć. Idź spać, zaraz wrócę.

— A z kim to rozmawialiście?

— Z kimże miałam rozmawiać? Mruczałam coś sama do siebie i tyle.

— A kto tak sapie?

— Nikt nie sapie. Pewno gęś w chlewiku westchnęła.

Sania zamknęła drzwi i potupała do łóżka. Macedon wysliznął się na dwór, schylony przeszedł popod oknami i rozpląnął się w ciemności. Hanka powstała jeszcze trochę na progu, zapatrzyła się na gwiazdy, wsłuchiwała w nocną ciszę. Czuła gorycz w sercu i czegoś było jej żal, ale czego, sama nie wiedziała.

Układając się do snu burczała na córeczkę:

— I po co to łązić po nocy i śledzić matkę, co? Czy to nie wolno mi wyjść na dwór, odechnąć trochę świeżym powietrzem? Już sama nie wiem, co to za dzieci!

Ale dzieci spały i nic z tego nie słyszały.

Hanka najmniejszego pojęcia nie miała o tym drzewie, ale przyleciała Bachurka — było już Bóg wie jak późno — i zaczęła trajkotać szep-tem:

— Szczęście samo pcha ci się do rąk. Tam koło mnie stoi ciężarówka, jakichś dwóch spryciarzy chce sprzedać drzewo. Takie słupy, że miło popatrzeć. I nie chcą drogo. Tobie akurat by się przydały.

— Za co kupię? Nie mam nic schowanego w pończosze...

— Coś może wytrzesiesz, a trochę ja ci pożyczę.

— Ależ nic nie mam, babko!

— Trzeba pobiegać po sąsiadach.

— Dużo dostanę u Homozów, a jakże!

— Nie ci, to inni. Nie wszyscy są tacy.

A gdyby się tak naprawdę odważyć? Za to jeszcze nikt jej głowy nie utnie, a jakby się poszczęściło? Pobiegnęła. Prawdę mówiła Bachur-

ka — przed jej chałupą stała ciężarówka, motor warczał, niby to zatrzymali się tylko na chwilę, żeby napić się wody, i zaraz ruszą dalej. Hanka podeszła bliżej, pomacała drzewo — piękne słupy, ale za darmo przecież nikt nie da. Chciała wracać do domu, bo nie miała żadnej nadziei na kupno, ale Bachurka prawie siłą zaciągnęła ją pod szoferkę.

— Gdzie wy się podziewacie, kobieto! — gniewał się szofer. — Musimy już jechać — i schylił się w kabinie, jakby miał zaraz coś tam nacisnąć i ruszyć z miejsca.

— Nim znalazłam kupca...

— No to jak, ciotko, bierzesz czy nie? — przerywając Bachurce zwrócił się szofer do Hanka.

— Jakbyśmy się pogodzili co do ceny — nieśmiało bąknęła Hanka.

— Pogodzimy się — twardo rzucił szofer i wymienił cenę. Była rzeczywiście niewysoka, dlaczego by się nie zgodzić?

— Niech będzie i tak — ucieszyła się Hanka. — Tylko muszę jeszcze co nieco dopożyczyć.

— No to jazda po pożyczkach, a babka pokaże, dokąd zawieźć.

Łatwo się mówi — pożyczyć. Ale chodź tu po ludziach śród nocy, kiedy wszyscy śpią. Zresztą i w dzień nic się człowiek nie doprosi. Stała Hanka na środku ulicy — do kogo iść? Może do Ławruszczenków? Ale, sami niedawno się pobudowali, gonią ostatkiem sił, popatrzeć na kogokolwiek z ich rodziny — oczy zapadnięte, żyły jak postronki nie tylko na rękach, ale i na piersiach, na czołach. Nie, trzeba nie mieć

sumienia, żeby iść do nich... Może do Macedona? Ale zaraz odegnała tę myśl. Jeszcze by tego brakowało, żeby biegła po nocy do Macedona. On do niej, a ona do niego. To by ci dopiero było pięknie!... A jakby tak do Homozów? Todos ma gotowy grosz, Martocha także... Gdyby się byli nie pożarli o miedzę, może by i zwróciła się do nich, ale po tym, jak chcieli przesunąć jej miedzę — za nic w świecie!

Przypomniała sobie, że Klara Stefanyszyn przyjechała wczoraj z miasta. Niosła pełniutką siatkę obwarzanków i jeszcze jakieś pakuneczki w papierze. Klara może mieć, a może i nie mieć, bo co zarobi, to rozpuści, ale kupić nie kupić, potargować można. Jak sama nie da, może coś poradzi.

Na pukanie w szybę Klara od razu otworzyła, widać jeszcze nie spała.

— To ty, Hanko? Co się stało?

— Pożycz pieniędzy. Poratuj. Trzeba mi tyle a tyle.

Nie pytając o nic Klara zaraz przyniosła. Hanka osłupiała z radości. Trzymała w ręce banknoty przesiąknięte jakimś słodko-mdłym zapachem, a w oczach drżały jej łzy...

Przybiegła na swoje podwórze, a drzewo już leży na ziemi — szofer ze swoim pomocnikiem szybko się uporali. Wzięli pieniądze (obyło się bez pożyczania u Bachurki), ale od poczęstunku wymówili się, widać naprawdę się im spieszyło.

— Trzeba było chociaż zapytać, co to za ludzie — powiedziała Hanka.

— Można już nie pytać, kiedy drzewo jest u nas — odparła Bachurka. — Jacyś porządni ludzie.

Tej nocy Hanka nie mogła usnąć. A ledwo na dworze poszarzało, już się kręciła po obejściu, bez żadnej potrzeby, ale coś ją ciągnęło do tych słupów, żeby chociaż na nie popatrzeć. Zwróciła uwagę na wypisane smołą numery — nie byle jakie muszą być te słupy, kiedy każdy jest znaczony.

Jeszcze słońce nie wzeszło, a już do Hanki zaczęli zaglądać sąsiedzi. Bo na Chacapetówce nic się nie da zrobić, żeby inni nie wiedzieli. Wypytywali, od kogo kupiła, ile dała, cmokali, chwalili. Dom zbudowany z takiego drzewa powinien stać wiecznie. Słupy dzwoniły, kiedy w nie uderzano, i chata powinna być jak dzwon. Hanka nigdy chyba jeszcze nie czuła się taka szczęśliwa. Niby nie było z czego się śmiać, a śmiech sam wyrywał się z piersi.

— Nim postawię nową chałupę — opowiadała — będę mieszkać w starej. A ze starej też będzie jeszcze jakiś pożytek — i dyle, i łaty, nie trzeba będzie już o to się starać.

— A gdzie postawicie nową? — pytano.

— Tuż przy starej. Tak żeby można było od razu się przenieść.

Todos i Martocha też wyszli popatrzeć na jej nabytek. I jakoś samo tak się stało, że Hanka uśmiechnęła się do nich. Ale twarze Homozów nie rozpogodziły się. Postali chwilę, jakby przeżuając coś w ustach, i bez pośpiechu wrócili do chałupy.

A przecie te numery wypisane smołą nie dawały Hance spokoju. Wzięła motykę i zaczęła je zeskrobywać. Lepiej, żeby nie było żadnych znaków. Bo nie wiadomo, kto je zostawił... Dom zbuduje na dwie izby. W jednej stanie piec,

będzie się tam jadło i spało. W drugiej będzie świetlica, dla gości, oni sami tylko w święto będą tam zaglądali. Okna zrobi szerokie, żeby więcej słońca wpadało do środka, nie chce już tych wąskich, ślepowatych szybek. Godziłoby się też pokryć nie słomą, ale... gdzie tam, na dachówkę się nie ściągnie. A o blasze szkoda nawet myśleć.

Zdzierała numery i spod oka popatrywała na podwórze. Płot już całkiem do niczego — stary, wiatrami i szarugą strzepany, a co łoziny z niego się powyciągało, kiedy nie było czym palić! Do nowej chałupy godziłoby się nowe ogrodzenie. Żeby tak z desek! Ogrodzenie być musi, bo to i cudze bydłę włazi na podwórze, i to, i tamto, a najważniejsze — trzeba się wystrzegać ludzkich oczu. Czy to mało złych ludzi, co zawistnym okiem będą patrzeć na jej nową chałupę?

Poszła w pole. Słońce już hen, hen podniosło się na niebie, kiedy wzięła się do okopywania ziemniaków. W południe posiadały kobiety do jedzenia i zaczęły wypytywać, od kogo kupiła drzewo, ile zapłaciła. Hanka chętnie odpowiadała, rada, że całutka wieś już o tym wie. Żeby nawet chciała kryć się, jak to robią inni, i tak by nie potrafiła.

— Zawołam majstrów — mówiła — przygotują mi materiał, a dopiero potem będzie tłoka. Przyjdą ludzie, kto zechce, i pomogą. Nie będę odkładać do przyszłego roku, bo odkładanie nic nie daje.

— Nie ma lepszych cieśli jak w Nowej Grobli.

— W Turbowie są może jeszcze lepsi, ale ja

poproszę naszych. Na miejscu to zawsze łatwiej ich zastać w domu i łatwiej się dogadać.

— Grzech by było nie poprosić Hordija Pylawcia.

— Bez Hordija wody nie poświęcisz — przyznała Hanka.

— I Makara Szynkarenkę...

— Tak, drugim majstrem będzie Makar.

Już następnego dnia Hanka odwiedziła i Hordija, i Makara. Obaj zgodzili się przyjść, radzili, o co jeszcze ma się postarać, żeby nie było zwłoki w robocie. A potem przyjdą ludzie, popracują — i chałupa będzie gotowa. Radzili zaraz przywieźć gliny, żeby była na podorędziu. Tak samo gwoździe, klamki, szkło. Warto by też wcześniej zrobić ramy okienne. Niech Hanka sobie nie myśli, że wszystko samo się znajdzie, samo przyjdzie do domu. I o wódkę na tłokę trzeba się zatroszczyć, bo ludzie nie tylko pracować lubią, ale i wypić.

— Zajrzyj do kuźni, do Panasa, on ci pomoże.

— Nie pójde do Panasa — sprzeciwiła się Hanka, bo sobie przypomniała, jak to kiedyś chodziła do Bałki, żeby posłał do niej kowala na kwaterę.

— To do Macedona. Ten o wszystko może się postarać.

Tak tylko wspomnieli o Macedonie, czy już coś do nich doszło?

A wieczorem tegoż dnia przed Hanczyne obejście przytoczył się ogromny kłęb kurzawy i jak tylko trochę osiadł, Hanka zobaczyła samochód z podniesionymi klapami. Od razu się jej ten gazik nie spodobał, pomyślała nawet,

że to może tych dwóch, co to jej sprzedali słupy. Z kabiny rzeczywiście wysiadło dwóch ludzi. Rozejrzeli się niepewnie dookoła i tak samo niepewnie pchnęli furtkę. Hanka prędko zamknęła się od środka — zobaczą, że nikogo w domu nie ma i pojada sobie.

Tamci weszli na podwórze — i od razu do słupów. Obejrzeli, uśmiechnęli się do siebie i prościutko do drzwi. „Pukajcie, pukajcie — myślała Hanka — akurat wam otworzę! Wy mnie stąd ani dymem nie wykurzycie, ani wodą nie wystraszycie”. Ale tamci nawet długo nie pukali. Po chwili zahurkotało pod oknami, gazik wjeżdżał na podwórze. Tego już Hanka nie mogła spokojnie ścierpieć! Wypadła na dwór i rozwścieczona stanęła przed samochodem, jakby własną pierś chciała go odepchnąć.

— Precz stąd! Co to za moda jeździć po cudzych podwórzach?

Krzyczała, ale w środku wszystko w niej zamarło. Wtedy podszedł do niej ten, co był w granatowych bryczesach i zielonej kurtce, a kiedy zaczął mówić, czubek długiego nosa dotykał górnej wargi.

— My — powiada — chcemy odebrać swoje.

— Nic wam nie ukradłam! Jeszcze będą ze mnie robić złodziejkę!

— Wcale nie robimy. Ale nas okradli. Przywieźliśmy słupy, żeby przeprowadzić elektrykę, i ktoś ukradł.

— Jakże ja mogłam wam ukraść, alboż ja wiem, skąd wy jesteście? I co, na własnym grzbiecie przytaszczyłam czy jak?

— Nie mówię, że wyście ukradli. Ktoś inny ukradł i wam sprzedał.

— To szukajcie złodziei!

— My szukamy słupów, a złodziei niech już milicja szuka.

— Odbierzcie sobie wasze słupy od tego, kto wam ukradł. Ja wam nie ukradłam!

Todos i Martocha już stanęli pod swoją chałupą i przysłuchują się. Hanka nie patrzy na nich, ale całą sobą czuje, jak tamci się cieszą. A żeby was Pan Bóg skarał za tę waszą radość! Że też te słupy przyplątały się do niej, a nie do Homoza! O, wtedy ona by się śmiała, i to jeszcze jak!

Nadeszła Bachurka i od razu do tych dwóch:

— Zobaczcie najpierw, czy to wasze słupy. Może nie wasze.

Ten z długim nosem usłuchał, ale widać zrobił to tylko na odczepkę. Zaczął oglądać słupy, nachylając się tak, że o mało nie dotykał ich tym swoim gasidłem.

— Nasze, nawet z numerami. A wyście już — to do Hanka — te numery zestrugali, żeby za-trzeć ślady.

— Szukajcie złodziei — Hanka mu na to, ale w środku już się w niej coś oberwało, i taki ból, choć wargi gryź. — Ja was pierwszy raz widzę i nic wam nie ukradłam.

— Pewno, że nie ukradła! — pomagała Bachurka.

Tamci widać zrozumieli, że nic tu siłą nie wskórają, i odjechali. Homozowie jeszcze chwilę postali i też znikli. Hanka zamknęła wrota i znalazłszy jakiś drąg, mocno ścisnęła go w obu rękach.

— Co za ludzie! — wykrzykiwała Bachur-

ka. — Drzewo nie kradzione, zapłaciło się za słupy, a ci przylecieli zabierać!

Hanka odwróciła się, trudno jej było teraz mówić.

A Bachurka prawiła dalej:

— Jacy to mocni i sprytni! To ich trzeba było zapytać, co za jedni, czy sami nie złodzieje! Czy to mało teraz takich wszędzie, co tylko wypatrują, gdzie coś krzywo leży.

Hanka nie odzywała się. Bachurka, jakby chciała zrzucić z siebie jakąś winę, gadała jak najęta.

— Ich szczęście, że sobie pojechali, bo jeszcze by im się tu dostało!

Hanka nie mogła się już pohamować, zawrzała gniewem.

— Dostałoby się, a jakże! — przedrzeźniła starą. — A kto to przybiegł po nocy, obudził, powiedział o tych słupach? Co?

— Gdybym to ja wiedziała... — cichutko bąknęła Bachurka.

— Gdybym wiedziała! — znów przedrzeźniła ją Hanka. — Tyle czasy płaczecie się po tym bożym świecie, nie potrafiliście ułożyć własnego życia... Gdybym wiedziała! Podbechtaliście mnie, ogłupili. Możecie nie mówili, że szczęście samo pcha mi się w ręce? No i macie to szczęście!

— Gdybym wiedziała...

— Szkoda, że nie od was pożyczyłam pieniądze, tyle byście je widzieli!

Teraz Bachurka się rozgniewała.

— Toś ty chciała nie oddać mi pieniędzy?!

Spódnicę w garść — i hajda! Bardzo się Bachurka obraziła. Bo mówcie, co chcecie, ale ze szczerego serca chciała pomóc Hance, a ta —

macie! — powiada, że nie oddałyby pieniędzy. Czyż to ona ma je zakopane, że można nie oddawać? Dobrze, że nie pożyczyła, bo tyle by swoje pieniądze widziała!

Gdzieś po godzinie znowu zajechał gazik, teraz już z Semenem Bałką. Ostatnia iskierka nadziei, jaka tliła się jeszcze w sercu Hanki, od razu zgasła. Bo Semen to władza, z nim nie będzie długich rozhovorów. Sołtys pewnym krokiem, jak gospodarz, wszedł na obejście i nie widząc jeszcze nawet tych nieszczęsnych słupów, spytał z chmurną twarzą:

— Cóż to, kobieto, kradzione kupujesz?

— Niech szukają złodziei, niech od nich odbierają.

— Odbierzemy tam, gdzie trzeba. Od ciebie odbierzemy.

— To niech mi zwrócą pieniądze.

— Nas okradli i my jeszcze mamy płacić? — odezwał się ten z długim nosem.

Szofer roześmiał się głośno; miał długie, drobne zęby, podobne do przełamanych na wpół zapalek.

— Nie trzeba się upierać — rzekł Bałko. — Prawda jest po ich stronie.

— A po mojej? — wykrztusiła Hanka.

— To po co było zadawać się ze złodziejami?

Znowu odezwał się ten z długim nosem.

— Nie martwcie się, kobieto, o swoje pieniądze. My już wpadliśmy na ślad tych ptaszków, nie dziś, to jutro będziemy ich mieć.

I widząc, że Hanka nie będzie stawiała oporu, wziął się razem z szoferem do ładowania słupów na samochód. W tej chwili znowu wyszli na dwór Todos i Martocha, stanęli pod chałupą.

W ich twarzach Hanka dojrzała złośliwą uciechę. Miała chęć dzielić ich tym drągiem, co go miała w ręce, ale się powstrzymała. Niech pasą oczy cudzym nieszczęściem, niech!

— A ty, Hanko, się nie trap — pocieszał ją tymczasem Bałko, który zrobił się teraz dobry i łagodny, bo wszystko zakończyło się spokojnie i bez krzyku. — Nie pociągniemy cię do odpowiedzialności.

Hanka odwróciła się, żeby nie widzieć, jak słupy pomału znikają w samochodzie.

— Wiadoma rzecz — ciągnął dalej Bałko — że kto kupuje kradzione, tym samym pomaga złodziejom, gwałcicielom prawa. Ale u ciebie są okoliczności łagodzące, tyś o niczym nie wiedziała.

— Toż ja... zapożyczyłam się — ledwo wykrztusiła Hanka.

— T-tak... Pospieszylaś się i teraz masz! Jak by ci tu pomóc? Posłuchaj, kobieto. Jest wolne miejsce stróża przy sklepie. Na robotę idzie się tam w nocy, a nie w dzień. I rąk nie umęczysz, a zawsze coś tam dorobisz i jakoś pomalutku ściągniesz się na chałupę. Za dnia — w polu, a nocą — koło sklepu. No co, zgadzasz się? Z ciebie jeszcze mocna baba...

— Gdybym to ja była chłopem!

— Pewno, że chłopu lżej, ale i ty... I co tam jest do pilnowania! Tyle co nic.

— Żebym to ja miała dwa grzbiety albo cztery ręce i cztery nogi...

— Co tam za robota! Na jednej zmianie zarabiasz za dnia, a na drugiej śpisz sobie całą noc i za to także jakiś grosz leci. Dobrze ci życzę, a ty tego nie rozumiesz.

Todos i Martocha zniknęli dopiero wtedy, kiedy samochód, osiadając na oponach, ruszył. Ale jeszcze, nim weszli do domu, wyjrzeli na ulicę, odprowadzając go wzrokiem.

Sklep, czyli — jak mówili i mówią w Zbarażu — spółdzielnia, znajduje się obok szkoły. Mieści się w przysadzistej glinianej chałupie, w której żył kiedyś nie taki znowu bogacz, ale i niebiedny człowiek, Harasym Dżus. Jak była ta kampania, co to likwidowali wiejskich bogaczy, Dżusa zesłano do zimnych krajów. Nie wiadomo, może w tych zimnych krajach pocieplało, bo Dżus nigdy tu nie wrócił. Nie wrócił też nikt z jego licznej rodziny.

W chałupie Dżusa była najpierw czytelnia. Zbierali się tu niepiśmienni zbarażanie i nauczycielki czytały im broszury i gazety. Przed wojną zamieniono czytelnię na sklep; w czas wojny sklep stał pusty, z wybitymi oknami, bez drzwi; po wojnie trzymano tu kury, a potem ponabijano krat i znowu urządzono sklep. Przez te wszystkie lata chałupa Dżusa, zbudowana solidnie i mocno, pozostała prawie taka sama jak była, ale że jej nigdy nikt nie bielił, stała brudna, odrapana i w jej wyglądzie było coś ponurego.

Za sprzedawcę w sklepie był dziadek Hłemezdyk. Może nawet i nie był dziadkiem, ale że nie lubił się strzyc i chodził wiecznie zarosnięty i kudłaty, przewano go dziadkiem Hłemezdykiem (to było też przydomkiem; na imię miał Daniło, ale nikt go tak nie nazywał). Sklep przeważnie był zamknięty na kłódkę, a jak

chciało się coś kupić, biegło się do Hłemezdyka. Sprzedawca krzątał się koło uli albo w sadzie — był wielkim znawcą w tych rzeczach — i niechętnie odrywał się nawet dla rozmowy.

— Dziadku — prosiło się — nie sprzedalibyście mi trochę mydła?

— Jakiego mydła? — groźnie marszczył brwi Hłemezdyk.

— Jak to jakiego? Do prania.

— Nie ma do prania, jest tylko toaletowe.

— Po co mi toaletowe! Albo nim można co wyprać? Śmierdzi tylko, a pożytku żadnego.

— Ty mi tu nie gań państwowego mydła — burczał Hłemezdyk.

— Ależ nie ganię, tylko że mnie potrzebne jest mydło do prania.

— Nie ma.

— Przecie widziałam, jak Todośka niosła.

— To było wczoraj, dla niej jeszcze starczyło.

— A dziś widziałam, jak niosła Tanaśka, aż trzy kawałki.

— Dla niej też jeszcze starczyło, to było rano.

— A ja? Toż ja wam ogród kopałam, zapomnieliście?

— Kopałaś, powiadasz?

— I przyjdę jeszcze do okopywania, sama przyjdę.

— No to zagłędnij pod wieczór, może tam gdzie jeszcze zawieruszył się jeden kawałek.

— Ależ mnie trzeba choćby ze trzy!

— Weźmiesz toaletowe!

— Po co mi toaletowe!

Zaczynało się wszystko od początku, aż wreszcie Hłemezdyk mówił:

— No dobrze, przyjdź wieczorem, może tam jeszcze znajdę ze dwa kawałki.

— Mało, muszę mieć trzy.

I znowu zaczynał się targ. W końcu dziadek Hłemezdyk ulitowawszy się — i podkreślając całym swym wyglądem, że się tylko ulitował — obiecywał dać trzy kawałki.

W sklepie rzeczywiście nie było ani mydła, ani nic innego. A kiedy już to coś innego przywozili, to sprzedawali za jajka albo wydawali na przydział.

Gdy gruchnęła wieść, że Hanka będzie stróżem, z początku śmieli się z niej we wsi. A chłop Sońki Twerdostupichy, który sam miał chętkę na to miejsce, plótł takie brednie:

— A może ona już nie jest kobietą, co? Od dawna nie ma nikogo, to może zrobiła się z niej kurzaja.

Kiedy Hanka pierwszy raz przyszła do Hłemezdyka, że niby tak i tak, będzie tu stróżem, sprzedawca nawet nie popatrzył na nią, tylko splunął i roztarł nogą. Hanka pokręciła się po sklepie i już chciała wyjść, wtedy Hłemezdyk się odezwał:

— Bez strzelby nie przyjmę na robotę.

— A po co mi strzelba?

— Stróż bez strzelby to żaden stróż.

Jak się Hanka zastanowiła, to rzeczywiście, co to za stróż bez strzelby? Ot, wziąć na ten przykład takiego Stepana Rojika, co to stróżuje przy oborach — chłop ślepy na jedno oko, ale ma taką śrutówkę, że jak strzeli, to mało człowiek nie ogłuchnie. Ta śrutówka cała pookręcana sznurkami, drutem, coś tam w niej grzechocze, podzwania, kolba pęknięta na pół... Ale

czy to ważne, jak ona wygląda? Najważniejsze, jak się ją nosi... A Stepan Rojik nosi ją tak, żeby wszyscy widzieli, że idzie ulicą nie zwykły sobie człowiek, ale człowiek ze strzelbą.

Jak świat światem u Hanki w domu nigdy ani palnej, ani białej broni nie było. W jej rodzinie nikt nie umiał czy nie chciał polować. Ale tu taka sprawa, że Hanka musi mieć. Przypomniała sobie, że widziała coś takiego w chałupie Hordija Pylawcia. Hordij to majster — i stolarz, i bednarz, po co mu ta pukawka. Jak bardzo go będzie prosić, może jej da.

— Nie miała baba kłopotu — zdziwił się Hordij wysłuchawszy prośby Hanki. — A cóż ty będziesz z tą strzelbą robiła?

— Będę straszyć złodziei.

— Toż ona już ze sto lat nie strzela.

— A choćby nawet i dwieście — odrzekła Hanka. — Mnie to nie jest potrzebne, żeby strzelała. Chodzi mi tylko o wygląd.

— A jak naprawdę przyjdą złodzieje, to myślisz, że nastraszysz ich samym wyglądem?

— Jak przyjdą, to ja sobie z nimi i bez strzelby dam radę.

— Ja ci nie żałuję — powiedział Hordij. — Tylko żeby ci nie przyszło do głowy z niej strzelać, bo kto jak kto, ale ty na pewno oberwiesz.

Tak to Hanka zdobyła strzelbę. Była tak samo pookręcana drutem i pozwiązywana sznurkiem jak śrutówka Rojika. Teraz, mając strzelbę, Hanka mogła się uważać za prawdziwego stróża. I szczerze mówiąc, kiedy pierwszy raz szła z nią przez wieś, to jakby nawet mniej czuła się kobietą, a więcej — chłopem.

I tak we dnie Hanka machała łopata czy motyką w polu, a jak trzeba było, to i sierpem. A wieczorem, umęczona, nie czując nóg, wracała do domu, narządziła kolację dla dzieci i zjadłszy coś albo i nie zjadłszy, bo nie zawsze jadło chciało jej przejść przez gardło, szła do sklepu. Siadała na progu albo na stopniach gan-ku — i drzemała. Nie pozwalała sobie zasnąć, bądź co bądź była na służbie, pilnowała towarów w sklepie. Zaciskała strzelbę między kolanami, opierała się na niej i drzemała. Z początku roiły się jej straszne sny. Że złodzieje okradli sklep, a ją związali, zatkali jej usta szmatą. Wtedy zrywała się, wlepiła oczy w ciemność, obchodziła sklep dookoła, obmacując kraty na oknach i kłódkę na drzwiach, wypatrywała, czy nie ma gdzieś podkopu. Ale wkrótce przywykła i drzemiąc wszystko słyszała — jak gdzieś wóz zaturkotał, ktoś krzyknął koło klubu, jak w brzezynie chłopcy zawodzili pieśń.

Bywało, że Hanka z wieczora posyłała do sklepu swoich synów. Kręcili się tam nieraz do północy, a potem ona ich zmieniała. Ale bała się często ich posyłać. Po pierwsze, to jeszcze dzieci, po wtóre — szli bez strzelby, to co to za stróże! A po trzecie — bała się stracić to miejsce. Chłopcy prosili, żeby dała im strzelbę, ale Hanka nie mogła się odważyć; choć ta strzelba połamana i nie strzela, to przecież strach!

W tym roku ludzie we wsi jakoś więcej Hankę zauważali. I nie tylko zauważali, ale odnosili się do niej z większym uszanowaniem. A dlaczego? Bo przydzielona do sklepu, a choć ten sklep przeważnie świeci pustkami, to przecie czasem coś tam przywiozą. Perkał, powiedzmy,

plótno czy cajt. A nieraz nawet ciepłutką baję albo tanie chustki. Wiadoma rzecz, że dostanie ten, kto pierwszy złapie albo kto dobrze żyje ze sprzedawcą; takiemu Hłemezdyk odłoży albo powie, kiedy ma przyjść. No a teraz, odkąd Hanka jest w sklepie swoim człowiekiem, od niej też dużo zależy. Ot, spotka na ulicy i między innymi powie, że jutro z rana mają przywieźć drelich i niedrogi materiał, że trzeba przyjść wcześniej i zająć kolejkę, bo wszystko rozdrapią — czyż nie będzie jej człowiek wdzięczny za dobre słowo? A nieraz można ją poprosić, żeby kupiła coś, co Hłemezdyk nie każdemu sprzeda. I Hanka dostaje, jest przecie swoim człowiekiem w sklepie, nie będzie Hłemezdyk stawał z nią do kłótni.

Nie było trudne to Hanki stróżowanie, nie narzekała. Tyle tylko, że dzień i noc na nogach. Skoro świt, wychodzi w pole, popracuje trochę i już oczy się kleją. Robi coś — i śpi. Długo trwało, nim do tego przywykła, ale w końcu przywykła. Bo te niewielkie pieniądze, jakie miała ze sklepu, to też pieniądze. Spłaciła już dług u Klary, miała nadzieję, że odłoży jakiś grosz na chałupę.

Zdarzały się i śmieszne historie.

W tych stronach żadne obuwie długo nie wytrzymało: jesienią rozmokły czarnoziem stawał się taki grząski i lepki, że nie tylko buty w nim więzły i rozłaziły się; konie gubiły podkowy, a bywało i tak, że wóz wyjeżdżał z kołchozowego obejścia na czterech kołach, a wracał na trzech, o ile w ogóle wracał. Zbarażanie nauczyli się sami kleić chodaki z dętek samochodowych, bo kalosze były drogie i nie zaw-

sze można je było dostać, a jak już nawet ktoś nosił, musiał podwiązywać, żeby nie zgubić. Ale te chodaki też były na nic — błoto dostawało się do środka, podeszwy darły się i odklejały. Do gnoju czy do koni najlepsze były gumiaki, ale spróbuj je kupić!

Któregoś dnia Hanka posłyszała, że nazajutrz mają przywieźć do sklepu kilka par tanich gumiaków. No i powiedziała o tym Hordijowi Pylawciowi i Sońce Twerdostupisze; pracowała kobieta za dojarkę, tak się już ze wszystkiego wydarła, że gorzej nie można. Nikomu więcej nie powiedziała. A Hordij i Sońka widać jeszcze komuś szepnęli w sekrecie, a tamci — jeszcze komuś. O świcie, kiedy Hanka jeszcze pilnowała sklepu, zaczęli schodzić się ludzie. Przyglądali się zamkniętym drzwiom, zaglądali do okien, zajmowali kolejkę. Z początku Hanka sama nie zmiarkowała, po co tu się zeszli. Nawet pomyślała, co to takiego ma Hłemezdyk przywieźć z miasta, że już zawczasu tyle luda się naschodziło. Dopiero kiedy zjawili się Hordij i Sońka i zajęli miejsce hen, hen na końcu kolejki, domyśliła się, że to po gumiaki.

A Hłemezdyka nie było i nie było. Długo wypadło postać tego dnia w kolejce. Ktoś puścił pogłoskę, że gumiaki przywieźli ukradkiem i rozprzedali między swoich. Ludzie byli wzburzeni. Posłano do Hanki, żeby się dowiedzieć, czy to prawda. A jej odpowiedź dopiero narobiła zamieszania — Hanka oświadczyła, że o niczym nie wie.

Wreszcie około południa wrócił z miasta Hłemezdyk. Widząc kolejkę przed sklepem spytał, po co tu stoją. Od razu wsiedli na niego:

— Przyznaj się, coś zrobił z gumiakami!

— Ależ nic mi nie dali — tłumaczył się Hłemezdyk. — Powiedzieli, że wysłali do gospodarstw rybnych. U nas nie ma gospodarstwa rybnego, to nam nie dali.

Nikt mu nie uwierzył. Ktoś mruknął, że widziano dziś Dusię Ławruszczenko, przodownicę i aktywistkę, w nowych gumiakach.

— Ależ to wszystko nieprawda! — wzdychał ciężko i zaklinał się Hłemezdyk. — Dusia nie miała i nie ma żadnych gumiaków. Po coście się tu zeszli? Kto wam napłócił?

Powiedzieli mu, że słyszeli od Hanki.

— To u niej się upominajcie — poradził Hłemezdyk.

Akurat przejeżdżał obok sklepu Drobacha. Zatrzymał bryczkę i spytał surowo, dlaczego w porze pracy tyle narodu tłoczy się przed zamkniętą spółdzielnią. Dzień był mokry, niskie chmury wisiały nad chatami, a Drobacha miał na nogach... nowiutkie gumowe buty. Ludzie patrzyli nie na niego, tylko na jego nogi. Zbity z pantałyku Drobacha też spojrział na swoje nogi.

— Bo widzicie — zaczął mu tłumaczyć Hłemezdyk — ktoś puścił plotkę, że mają przywieźć gumiaki. I oni czekają.

Drobacha kazał się rozejść. Nikt nie ruszył się z miejsca.

— To wroga propaganda! — rozgniewał się Drobacha. — Za to będziemy karać! A ciebie, Daniło, wyrzucimy z pracy i oddamy pod sąd!

— Ależ to nie ja, to Hanka rozpuszcza kłamstwa — usprawiedliwiał się Hłemezdyk.

— Nie kłamstwa, a prawdę — rzucił ktoś

z tłumu. Wszyscy wciąż patrzyli na nogi Drobachy. — Między siebie podzielili, a dla ludzi to nic!

Całe szczęście, że Drobachę domyślił się, co i dlaczego. Roześmiał się i wyjaśnił, skąd ma te buty. Jedni uwierzyli, inni nie, ale przecież się rozeszli. Tylko Hłemezdyk długo jeszcze pomstował na Hanke i rozповідаł, że na niej nie można polegać, bo co z baby za stróż, w dodatku z taką luśnią, co to z niej nie da się nawet wystrzelić.

A skończyło się Hanki stróżowanie z całkiem innej przyczyny. Ktoś sprytniejszy na jej miejscu byłby się wykręcił, ale Hanka widać nie chciała... W sklepie nie wszystko od razu wykupywali. Bywało, leży coś miesiąc, dwa, leży pół roku — nikt nie kupuje i nie myśli kupować. Nawet nie pyta o cenę, a to już całkiem kiepsko. No cóż, nie idzie towar dziś, to może pójdzie za dwa lata, znajdzie się w końcu jakiś dureń, co kupi. W sklepie było dość wilgotno i od czasu do czasu Hłemezdyk wynosił to i owo ze swoich towarów na dwór, żeby przeszło na słońcu, przewietrzyło się, bo się całkiem zależy, nawet się już pojawił nie bardzo przyjemny zapaszek. Wynosił też cukierki — nie było na nie kupców nie dlatego, że może zbaraskim łąsuchom lepiej smakowały pieczone buraki czy jagody kaliny. Całkiem nie dlatego. Po prostu w sklepie leżały cukierki drogie, a każdy wie, że jak świat światem dla wsi najsmaczniejsze są te cukierki, co najmniej kosztują.

I tego dnia Hłemezdyk umyślił przewietrzyć swoje słodycze; poustawiał papierowe torby

pod oknami, a sam odwrócił się na chwilę, czy poszedł coś sprzedać jakiejś babie i wtedy to właśnie ktoś ukradł te cukierki. W pierwszej chwili Hłemezdyk własnym oczom nie wierzył, biegał naokoło sklepu, próbował szukać w krzakach, ale wszystko daremnie. Nie udało się nic znaleźć ani w rowach, ani na najbliższych ogrodach. Cukierki znikły bez śladu!

Hanka dowiedziała się o tej kradzieży jeszcze w polu. A kiedy wieczorem przysła pod sklep, to choć było późno, zastała tam Hłemezdyka. Grzebał się pod ladą, przestawiał coś na półkach; jego niedużej twarzy prawie nie było widać spod kudłów, a w oczach miał taką żalność, że Hance serce się ścisnęło...

— Ukradli — rzekł po długim milczeniu i grzotnął puszką z byczkami w pomidorach.

Hanka westchnęła ze współczuciem.

— Niedługo rozniosą cały sklep — burknął znowu Hłemezdyk.

Kobieta westchnęła jeszcze głośniej. A ten łypnął na nią spod oka i burczał dalej:

— Bo tak ty pilnujesz! A potem kto ma odpowiadać? Ja!

— Przecież nie w nocy ukradli — cicho powiedziała Hanka.

— O, ona by chciała, żeby jeszcze w nocy kradli! — rozżłościł się sprzedawca. — Trzeba tak pilnować, żeby ani w nocy, ani w dzień nic nie przepadło!

— W nocy nie kradną...

— Z ciebie taki stróż, jak z łajna kula — sepleniąc z gniewu wykrzykiwał Hłemezdyk. — Jakbyś dobrze pilnowała w nocy, to i w dzień nikt by się nie odważył wyciągnąć nawet palca!

— I co wy ode mnie chcecie? Przecież nie jestem temu winna!

— A pewnie, to ja jestem winien! Widzicie ją, ona jest święta! Gdyby się ciebie bali, gdybyś miała strzelbę jak się patrzy, to nikt i w dzień by się nie odważył.

— Wstydziłibyście się Boga, Daniło!

— Bóg to nie goły parobek, żeby się go wstydzić.

I Hanka musiała szukać skradzionych cukierków, tak jakby one czekały gdzieś na nią. Po kilku dniach znalazła koło szkoły podartą torbę papierową. Sprawka dzieciaków, wiadoma rzecz, ale spróbuj teraz znaleźć winnych! A gdyby nawet się ich znalazło, to czyż oni zwrócą cukierki?

Każdy, kto tylko spotkał Hanke, ze współczuciem wypytywał ją o kradzież. Tak jakby ona była w to zamieszana, jakby maczała w tym palce. Czuła, że to robota Hłemezdyka, ale co mogła poradzić? Pozostawało tylko jedno — rzucić to stróżowanie. I tak zrobiła. „Poszła na zieloną trawkę” — jak mawiano we wsi. A strzelbę odniosła Hordijowi, ani razu z niej przez cały czas nie wystrzeliwszy.

W sklepie rzadko kiedy ktoś kupował wódkę, chociaż częściej niż cukierki. Może by ludzie więcej kupowali, gdyby nie taka wściekła cena. Ta cena na butelce niby zły pies wódki pilnuje — boi się człowiek wyciągnąć rękę, żeby nie ugryzła. Kupuje się ją wtedy, kiedy przyjeżdżają do wsi pełnomocnicy z rejonu. Ale nawet i oni — nie tylko zbarskie chłopcy —

oddają pierwszeństwo samogonowi miejscowego wyrobu. Po pierwsze, można go dostać i o głuchej północy, i o świcie, nie musi się czekać, aż Hłemezdyk otworzy swoją „filie spółdzielni spożywców”. Po wtóre, jest taki mocny, że trzeba wypić najmniej trzy, cztery kieliszki, żeby poczuć smak. A po trzecie, jest o wiele tańszy od wódki. Ale nie myślcie, że to jest główna przyczyna jego powodzenia — ważniejsze są dwie pierwsze.

W Zbarażu prawie wszyscy pędzą samogon. A tak nauczyli się z tym kryć, że najbliżsi sąsiedzi się nie domyślają. Pędzą przy każdej okazji i bez okazji. Ktoś się żeni — już pędzą samogon, ktoś się rozchodzi — też pędzą. Urodzi się komuś dziecko — już myślą, jak by tu sfabrykować trochę gorzały, bo poschodzą się goście, zbierze się rodzina — nie można przecie posadzić ludzi przy stole i nie poczęstować melasówką czy cukrówką. A kiedy umrze ktoś z rodziny — znowu pędzą, bo zejdą się po pogrzebie sąsiedzi, przyjdą grabarze, stare dziady, babki, żeby wspomnieć dobrym słowem nieboszczyka, jaki to on był poczciwy i zdatny do wszystkiego, że niby złych i pazernych ziemia nie spiesz się przyjąć, a dobrzy ludzie mrą jak muchy, bo mili są Bogu.

Ma się rozumieć, że pędzenie samogonu było zakazane. Od czasu do czasu wpadała milicja z Turbowa i robiła rewizje po domach. U jednych znajdowała, u innych nie, bo czy to kto głupi, żeby trzymać aparat na widoku i czekać, aż przyjdą i go rozwalą? Zresztą i w milicji są dobrzy ludzie, co to drugiego rozumieją, i z nimi można się porozumieć, tacy nie zawsze za-

nadto gorliwie szukali i nie zawsze znajdowali to, czego szukali.

Hanka też miała swój aparat. Chowiała go w kurniku — miała tam schowek z klapą, a ta klapa zawsze była przysypana różnym śmieciem, pośladem, że nikt by się nie domyślił, nawet jej dzieci nie wiedziały. Hanka rzadko pędziła samogon. Powiedzmy, przed tym świętem, kiedy to szło się na cmentarz wspominać zmarłych, czy na wojnie zabitych, czy na wodach potopionych. Także przed Wielkanocą, bo spodziewała się, że przyjdzie ktoś z krewniaków, albo też sama, naszykowawszy węzełek, szła do nich. Wszystkiego dwa, trzy razy do roku zdobywała się na własną wódkę, więcej zresztą nie było potrzeby.

Może by nawet tego wcale nie robiła, bo po co jej to paskudztwo, ale... nie mogła się obejść bez wódki. Nie, nie, sama nigdy nie piła! Ale bywa przecie, że ktoś przywiezie wóz torfu czy suszu, jak się szczęśliwie uda dostać z lasu, to jakże nie ugościć furmana? Choćby to było chłopaczysko z mlekiem pod nosem, co to mu jeszcze ho! ho! do parobka. Nie ugościsz, to jutro ci nie pomoże, nie próbuj nawet prosić, i pojutrze będzie ci to pamiętał. Możesz nie zapłacić, ale ugościć trzeba! Wystarczy postawić na stół ogórek, obejdzie się nawet bez chleba, ale nalać musisz, tak jest przyjęte, tak się godzi.

Hanka widziała, że jakoś łatwiej się żyje tym, co pędzą samogon. Bo kilka butelek się sprzeda, kilkoma posmaruje, gdzie trzeba — i dobra jest!

Sama nigdy nie chodziła na bazar z wódką,

ale jednego razu przyczepiła się do niej Bachurka:

— Sprzedaj moją, bo nie dam rady pójść na jarmark, a nie mam już za co kupić soli i nafty.

Wzięła Hanka cztery butelki zatkane kaczanami kukurydzy i przysypawszy z wierzchu pestkami z dyni, poszła do Turbowa.

Czy Hanka lubiła chodzić na jarmarki? A niech je diabli! Ale musiała chodzić, a że w Zbarażu nie było targu nawet w niedzielę, trzeba było iść do Nowej Grobli. Nie bardzo to daleko, ale zawsze nie w swojej wsi. A jak chciało się znaleźć coś z odzieży czy obuwia, trzeba było jechać dalej, aż do Turbowa. Jechać! To się tylko tak mówi, bo nie zawsze trafi się wóz czy samochód, przeważnie wypada iść na piechotę. Zbierają się kobiety w gromadki, wychodzą hen, hen przed świtem, żeby zdążyć na targ i potem wrócić tego samego dnia do domu. Bywa i tak, że nie uda się nic kupić, nogi spuchną, łamie w całym ciele, ale za to były na jarmarku, odwiedziły miasto.

Hanka też nachodziła się niemało, i do Nowej Grobli, i do Turbowa. A jak trzeba było, biegła pośród nocy aż do Samgródka, bo ktoś powiedział, że tam jutro będą sprzedawać niedrogie trzewiczki. Albo do Kalinówki po drelich, za który w ich sklepie trzeba płacić jajkami, a i to nie zawsze starczy dla całej kolejki. A nawet do samej Winnicy — po kalosze, po czapkę. Czasem i drożdże udało się znaleźć albo pęczek liści bobkowych.

Przytrafiło się Hance raz coś takiego, o czym sama potem ze śmiechem opowiadała, i jej dzieci się śmiały. Chleb był wtedy drogi. Hanka

dostała gdzieś trochę mąki, upiekła kilka bochenków i dwa umyśliła sprzedać. Zawsze będzie jakiś grosz, myślała, idzie zima, przyda się. Dobiła się do Kalinówki, na targu wzięła jeden bochenek pod jedną pachę, drugi — pod drugą, stoi i czeka na kupców. Nie czekała długo. Przyskoczyło do niej dwóch smarkaczy, jeden pyta o cenę, a drugi zaśzedł od tyłu, walnął pięściami w bochenki, i te wypadły na ziemię. Tyle je Hanka widziała, bo za tymi smarkaczami tylko się zakurzyło.

Ale nie można powiedzieć, żeby się jej nigdy nie poszczęściło. W czterdziestym siódmym poszły z Bachurką sprzedawać kury. Nim doszły do placu, już obskoczyli je kupcy. Jeden przez drugiego wydziera te kury z rąk, daje swoją cenę. I to coraz wyższą i wyższą. Głupia Hanka wzięła i sprzedała swoją czubatkę za dwieście rubli. A Bachurka sprytniejsza, bardziej bywała, nie spieszyła się i za swoją kurę utargowała dwieście dwadzieścia, choć jej siemieniatka, gdzie tam, ani się umywała do Hanczynej czubatki. Bardzo żałowały, że wzięły tylko po jednej. A na drugi dzień dopiero czekała je radość! Zaczęła się wszędzie wymiana, za czerwonońca dawali rubla, nowe pieniądze miały większą siłę czy nie miały — wyszło na to, że oddały te kury za darmo.

Takie to Hanka miała szczęście. Żadna z niej kupcowa, ale co zrobić, kiedy musi chodzić z koszykiem. I to dobrze, jak jest pełny, ale bywa i tak, że nie ma co w ten koszyk włożyć, żeby sprzedać i mieć jakiś grosz, bo nie może przecież człowiek siedzieć bez soli! Bez nafty jeszcze jakoś można wieczór przemarudzić —

ogień w piecu się pali, to w izbie widno, albo księżyc przez okno poświeci. Ale spróbuj upiec placki bez soli albo ugotować mamałygę; staremu nie lezie w gardło, a cóż dopiero dzieciom! Pewno, zapalki też są potrzebne, ale Hanka ma hubkę i krzesiwo, skądś jej starszy chłopak wytrzasnął; a czasem, jak dobrze ogarnie żar popiołem, to do rana w piecu nie wygaśnie, wystarczy potem tylko rozdmuchać...

Zaszła Hanka do Turbowa, kiedy słońce już było wysoko. Stała pośród tłumu ludzi, sprzedaje pestki, a o wódce boi się nawet wspomnieć. Wie, że nie wolno wódki sprzedawać i że na targu kręcą się tacy, co zaraz przyskoczą...

Nie bardzo te pestki rozchwytują, ale biorą, ten szklanekę, ten pół szklanki. Trafiali się i tacy, co to niby chce skosztować, nabierze pełną garść — i odchodzi. Jeden taki chytrus dwa razy kosztował, aż się Hanka rozłościła:

— Że ci też — powiada — nie wyskoczy przyszcz na języku z tego kosztowania!

A on do niej:

— To wy, kobieto, sprzedajecie stęchły towar i jeszcze krzyczycie?!

I odszedł wyprostowany, jakby kij połknął.

Aż tu podchodzi do Hanki taki śmieszny mały grubas. Jak patrzyła na niego z tyłu, myślała, że to jakiś spasiony podrostek, dopiero po twarzy widać, że to człowiek już w latach.

— Sprzedajesz bimber? — spytał i uśmiechnął się.

— Jaki bimber? — wytrzeszczyła oczy Hanka udając, że bardzo ją zgniewało to pytanie. — Stoję tu z pestkami.

— Ty mi nie mydlj oczu — rzucił oglądając się. — Mam dobry węch. Po ile sprzedajesz, co?

Hanka przestraszyła się — a może po to pyta, żeby ją nakryć? Ale jak się tak będzie bała, nigdy nie sprzeda. Powiedziała, ile chce. Grubas zapłacił te parę groszy, nawet się nie targował. Kiedy sobie poszedł, Hance jakby słońce w duszy zaświeciło. Trochę straszno, pewnie, ale inni też sprzedają, a ze strachu rzadko kiedy się umiera.

Tak to sprzedała tego dnia i pestki, i samogon.

Kiedy Hanka miała w domu wódkę, nieraz i ją odwiedzali ci, co to bez jej przeklętego zapachu dnia przeżyć nie mogą. Przyjdzie taki do chałupy, rozsiądzie się na ławie i zaczyna: a to mógłby zrobić, a tamto dostać, a tam ma swego człowieka... Z początku Hanka gościła takich blagierów, a potem przestała, jak zobaczyła, że te obiecanki to gruszki na wierzbie. Gniewali się za to, ale jej z tego powodu głowa nie bolała.

A przecież, kiedy przychodził Stepan Rojik, nie mogła mu odmówić. I wcale nie dlatego, że był ślepy na jedno oko. W Zbarażu tyle tych inwalidów — bez ręki, bez nogi — że jakby tak chciała z litości gościć każdego, już dawno poszłaby z torbami. Rojikowi nie potrafiła odmówić chyba dlatego, że Rojik miał strzelbę i ma ją dalej, że był stróżem i stróżem pozostał, a ona już nie ma strzelby i skończyło się z jej stróżostwem. Hanka poważała go, ale prócz poważania było chyba także troszkę zazdrości czy co.

— Posłuchaj, co ci powiem, Hanko — zaczy-

nał swoje mędrkowanie kołchozowy stróż sadowiąc się na ławie.

— Mówcie — odpowiadała gotowa słuchać, co powie.

— Jaka jest najważniejsza rzecz dla stróża? Najważniejsza rzecz dla stróża to pies. Kto to rozumie, ten jest wielkim człowiekiem. Ot, na ten przykład, ja. Mój pies to żaden brytan, ale żeby jakaś zdechlizna, to też nie. W nocy obejdem całe gospodarstwo, zajrzę tu i tam, a potem siadam sobie gdzieś w zaciszu, zapalę i śpię. To znaczy — drzemię. Ale pies nie ma prawa drzemać, bo on zamiast mnie wartuje. Wtedy on odpowiada za całe gospodarstwo. Dobrze mówię, tak czy nie tak?

— Pewno że tak — przytakiwała Hanka.

— Otóż to. I mój pies wie, że to wielka odpowiedzialność. Tak już pilnuje, że o pchłach zapomina. Ile to już lat jestem w kołchozie, a jeszcze nigdy nam nic nie ukradli. Żadnej tam krowy ani owcy... Drobacha bardzo mnie szanuje, za nic w świecie by mnie nie zamienił na kogoś innego.

— Tak, wy nie przepadniecie — wzdychała Hanka.

— Widzisz, a tyś przepadła, bo nie miałaś psa.

— Może i tak — i Hanka nalewała mu wódki w graniasty kieliszek, w przystępie żalu nad samą sobą, nad swoją dolą... Jakby wiedziała, czyż nie postarałaby się o szczeniaka? — Pijcie na zdrowie — mówiła.

Rojik wypijał, na chwilę przymykał oko. Potem głęboko wciągał powietrze, ocierał dłonią usta i:

— Ja jestem taki, że każdemu mogę się przydać. Za dnia na kołchozowym obejściu tyle się kręci narodu, że w głowie się mąci. A w nocy? W nocy tylko ja jeden zostaję, wtedy ja jestem cały gospodarz. Może byś kiedy przyszła, co? Przywożą makuchy dla świń, mogłabyś sobie wziąć parę krążków. Albo z pół worka buraków. Kołchoz od tego nie zbiednieje, a dla ciebie zawsze to byłaby jakaś pomoc.

— Toż wiecie, że nie kradnę.

— Albo to znaczy kraść? To znaczy wziąć. I z mojego przecie zezwolenia.

— Jak mnie złapią, dużo mi wasze zezwolenie pomoże!

— To trzeba tak robić, żeby nie złapali! Po co dana jest człowiekowi głowa? Żeby się umiał wykręcać. A nogi? Żeby uciekał.

— Nigdy nie wzięłam nic cudzego i nie wezmę.

— Kołchozowe to nie cudze, to swoje. Grzech nie wziąć swojego, kiedy jest sposobność.

— Kołchozowe dobro, to dobro całej wsi.

— Jak dla kogo, Hanko. Nie masz śmiałości, to nikt cię nie zmusza... Ot, na ten przykład, nie masz krowy. Ale chyba kiedyś kupisz. No, nie krowę, a cielątko, żeby wyrosło na krowę. To ja ci i siana mógłbym nieraz dać.

Hanka nalewała mu jeszcze jeden kieliszek. Rojik wychylał go, jakby jednym tchem wdychiwał wódkę, i jeszcze bardziej czerwieniejąc na twarzy ciągnął dalej:

— Myślisz, że zimą nie przychodzą kraść siana? Jeszcze ile przychodzi! Ale ja nikomu nie daję. Bo dam, a potem co mi Drobacha powie? Toż on mnie bez soli zje, a ja sobie bardzo

cenię moje miejsce. Ale tobie, Hanko, dałbym, jak Boga mego! Nie wierzysz? Bo tak żyjesz, kobieto, że żal na ciebie patrzeć.

— To grzech narzekać na życie — mówiła Hanka.

— Grzech, nie grzech, nikt za to nie karze. Nie będę sobą, jak ci nie pomogę ściągnąć się na nową chałupę.

Hance ciepło robiło się w sercu ze wzruszenia, z życzliwości do ślepego na jedno oko stróża. Nalewała mu trzeci kieliszek. Rojik wychylał, macał po stole szukając chleba, i prawił dalej:

— Nie myśl sobie, że ja nic nie znaczę... To się tylko tak wydaje, ale wierz mi, ja wszystko mogę. Bo mam ich wszystkich w ręku. I naszych, i tych tam wyżej. Wystarczy, żebyśmy kiwnął palcem, a wszyscy polecą. Wiem, co kto ma na sumieniu. Ja w nocy widzę więcej, niż niejeden w dzień. Wiem, tylko nic nie mówię. Ale jak powiem Drobasze, żeby ci dał kwit i kazał przywieźć drzewa, to jutro będzie leżało na twoim obejściu.

— Gdybyż to tak, Stepanie...

— I będzie leżało! Bo każdy z nich wie, kim jest Stepan Rojik! I ty się dowiesz... Nalej jeszcze kapkę...

Podchmieliwszy sobie zdrowo, wychodził. Na podwórzu oglądał pochylony płot, ledwo trzymające się kupy wrota, obiecywał, że jutro wszystko naprawi, i zataczając się wychodził na ulicę. Hanka, wsparłszy policzek na dłoni, smutno patrzyła za nim. Wiedziała, że Rojik do jutra zapomni o swoich obietnicach. I nie taki on pracowity, jak się chwali, w jego własnym

gospodarstwie trzeba by dobrze przyłożyć rąk. Ale jemu to ani w głowie, jakby myślał, że ktoś za niego zrobi.

Wolno bo wolno posuwały się sprawy HANKI, ale przecież się posuwały. W niedługim czasie na jej stryszku stały już cztery wielkie tafle szkła, że tylko ciąć szyby i wstawiać w okna, a cały świat będzie widać. I kupiła je HANKA nie tak, jak słupy. Teraz już nie da się oszukać, jak dała się oszukać na drzewie. To szkło przywieźli do ich sklepu i kupiła normalnie u Hłemezdyka.

Wyniosła szkło na stryszek i niechby sobie tam stało, ale nie, musiała ruszać! Któregoś dnia nawinęła się BACHURKA — już się wtedy przeprosiły — i rozmowa zeszła na to, ile okien powinna by mieć nowa chałupa, cztery czy pięć. HANKA mówiła, że całe życie przeżyła w izbie z trzema małymi okienkami i teraz bardzo by chciała mieć, tak jak u Drobachy, pięć okien.

— Niech będą małe, ale za to dużo.

BACHURKA składała ręce jak do modlitwy i tłumaczyła:

— Wypruwać z siebie żyły aż na pięć okien? Toż to można kopyta wyciągnąć! I zimą całe ciepło będzie uciekało, no i złodziejowi łatwiej wleźć, jak tyle okien.

— Złodziej nie wlezie, bo u mnie nie ma co kraść. A ja już nawet szkło kupiłam, zaraz wam pokażę, ile szyb można naciąć z jednego kawałka.

A kiedy schodziła z góry po drabinie, czy to

szczebel się pod nią ugiął, czy co, dość że upuściła taflę i szkło się stłukło. Hanka pozbierała kawałki i zaczęła je składać do kupy, jakby one mogły się zrośnąć. Gdyby Bachurka miała więcej rozumu, od razu by się zmyła. Ale gdzie tam, stoi w sieni, wzdycha współczująco i jeszcze mówi, że Hanką była nieostrożna. No nie, żeby człowiek był z żelaza, toby nie wytrzymał, a przecież Hanka nie jest z żelaza.

— I po co was tu, babko, nieczysta siła przyniosła? Jakbyście siedzieli w domu, nie pokazywałabym wam tego szkła.

— O, widzieliście ją, to ja jestem winna!

— A kto? Widać takie niedobre macie oczy.

— Moje oczy jej się nie podobają! To co, mam sobie wyłupić?

— Wtedy z tym drzewem urzekliście, a teraz znowu... Idźcie sobie i więcej tu nie przychodźcie. Zapomnijcie drogę do mojego domu. Idźcie już, idźcie...

I zbierała stłuczone szkło — może się jeszcze przyda, może szklarze coś wymyślą. A Bachurka poszła. Ciężko było starej na duszy, okropnie ciężko. Czyż ona źle życzy Hance? Niech Bóg uchowa! I nie jest winna, że wszystko na złe się obraca. Nie inaczej, tylko nieczysta siła w to się wmieszała, bo czemuż tak się dzieje?

Chociaż Hanka ją przepędziła, nakazywała zapomnieć drogę do jej domu, to przecie Bachurka nie zapomniała. Tego samego dnia przyniosła Hance taką samą taflę szkła jak ta, co się stłukła. Hanki nie było w domu. Bachurka postawiła to szkło koło drabiny w sieni, a sama czmychnęła z obejścia, rada, że nikt jej nie wi-

dział. Przez cały ten dzień i przez następny bała się tylko jednego: Hanka tak na nią nakrzyczała, to czy nie odniesie jej tego szkła z powrotem, bo od razu się domyśli, czyja to robota.

Ale Hanka nie odniosła szkła ani tego dnia, ani następnego; widać złość jej przeszła. I Bachurka czuła się tak, jakby się na nowo na świat narodziła.

W samym środku Zbaraża stała kiedyś cerkiew. Takiej dużej cerkwi nie było nie tylko w okolicznych wsiach, ale nawet w Turbowie. Tak w każdym razie twierdzą pobożne staruszki, którym teraz przyszło dymać na piechotę aż do Nowej Grobli, żeby wysłuchać nabożeństwa. Zbaraską cerkiew rozebrano za czasów kolektywizacji. Jedni mówili, że to była niby walka z religią, inni, że trzeba było zbudować szkołę i w samym Zbarażu, i w Nowej Grobli, a materiału nie było. Akurat wtedy pojawili się w artelu aktywiści, o mieszkanie dla nich też się trzeba było zatroszczyć. No i rozebrali cerkiew, z tej cegły stanęła w Zbarażu piętrowa siedmiolatka, trochę poszło do Nowej Grobli, i dla swoich aktywistów też starczyło — od tej pory mieszkali w żimnych co prawda i wilgotnych, ale własnych murowanych domkach.

A na wygonie, gdzie dawniej stała cerkiew, były teraz rowy i jamy, na których dnie walały się kamienie i gruz. Zwożono tu wszelkie niepotrzebne rupiecie. Brzegi jam z czasem poobsuwały się, pozarastały burzanem. Wiosną zganiało tu bydło do stada, dzieci przychodziły się

bawić, żarły się koty i psy. Był czas, kiedy każdy, stary i mały, bał się tamtędy chodzić. Znaleziono w jamie zabitego człowieka, jakiś obcy, nikt go nie znał. I choć starano się wykryć, kto to zrobił, nigdy się to nie wykryło. Ale ciało zabrano do rejonu, cała ta historia powoli poszła w zapomnienie i niebawem znowu w rowach dzieci bawiły się w wojnę, w robójków i w „pobitego króla”.

Któregoś dnia na wygonie zjawili się grabarze i zabrali się do kopania długiego i szerokiego dołu. Kiedy ich pytano, co to będzie, grabarze — bracia Siadryści, którzy mieli takie same krótkie nogi, krągłe głowy i grube wargi — jednogłośnie odpowiedzieli:

— Pożyjecie — zobaczycie.

— Ależ powiedzcie — nalegano.

Na to jeszcze bardziej zagadkowa odpowiedź:

— Ano, pożyjecie, zobaczycie.

I rzeczywiście, pożyli i dowiedzieli się. W Zbarażu było kilka grobów wojennych na ludzkich obejściach — gdzie żołnierza zabiło, tam go ludzie chowali. Była też mogiła w polu, pod samymi Laskami. Tam pochowano szczątki kilku lotników; wojna już przetoczyła się hen, hen dalej, aż tu nadleciał samolot — i spadł. Z lotników pozostały tylko strzepy i jedna ręka. A czyja — nikt nie odgadnie. Nie było nawet co grzebać. Ludzie zebrali mokrą, skrwawioną ziemię i w ziemi ją złożyli... A teraz w rejonie ktoś umyślił, że skoro żołnierze razem wojowali, skoro oddali życie za wspólną wielką sprawę, to dlaczego mają leżeć osobno, w różnych miejscach? We wspólnym grobie będzie się im leżało nie tyle weselej, co lżej, toteż

trzeba ich pochować w bratniej mogile pośrodku wsi.

Pogrzeb był wyznaczony na niedzielę. Najechało do wsi milicji, młodziutkich żołnierzyków z mosiężnymi trąbami, a także żołnierzy z karabinami. W osobowych samochodach przyjechali ich dowódcy i — osobno — władze rejonowe w gabardynowych płaszczach i szerokich kapeluszach. Przewodniczący kołchozu też wdział gabardynowy płaszcz. We wsi nigdy go nie nosił, uważał, że nie ma tu dla kogo się ubierać, ale ile razy jechał do rejonu czy do okręgu, zawsze go brał. Tam, w rejonie czy okręgu, też chciał — i we własnych oczach, i w oczach innych — uchodzić za nie byle jaką władzę.

Bachurka przyleciała do Hanka jak nieprzytomna, cała roztrzęsiona. Hanka rzadko widywała ją w takim stanie; babka, choć już niemłoda, ale jeszcze przy zdrowiu, a czymże znów mogła się tak przejąć, nikogo przecież nie ma, sama jest jak palec.

— Chodź do mnie — zaczęła prosić Bachurka — chodź do mnie, Hanko, bo w tobie cała moja nadzieja. Tylko ty jedna możesz mi pomóc.

— Jakiejże pomocy wam trzeba? — spytała Hanka.

— Moją mogiłę, tę, co pod wiśnią-lutówką, będą rozkopywać!

— A pewno, że będą.

— I mego żołnierza zabiorą...

— Niech biorą. W gromadzie lżej im będzie leżeć, babko, bo w gromadzie zawsze lżej.

— Czyż jemu źle było leżeć koło mojej cha-

łupy? Czyż nie na moim podwórzu go zabiło?... Wylazłam z piwnicy, patrzę, a on leży, krwią cały podpiął... Czyż ja nie dbałam o jego grób? Nie sadzę kwiatów, nie podlewam?

— Nikt przecie tego nie mówi... Ale chcą ich pochować w bratniej mogile.

— Nie oddam! — powiedziała Bachurka. — I tak już jestem samiusienka na świecie, to jeszcze tego zabitego mam oddać? Chodź, Hanko, ze mną, bo jak przyjdą, dalibóg nie wiem, co zrobię.

I pobiegła do swojej chałupiny. Musiała i Hanka pójść, bała się, że stara naprawdę może coś takiego narobić, że potem trudno będzie załagodzić.

Po drodze dołączyło się do Bachurki jeszcze kilkoro, no i zebrała się na podwórzu niemała gromada ludzi. Bachurka wzięła miotłę i zaczęła omiatać grób dookoła, tu skubnęła trawkę, tam jakiś chwast wyrwała. Potem przyniosła wiadro wody, podlała kwiaty. Kobiety patrzyły na to wszystko i wzdychały. Bo jak się tak zastanowić, to po co krzywdzić starą? Nigdy nie miała swojej rodziny — ot, znalazł się syn w czasie wojny, obcy, martwy, i tego w ziemi zakopała. I tak sobie żyli — żołnierz w grobie i Bachurka w chałupie, i niechby tak dalej było. Po co krzywdzić starą?

— Wiecie chociaż, co on był za jeden, skąd? — dopytywały się. — Czy przez te lata dowiadywał się ktoś z jego rodziny, ktoś go poszukiwał?

Bachurka nie odpowiadała. Zbolała, cicha, zacisnęła blade wargi i skrapiała kwiaty na grobie. Wreszcie odezwała się:

— Zabiło go, nie pożył długo, a teraz nawet jego kościom nie dadzą spokojnie poleżeć. On dla mnie jak rodzina — siedzę sobie w chałupie i wiem, że nie jestem sama. A jak skądś wracam do domu, też mi jakoś lżej na duszy, wiem, że nie wracam do pustki, że on tu śpi. Ja nawet z nim gadam. Opowiadam mu o różnych rzeczach, a on słucha i milczy.

— Bo co on może wam powiedzieć — westchnął ktoś.

Odkopywać grób przyszli bracia-grabarze. Zaraz po nich podjechał samochód, wysiadło kilku żołnierzy z łopatami, milicjant i Tiupa. Żołnierze zbili się w gromadkę koło wrót, patrzyli na chatę, na podwórze, ale dalej czemuś nie szli. Ludzie spod łutówki przyglądali się im bacznie. Milicjant i Tiupa, bardziej bywali i otrzaskani, podeszli do nich, pozdrowili i milicjant spytał:

— A gdzie tu jest grób, co? Gdzie jest gospodarz tego domu?

— Nie ma gospodarza — odpowiedziała Hanka.

— A gospodyni?

Wskazano na Bachurkę.

— Nie, może jest ktoś młodszy.

— To cała młodzież — wtrącił Tiupa.

— No cóż — z powagą rzekł milicjant i powiódł wzrokiem po ogrodzie, po niebie, po twarzach kobiet. I do żołnierzy, co wreszcie podeszli bliżej: — Zaczynajcie!

Hanka myślała, że Bachurka będzie krzyczeć, płakać, klócić się. Ale stara zbladła tylko jak chusta, zgarbiła się i przyglądała się żołnierzom tak, jakby chciała rozpoznać kogoś wśród nich. Potem podeszła do mogiły i upadła na kolana.

— Dajcie spokój, babko — skrzywił się milicjant — po co to? — i położył rękę na jej ramieniu, nie rękę, ale łopatę z żółtymi od tytoniu paznokciami.

— Dosyć tego, babko, dosyć — dorzucił Tiu-pa. — On był żołnierzem i żołnierze po niego przyszli.

Bachurka podniosła się i powlokła do chałupy. Hanka poszła za nią — bała się, żeby stara nie upadła, nie zrobiła sobie co złego. Bachurka siadła na ławie, ale ledwo złożyła ręce na kolanach, już się poderwała i przeniosła na pryczę. Ale i tu długo nie posiedziała — poczłapała do okna. Nic nie mogła zobaczyć, bo okno wychodziło na ulicę, a przecie nie odchodziła od niego, o mało nie przypadła uchem do szyby, żeby coś usłyszeć. Naraz ruszyła w stronę drzwi — i przystanęła...

Siedzące w izbie kobiety słyszały głosy na dworze, tupot nóg; ktoś chodził pod oknami przesłaniając sobą słońce, potem rozległ się ciężki tupot całej gromady ludzi, zawarczał motor, samochód zaczął się oddalać, aż wreszcie jego odgłos całkiem się rozplynął. A wtedy wokół zapadła taka dziwna cisza, jakby cały świat stał się nagle niemy i głuchy. A może to one ogłuchły? Ta cisza po chwili zaczęła dzwonić w uszach, wpierw cichutko, jakby do ucha wleciał komar, a potem głośniejsze i głośniejsze... I nagle to dzwonięcie umilkło, Hanka poruszyła się na pryczy, deska pod nią żałośnie skrzypnęła. Bachurka spojrzała na Hanke, Hanka na Bachurkę; podniosły się obie i stąpając z trudem, jakby szły po rozmokłej polepie, w której więzły im nogi, wyszły na dwór.

Dzień był słoneczny, cichy, upalny; przeczysty błękit nieba, każde drzewko, każda roślinka były samym uśmiechem i radością. Chyba nigdy jeszcze nie wydarzyła się taka łagodna i prawdziwie świąteczna niedziela... Kobiety poszły pod łutówkę. Leżała tu, zdeptana i rozniesiona butami, świeżo wykopana ziemia i pachniała tak, jak pachnie wczesną wiosną, kiedy zaczyna się kopanie ogrodów i sadzenie pierwszych ziemniaków. Dół był nie zasypany. W pierwszej chwili Bachurka bała się pochylić nad nim, i Hanka się bała, ale w końcu przemogły strach. Na dnie leżały zielone liście i kilka dojrzałych wiśni, a od ściany do ściany latał motylek z żółtymi ognikami na skrzydełkach. Wzlatywał coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie wydostał się z dołu, wzbił się w górę i poleciał nad ogrodem, wznosząc się i opadając, jakby się kołysał na niewidzialnych falach powietrza.

Nim wszystkich zwieziono, zrobiło się już późne popołudnie. Nad mogiłą wygłoszono mowę, żołnierze oddali kilka salw w powietrze, a dzieciśka pozbierały wystrzelone łuski. Śród łusek trafiały się i naboje, i to była największa uciecha dla dzieciarni. Zawarczały motory — żołnierze, milicja i władza odjechali, zostali sami zbarażanie. Kobiety otarły łzy i zaczęły się rozchodzić. Ale jeszcze przystawały po uliczkach i zaułkach, na drodze, pogadując o tym i owym, a przeważnie nic nie mówiły, tylko wzdychały, ocierając rękawem oczy. Jakby czegoś im jeszcze brakowało. Niby pochowano tamtych, oddano im cześć, a przecie coś tu jeszcze nie tak...

— Ludzie kochane — powiedziała Hanka do

tych, z którymi szła w stronę Chacapetówki. — Toż i mój gdzieś tak... Po pogrzebie godziłoby się wspomnieć nieboszczyków. Mam trochę kiszanej kapusty, skwarków natopię i jakoś to będzie. Chodźcie do mnie.

Stepan Rojik, który był przy tym, ucieszył się:

— Niby powinienem iść na swoją wartę przy oborze, ale grzech byłby nie wspomnieć poległych. Chodźcie, baby!

— Wy i bez tego co dzień ich wspominać — dźgnęła Sońka Twerdostupicha.

Ni stąd, ni zowąd Rojik obraził się.

— A tobie żal, co?

— Co mi ma być żal — odparła Sońka — nie za moje pijecie. — I zawróciwszy, poszła sobie.

— Dalibyście spokój — pojednawczo wtrąciła Hanka. — Taki dzień, a wy...

Kołchozowy stróż błysnął zdrowym okiem.

— Przywabiła sobie chłopą, to niech do niego leci. A wy to same takie baby, co już tylko tę świętą ziemię możecie przywabić.

Zdawałoby się, że powinny się kobiety pogniewać za takie gadanie. Ale żadnej nawet nie przyszło do głowy, żeby się gniewać. Bo co prawda — to nie grzech.

— No to chodźmy — przynagliła Hanka.

Nim doszli do Hancynej chałupy, przyłączyło się do nich jeszcze trochę kobiet — ponosiły płacht, żeby zaścielić przed chałupą, i studzieniny, i mięsa pieczonego i smażonego, i pierożków z wątrową. Każda też przyniosła z sobą półlitrowkę. A kiedy na płachtach zjawiły się półlitrowki, to i chłopcy wyrosły jak spod ziemi, choć nikt ich nie siał. Przyszedł kowal Panas, Macedon ze swoją żoną Likorą,

zawitał nawet Hłemezdyk. Niespodziewanie zjawił się też Hryćko Kisiel, chyba najzawziętszy we wsi fabrykant samogonu i, o dziwo, przyniósł z sobą dwie flaszki monopolki. Może bał się, że zastanie na stypie kogoś z władz rejonowych? Po nim przyszedł jeszcze Maksym Tiupa — wolno wszedł na podwórze, wolno postawił na płachcie swoją butelczynę i w milczeniu przyłączył się do mężczyzn.

— Siadajcie, siadajcie — zapraszała Hanka. Miała takie uczucie, jakby oto zebrali się tu wszyscy, żeby wspomnieć jej Wołocha. — Czym chata bogata...

Dziadek Hłemezdyk kręcił się na uboczu, kręcił się, aż wreszcie wziął na odwagę i wyjął zza pazuchy zawiniątko, rozwinął i położył na płachcie dwa wianuszki kupnej kiełbasy.

— Sam jej jeszcze nigdy nie kosztowałem, to chociaż tu pokosztuję.

Kiedy już wszyscy usadowili się na klęczkach wokół płacht, nadeszła Bachurka. U Hanki zawsze furka głośno skrzypi, a tym razem nawet nie pisnęła. W jakiejś chwili Hanka podniosła wzrok, patrzy — stoi Bachurka koło piwniczki, a takie ma niesamowite oczy, jakby się szaleju najadła. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę starej, nikt nie powiedział słowa, tylko wszyscy patrzyli na nią. Bachurka wyjęła spod ciemnego fartucha niedużą ikonę, chwilę jakby się namyślała, gdzie ją ustawić, i w końcu wygrzebała ręką dołek na samym szczycie piwniczki i tam ją umieściła.

— Szkoda, babko, żeście tu wszystkich świętych nie przytaszczyli! — rzucił Hłemezdyk, któremu już pierwszy kieliszek uderzył do głowy.

Stara nie odpowiedziała. Nieoczekiwanie ujął się za nią kowal Panas.

— A niech sobie! Święci nam wódki nie wypiją.

— Pewnie, co mnie tam — zaczął się usprawiedliwiać Hłemezdyk. — Mnie to nie przeszkadza.

Kobiety posunęły się robiąc miejsce Bachurce. Staruszka opadła na kolana i jakby wrosła w ziemię, zgarbiona pod brzemieniem smutku, z opuszczoną głową, co schła od zgryzoty.

— Nie frasujcie się, babko — odezwał się Tiupa, mrugnawszy przy tym do Bachurki. — Gorzej, jak było, już nie będzie.

Ktoś powiedział, że wypadałoby poprosić Todosa, bądź co bądź stoi on bliżej Boga, w każdym razie bliżej niż wszyscy inni ludzie we wsi. Hanka nie sprzeciwiała się — chcą, niech go zawołają, ale ona do niego nie pójdzie. W końcu nikt jakoś nie poszedł po Todosa. Ale rozmowa od razu przeszła na sprawy „boże”.

— Dalibóg — odezwał się swym śpiewnym, babskim głosem Macedon — jakby tak oprócz tego świata był jeszcze drugi świat, to ja bym się nie wyrzekł i tego drugiego.

Jego żona Likora uśmiechnęła się niewyraźnie, jakby chciała powiedzieć: Też ci się zachciewa! Lepiej byś milczał, bo się ludzie będą z ciebie śmieli!

— Jak to tam jest na tym drugim świecie? — zastanawiał się Hłemezdyk. — Też pewno są kołchozy i też pewno pracuje się za dniówkę.

— A co wy się martwicie? Sprzedajecie w sklepie, to i na tamtym świecie traficie do sklepu — rzucił Tiupa.

— A ty, ma się rozumieć, między brygadystów — odciął się sprzedawca.

— Jak mnie nie zrzucą.

— Gdzie? Tu czy tam? Ot, żeby tak tu!

— A ja tu macham młotem i tam też będę machał? — jakby ze zdziwieniem popatrzył po wszystkich kowal Panas. — No cóż, niech i tak będzie, nie mam nic przeciwko temu.

Stepan Rojik słuchał, słuchał, marszczył brwi, drapał się w głowę i naraz:

— Jakże to jest? Co? Jak mnie wybiło oko, to na tamtym świecie też mam być bez oka?

Tu niby stypa, powinno się cichutko rozmawiać, a nagle wszyscy jak nie gruchną śmiechem!

— Znajdziecie swoje oko, ono tam gdzieś świeci!

— Tylko się pośpieszcie, żeby wam kto nie ukradł!

— Alboż i tam kradną? — spytał Macedon.

Wszyscy na chwilę zamilkli. Rozmyślali — kradną tam czy nie kradną.

— Dostyc już tego, dostyc! — zabrała głos Hanka. — Zamiast wspominać, żeby im ziemia lekką była, to uczepili się...

— A jakże będzie z wdowami — patrząc na Hankę odezwała się nagle Bachurka. — Czy spotkają się tam ze swoimi mężami? A dzieci z ojcami?

— Spotkają się! — stanowczo oświadczył Tiu-pa.

— Gdybyż tak było! — pokiwała głową stara.

— A może tam już Wołoch do innej przystał, co? — zażartował Hłemezdyk.

Ból chwycił Hanę za gardło, czuła, że zaraz się rozplacze. Szybko podniosła się i poszła do izby. Wszyscy od razu wsiedli na Hłemezdyka:

— Trzeba to było mleć ozorem!

— Jej Wołoch taki, że i na tamtym świecie do innej nie przystanie. I Hanka taka sama!

— Hłemezdykowi jedno tylko w głowie.

— A jakże, pytają wyrostka, o czym myślisz, kiedy patrzysz na kamień? Ja, powiada wyrostek, cały czas myślę o jednym, o młódkach.

Nikt się nie roześmiał. Ktoś pobiegł po Hanę. A ta już przestępuje próg, niesie w rękach miskę z makaronem. Oczy ma suche, jakby nic się nie zdarzyło.

W tej chwili ulicą nadeszła Klara Stefanyshyn. Widać z miasta wracała, bo niosła torbę pełną zakupów i płaszcz na ręce. Ten płaszcz też jakiś dziwny — ani toto przed deszczem nie uchroni, ani nie ogrzeje. Klara odbiła się od wsi, do miasta też nie przystała, tyle że ten byle jaki miejski płaszczyk przywdziała. Pewno przeszłaby obok Hanczynej chałupy, ale ktoś na nią zawołał. Zatrzymała się i stała chwilę, nie wiedząc, czy ma iść dalej swoją drogą, czy wstąpić. Jej rude brewki drgały, i krótko ostrzyżone rude włosy też zdawały się drżeć.

— No, siadaj, siadaj, Klarko — rzekł do niej Stepan Rojik, kiedy wreszcie podeszła do kompanii. Posunął się robiąc jej miejsce, a gdy przysiadła, próbował objąć ją jedną ręką.

— Też coś — całkiem bez gniewu powiedziała Klara i odtrąciła jego rękę.

— A bo co?! — indyczył się stróż.

— A bo to — wyjaśniła Klara.

— Coś późno wracasz dziś z miasta — po-

wiedział Tiupa i mrugnął do niej, całkiem jak niedawno mrugał do Bachurki.

— Nie było samochodów, a zanim doszłam...
A co to dziś u was za święto?

Opowiedziano jej o wszystkim. Wysłuchała, powiodła palcami po tych swoich rudych brwiach, jakby chciała je rozprostować.

— A ja o niczym nie wiedziałam...

— Bo skąd mogłabyś wiedzieć — z wyrzutem w głosie powiedział Macedon. — Ile to choćby dzieci podраста w Zbarażu, a ty nie każde znasz.

Żona Macedona, Likora, mocno poczerwieniała i z wielką uwagą przyglądała się płótnu leżącemu przed nią.

— A nie każde — lekko rzuciła Klara.

— A tych miejskich już dobrze znasz?

— I miejskich nie znam.

— Otóż to — ani tu, ani tam.

Klarze zbrzydły już te docinki, nic nie odpowiedziała.

— Może nie tak? — czepiał się dalej Macedon.

Klara powiodła dookoła błagalnym wzrokiem, jakby prosząc, żeby ktoś wziął ją w obronę. Ale że nie bardzo była lubiana we wsi, nikt się za nią nie ujął.

— Za wami mam się uganiać? — powiedziała żałując już, że tu przyszła.

Macedonowa Likora zatrzepotała rzęsami, wzięła skórkę chleba, ale nie doniósłszy do ust, znowu odłożyła.

— A ty nawet nie próbujesz! — śpiewał swym babskim głosem Macedon, podwyższając ton, żeby wszyscy słyszeli. — Nie bardzo się uganasz! Siędy, tędy — i to wszystko.

— Co to was obchodzi? — skrzywiła się Klara.

— Mnie?! — zawołał dobrze już podchmielony Macedon. — A kogóż ma obchodzić, jak nie mnie? Alboż nie jestem twoim wujkiem?

— E tam, dziesiąta woda po kisielu.

— No powiedz, czemu z ciebie taki latawiec? Czemu nie masz chłopca, jak wszystkie nasze kobiety? Czemu nie postarasz się o dzieci? Nie chcesz prac pieluch, doglądać?

— Nie chcę — z udanym spokojem odparła Klara i łyżką poczęła grzebać w studzieni-
nie.

— Jesteś lepsza od innych, czy mądrzejsza? Czy może masz więcej życiowego sprytu?

— Ani lepsza, ani mądrzejsza. Sprytu też żadnego nie mam.

— To dlaczego?... Widzisz, zebraliśmy się tutaj, każdy ma kogo wspominać. Tiupy dwóch braci skosiło, jakby ich nigdy nie było na świecie. Hłemezdyka syn leży gdzieś w Prusach, żeby je ziemia pochłonięła. Dwie córki Rojika zabrali do Niemiec i tyle je widział. Ot, u Hanki rosną sieroty, nie sieroty, a wieczne łyzy. Obejdz calutką wieś, wszędzie coś takiego, że się nie da nawet opowiedzieć... No, a ty? Dlaczego nic nie urodziłaś? Przyznaj się!

— A po co? — cicho spytała Klara. Usta jej zbieleły i zwęziły się. — Żeby wspominać?

— Co takiego? — nie zrozumiał Macedon.

— Rodzić po to, żeby potem wspominać, tak jak my tutaj, co?

— A choćby i tak — nie znalazł lepszej odpowiedzi Macedon.

— A ja nie chcę!

— Nie chcesz? — czepiał się jej całkiem już po głupiemu.

— A tak. Czyż Tiupie dobrze jest z tym, że jego dwóch braci skosiło? Czy Rojik ma pociechę ze swoich córek? Nie ma i nie miał. Gorzej tym, co mieli dzieci. Bo jakby ich nie mieli, nie zaznaliby tego bólu, nie widzieli tych nieszczęść. Po co mieć dzieci? Żeby zostały kalekami, żeby je zabijano, żeby poniewierały się po obczyźnie? Po co je mieć? — aż krzyknęła.

Nikt nie odpowiedział, a Macedon tylko machnął ręką — co tu z głupią babą gadać, ty jej o pańskich gęsiach, ona tobie o pańskim pastuchu!

— Nie wszystkim przecież pisana jednaka dola — odezwał się wreszcie Tiupa.

— To prawda — zgodziła się Klara i powiodła palcami po brwiach. — Ty nie zginąłeś. Ale czy twoim zabitym braciom od tego lżej?

— Nie zawsze będą zabijać — podskoczył Macedon. — Teraz już nie te czasy, co były niedawno.

— Jak nie wojna, to choroba, czy to można wiedzieć? Bez chorób nigdy się nie obejdzie.

— E-e, kobieto — pokręcił głową Tiupa. — Tak żyć, to lepiej wcale nie żyć.

— Dlaczego? — upierała się przy swoim Klara. — Żyję sama dla siebie. Jaka jestem, taka jestem, co mam, to mam. Ale dzieci wydawać na świat nie chcę. Nie chcę, żeby je zabijano, robiono z nich kaleki, żeby były nieszczęśliwe. Nie chcę, żeby potem moje dzieci przeklinały życie i mnie, że je urodziłam.

— Tra-ta-ta-ta! — przerwał jej Macedon. — Nauczyłaś się w mieście gadać, ale oduczyłaś

się słuchać. Saniul — zawołał, widząc dziewczynkę Hanki kręcącą się w pobliżu razem z innymi dziećmi. — Chodź no tutaj!

Sania śmiało podbiegła. Jej twarz była rumiana z podniecenia, oczy błyszczące.

— Córeczko — przygarnął ją do siebie Macedon — czy ty przeklinasz swoją mamę?

Sania ze zdziwieniem zerknęła na matkę, przebiegła wzrokiem po wszystkich obecnych i nic nie odpowiedziała.

— Czy dobrze ci się żyje? — dopytywał się Macedon.

Sania twierdząco kiwnęła głową.

— A mama ciebie kocha?

Dziewczynka leciutko się uśmiechnęła.

— A ty mamę?

Uśmiechnęła się szerzej i szybko kiwnęła kilka razy głową.

— To znaczy, że jej nie przeklinasz?

Sania przecząco skrzywiła wargi, wyrwała się i pobiegła do dzieci. Stamtąd popatrywała na starszych, jakby czekała, że znowu ją przywołają, ale oni już o niej zapomnieli. Macedon uważał się za zwycięzcę w tym sporze. Nalał sobie kieliszek, potem nalał Klarze. A ta, przycichła i jakby zafrasowana, nawet się nie wymawiała, wypila i siedziała milcząca, z opuszczoną głową i nigdzie się już nie spieszyła. Przysłuchiwała się rozmowom, czasem jakby sama chciała coś wtrącić, ale nic jednak nie mówiła.

— Może byśmy tak zaśpiewali — wyrwał się Hłemezdyk, kiedy się już całkiem ściemniło.

Ze wszystkich stron zaczęto sykać na niego z naganą. Hłemezdyk wciągnął głowę w ramiono i nastroszył się jak sowa. Wtedy dopiero

zaczęli się rozchodzić. Mężczyźni poszli pierwszy, kobiety po nich — trzeba było jeszcze trochę pogawędzić o tym i owym.

Ostatnia, zabrawszy z piwniczki ikonę, poszła Bachurka.

Życ na wsi i nie trzymać kur — to potrafią chyba tylko ludzie bez głowy. Kura to nie prosię, nie trzeba jej doglądać. Rzuci się jej garść pośladu, naleje wody do jakiejś skorupy i ma na cały dzień. A jak nie chce zdechnąć z głodu, to niech sama szuka sobie jedzenia, mało to robaków w ziemi? Niech sobie pogrzebie w gnoju, niech się popasie na trawie. Pewno, nie obejdzie się bez tego, że tam czasem wpadnie do cudzego ogrodu, ale nie tylko Hanczyne kury chodzą po cudzych ogrodach, do niej też przychodzą obdziobywać buraki i cebulę.

Żyją w Zbarażu ludzie bez krowy, żyją bez świni, ale nie ma takiego, co by żył bez kury. Nawet ta ślepa babka, co to już ledwo łązi po świecie, nawet taka trzyma kilka sztuk. Bo to jajko i sprzedać można, zawsze kupią, i same mu zjeść. Przyjdzie do chałupy dziecko krewniaków, to co mu dasz? Jak nie ma ani placzka, ani pierożka, to chociaż gotowane jajko wetkniesz mu w rękę.

Trzymać kury to nie sztuka, bo same chodzą i niosą się, i wysiadują kurczęta. Ale jak się już ma kury, trzeba mieć dobrych sąsiadów. Pewno, że można trzymać i przy złych sąsiadach, ale to wieczna udręka.

Hanka nie miała tych kur dużo, ale i nie tak mało. Gęsi trzeba pilnować, dzieci pilno-

wały, a kury zawsze na swobodzie. Pole blisko, to w żniwa i jesienią takie chodzą tłuste i gładzą grubym głosem, aż jakby gniewnie. Świeże jajko zawsze jest pod ręką. A jak nadchodzi zima i mrozy, kiedy to ptak robi się lekki jak piórko, wtedy Hanka je zarzyna. Trochę sami zjedzą, trochę się sprzeda — i choć nie taka to wielka rzecz, ale zawsze jakoś lżej. A nieraz pośród zimy, kiedy dawno już wszystkie przestały się nieść, raptem jedna się zniesie! Ileż to wtedy radości! Podkarmiają tę kurę, głaszczą i co chwila macają — a nuż i na jutro ma jajko?

W lecie, jak się ich nie dopilnuje, wszędzie gubią jajka — po krzakach, po rowach, po cudzych ogrodach. Bo jak się ich od razu nie przyuczy, żeby się nosły w komorze, to wtedy jest bieda, nie obejdzie się już bez worka. Napchasz ich pełny worek, tłuką się tam pół dnia, a niektóre i do wieczora, nim się zniosą. Tak się zmordują, że na drugi dzień nie każda zdoła wysilić się na jajko.

Hanczyne też, bywało, łąziły po cudzych chlewach czy ogrodach. Jak zauważy, to pójdzie i złapie, ale nie zawsze da się upilnować. Bo kura może się znieść, gdzie się jej żywnie spodobą. Czyż nie bywało tak, że przychodził ktoś z sąsiadów i mówił, że jego czubatka niesie się u Hanki w chlewiku, choć ona nigdy tam cudzej kury nie widziała?

Ale dosyć, czas już opowiedzieć o piegatej. Zaczynała się nieść chyba najpierwsza, a potem przestawała, kwokała i mościła się na gnieździe. Co roku to samo. Hanka spędzała ją z gniazda, bo już nasadziła inne, a po co jej taka

chmara kurcząt? Więcej, niż trzeba — nie trzeba. Ale w tym roku piegata ją przechytrzyła, choć to tylko kura. Nie niosła się ani w komorze, ani w chlewiku, a ile razy Hanka ją macała, nigdy nie miała jajka. Próbowwała Hanka wysledzić, gdzie też ona się niesie, ale piegata też nie była głupia. A potem gdzieś znikła. Hanka myślała, że po prostu przepadła; z początku chodziła po sąsiadach, dopytywała się, a potem dała spokój. Nie ma, to nie ma, nie będzie się przecież uganiać za kurą jak za rodzonym dzieckiem.

A piegata naprawdę nie była głupia. Niosła się na ogrodzie Homozów i tam wysiedziała kurczęta. Hanka nigdy by się o tym nie dowiedziała, gdyby jej ktoś z sąsiadów nie powiedział:

— A zajrzyj no do Martochy, tam twoja piegata już całe stadko wodzi.

W pierwszej chwili Hanka nie wierzyła, bo słyszana to rzecz, żeby jej kwoka komuś kurczęta wodziła? Chociaż u kogoś innego może by się to i nie zdarzyło, ale czyż Todos i Martocha nie przesunęli jej między? Po nich wszystkiego można się spodziewać.

Dawno już jej noga nie postąpiła na ich obejściu, ale co miała robić, mus to mus.

— Dzień dobry — powiedziała tak grzecznie, jakby zapomniała, że już półtora roku ze sobą nie rozmawiają. — A gdzie moja piegata?

Martocha tłukła coś w korycie dla świni. I żeby się choć odwróciła, gdzie tam, jakby ogłuchła.

— To powiadacie, żeście sobie przywabili moją piegatą, tak? — dopytywała się Hanka słodziutkim jak nigdy głosem.

Martocha ogłuchła, zdawało się, już do sąd-
nego dnia. Ale Hanka usłyszała kwokanie w ką-
cie między chałupą i piwniczką. Podeszła bli-
żej — i rzeczywiście, jej piegata, wychudzona,
cała jakby obskubana, grzebała się w ziemi,
a wokoło niej, niby puszyste kłębuszki, jaś-
niały kurczęta. Toczyły się jak kuleczki, coś
tam dziobały i wcale nie było ich tak mało,
jak się dobrze przypatrzeć.

Hanka wyciągnęła rękę, żeby je połapać do
fartucha — i w tej chwili Martocha odzyskała
wzrok, słuch i mowę. Przyskoczyła do Hanki
i ubrudzonymi świńską karmą rękami zaczęła
ją odpychać.

— Czy ja się pcham na twoje podwórze? No
powiedz, czy ja się pcham na twoje podwórze?!
Przestałam chodzić po wodę? Przestałam.

— Tfu, babko.

— Na swoje dzieci możesz sobie tfukać!

— I to wy mówicie? Taka święta i poboż-
na — docięła jej Hanka.

— Kurczęta są moje, nie pchaj się tu, nie od-
dam!

— Jakże to może być, żeby kurczęta spod
mojej kwoki były wasze?

— A tak! Bo w ogrodzie moje kury się nio-
sły, a twoja piegata tylko przyszła i wysiedzia-
ła. Idź, póki nie narobiłam krzyku!

Tak to Hanka od samej Martochy dowiedzia-
ła się, gdzie tyle czasu przepadała jej piega-
ta. Żeby to wiedziała, wysłedziłaby, spędziła
z gniazda na cudzym ogrodzie. A ta Martocha,
patrzcie, jaka chytra, doczekała się kurcząt i za-
brała.

— Tfu! Wasze kury nie wyłażą z kurnika,

o tym każdy wie. A na ogrodzie niosła się moja piegata i tam kurczęta wysiedziała.

— Alboż ty masz czarne kury? Co? Widzisz, jedno kurczątko jest czarne.

— Za to mam czarnego koguta.

— A to z gliwą główką?! Ja mam gliwego koguta!

— A ja mam aż trzy gliwe kury! Bójcie się Boga, sąsiadko, oddawajcie kwokę i kurczęta!

— To ona na moim ogrodzie się gnieździła, ziemniaki mi wygrzebywała, na moim ogrodzie młode wysiedziała i ja mam oddać?! Nie oddam, ona już jest moja.

— Wasze kury też chodzą po moim obejściu, a przecie od tego nie stały się moje.

— Nie oddam! Moja piegata i moje kurczęta! Kto to widział, żeby w biały dzień rabować?!

— Po co to, babko, odwracać kota ogonem? Nie stójcie mi na drodze — i odtrąciwszy starą ramieniem Hanka schyliła się, żeby zebrać te żywe kuleczki do fartucha.

Zdawało się, że całkiem lekko odepchnęła Martochę, ale ta upadła na ziemię, zadarła sine, chude nogi i podniosła lament:

— Oj, chce mnie zabić! Oj, tchu nie mogę złapać! Oj, nastaje na moje życie! Cóż ja jej złego zrobiłam, że tak mnie poniewiera!

Todos musiał wyglądać ukradkiem przez okno, bo zdawało się Hance, że raz czy dwa zamajaczyła tam jego biała broda. Wypadł teraz z chałupy i trzymając przed sobą laskę szedł wprost na Hanke. Miał niesamowite oczy, wargi mu latały i szybko przebierał nogami — gdzie się podziała jego stateczność? Dobrze, że

się Hanka uchyliła, bo wbiłby jej chyba w pierś tę łaskę.

Podszedłszy do niej blisko przystanął i wznosił rękę, jakby chciał przeżegnać diabła.

— Zgiń, przepadnij, babo opętana — powiedział niskim, piersiowym głosem — i nie wódź na pokuszenie!

Martocha już nie wierzgała nogami — siedziała na przyzbie i przyglądała się im z ciekawością. Potem podniosła się, otrzepała spódnicę i znowu podeszła do piwniczki. Nie odda kwoki ani kurcząt!

Hanka aż się zatrzęsała ze złości, już nie władała sobą. Z jej ust wyrwał się świszczący szept:

— Świat nie widział takich złodziei! Milczcie, kurokrady, bo jak ja zaraz narobię krzyku, to nie będziecie wiedzieli, gdzie się podziać ze wstydu! Myślicie, że jak wam inni wszystko przepuszczają, jak wam wszystko darują, to możecie się już tak rozpasywać? Wezmę zaraz te kurczęta i żywymi pozatykam wam gardła, że już nigdy żreć nie zechcecie!

Może by Todos i nie ustąpił, ale już ludzie zaczęli na nich popatrywać, już na ulicy nadstawiali ucha. Z wściekłością wbił łaskę w ziemię i trzymał się jej obiema rękami, jakby bez niej zaraz miał upaść. Gniewnie zmarszczone brwi jak siwe krzaki piołunu zawisły nisko nad oczami, a w tych oczach tliło się tyle nienawiści, że inna może by odstąpiła od swego, ale nie Hanka.

— Sadźcie sobie swoje kwoki, to będziecie mieli — powiedziała prawie spokojnie, bo czuła, że jest górą, i pochyliwszy się zaczęła wyłapy-

wać kurczęta i kłaść do podołka. Na końcu wzięła kwokę, co była uwiązana do kołeczka.

— Ziemia się jeszcze pod tobą rozstąpi — rzuciła za nią Martocha. — A twoja chałupa pójdzie z dymem.

Hanka odwróciła się.

— A pod wami już się rozstąpiła, i wasza chałupa już się pali! — pokazała ręką na strzechę.

Todos i Martocha pozadzierali głowy i odeszli, żeby popatrzeć z boku. A Hanka, śmiejąc się w duchu, że tak okpiła swoich pazyer-nych sąsiadów, poszła przez przełaz do siebie.

Teraz, jak gdzieś wychodziła, zawsze naka-zywała któremuś z dzieci siedzieć koło domu. Bała się, że Martocha zabierze piegata z kurczętami. A jak nie zabierze, to czy to dla niej taka sztuka wytruć albo wydusić? Ja nie mam, to i ty nie będziesz miała. Spróbuj potem udowodnić, że to nie tchórz albo łasica.

Hanka wcale się nie kajała, że z krzykiem odebrała swoje. Bo jak coś jest nasze, to dlaczego mamy innym darować? No, żeby to jeszcze komuś dobremu, niechby tam, ale Homozom? W czterdziestym siódmym, kiedy to ludzie o mało nie puchli z głodu, oni swoją świnie chlebem karmili. A jak któreś z dzieci poszło poprosić, to choć nie oberwało kuksańca w plecy, ale też nic nie dostało. E, jak się żyje między wilkami, trzeba wyć jak wilk. Bo inaczej rozszarpia, zjedzą, nawet kosteczek nie zostawią.

Teraz Hanka dużo sobie obiecywała po tych odwojowanych kurczętach. Do jesieni podrosną, a jak jakiś majster przyjdzie, żeby coś zrobić

do nowej chałupy, już będzie miała czym przyjąć. A kiedy zbierze się tłoka, też nie będzie musiała biegać po pożyczkach, rumienić się ze wstydu przed ludźmi. Kto wie, kiedy to jeszcze ta tłoka się zbierze, ale zawsze...

I karmiąc kurczęta Hanka radośnie się uśmiechała...

Być może, że raz czy dwa Macedon zajrzał do Hanki — człowiek z niego nie bardzo pijący, ale kto by nie chciał wypić za darmo, kiedy go częstują. Nie bez tego, że spotykali się nieraz przypadkiem na polu buraczanym czy przy oborze — pracują przecież w jednym kołchozie, mieszkają w jednej wsi. Macedon był człowiekiem spokojnym, ręce trzymał przy sobie, a Hanka też za nim oczu nie wypatrywała. Po pierwsze, sama uważała się za kobietę w latach, a po wtóre Macedon miał własną rodzinę i to taką, aż dziw, że go dotąd nie zjadła. No cóż, to dobrze, że go nie zjadła, dobrze przede wszystkim dla samego Macedona. Jego żona Likora to cicha i skromna kobiecina. Cokolwiek zdarzy się we wsi, cokolwiek dzieje się na świecie — o wszystkim mówi, że tak widać być musi. Narodzi się dziecko czy kogoś Bóg powoła do siebie — Likora na to, że Pan Bóg wie, co robi. Zwicznie krowa nogę czy złamie racicę — tak było sądzone. Spadnie grad czy długo deszczu nie ma — nie godzi się narzekać, bo to i tak nie pomoże. Od kiedy żyje we wsi, nikt nie pamięta, żeby się z kimś pokłóciła. Bywają tacy ludzie, nie obejdzie się bez nich ani na wsi, ani na świecie.

Macedon też zapożyczył coś niecoś od niej, bo kiedy ktoś z kimś się pobije, a potem chce się pogodzić, to jego pierwszego proszą na pośrednika. On sam nie lubił wdawać się w bójki. Bywało, szepi się dwóch durniów, łamią sobie żebra, a Macedon stoi obok i nic. Zdawałoby się, powinien ich rozdzielić, rozpędzić głupie koguty, ale gdzie tam! Stoi i ćmi papierosa. I żeby się podśmiewał albo miał z tego złośliwą uciechę, skądże! Stoi i patrzy spokojnie, z rozwagą. Mówią ludzie, że to od żony przejął takie usposobienie, kiedyś, nim się ożenił, był ponoć całkiem inny.

Hanka nawet się nie zdziwiła, kiedy pewnego razu zobaczyła Likorę na swoim obejściu. Choć mieszkają w różnych stronach wsi, chociaż nie znają się całą rodziną, to przecie każdemu do jej chałupy wolna droga. Widać jakaś potrzeba sprowadza do niej tę kobietę.

Likora jak zawsze była nieśmiała, tak i teraz stanęła przy wrotach i wahała się podejść bliżej, tylko rozglądała się dookoła. Aż Hanka zawołała na nią:

— Chodź, Likoro, nie ma u mnie psów, a ja sama nie rzucam się na ludzi.

Likora miała oczy spokojne, jak dwa jeziora otoczone ze wszystkich stron sitowiem, co to nawet wietrzyk ich nie zmąci. I tliło się w nich jasne ciepło, nadające jej spojrzeniu wyraz dziecięcej niewinności.

— Tak, tak, psów nie ma — powiedziała i weszła na podwórze. Ręce trzymała złożone na brzuchu, jakby miała coś pod bluzką i bała się upuścić. Zrobiła parę kroków i znów przystała.

— Chodźże, Likoro, na moim podwórzu ziemia się pod tobą nie rozstąpi.

— Tak, tak...

— I nie ma indyków, żeby się rzuciły na twoją czerwoną chustkę.

Likora jeszcze bardziej się mieszała. Ujęła rozek chustki, mnąc go w palcach. Znoszona była ta chustka, sprana, czerwonego koloru trudno się dopatrzeć, ledwo, ledwo prześwieca.

— Niech się rzucają na dziewczyny, a ja już... — i nie dokończyła.

— Jak ci się żyje? — spytała Hanka, która nie mogła się nadziwić, patrząc na tę nijaką kobietę: że też mogą być tacy ludzie na świecie! Musi im być ciężko, każdy takiemu wlezie na głowę, nawet bez potrzeby. Ale jednocześnie obudziło się w niej współczucie dla Likory.

— Tak sobie. Co dzień — nadzieja na jutrzejszy dzień.

— Bez nadziei trudno żyć — przyznała Hanka. — Nieraz ślepnie człowiek ze zmęczenia, a pomyśli o odpoczynku i od razu jakby nabierał nowych sił.

— Tak, tak — bąknęła Likora i spuściła oczy.

„Dalibóg, jak młoda dziewczyna — pomyślała Hanka. — Chodzi, jakby się bała stąpać po ziemi, mówi, jakby uważała, żeby kogo nie urazić. Jej chyba nawet kęs chleba nie chce przejść przez gardło, bo to mogłoby się komuś nie podobać”. A przecież współczucie dla Likory nie zgasło w jej sercu.

— Kto nie ma dzieci — powiedziała — ten może żyć i bez nadziei, takiemu zawsze lżej, ale my... Ciebie też los nie oszczędził, prawda?

— Prawda — odparła cichutko. — Niech rosną zdrowe.

— Pewno. Życie bez dzieci to nie jest życie.

— Bez dzieci człowiek jest jak ślepy. Nic za tobą, nic przed tobą. Ale nieraz tak ciężko na duszy, że lepiej było samej się nie rodzić i ich nie mieć.

W końcu uprosiła ją Hanka, żeby weszła do izby. Likora przestąpiła próg, oparła się o o-dzwieriek i dopiero Hanka musiała ją wziąć za rękę i posadzić na ławie.

— Gdybym ja tak dawała się prosić, już bym dawno nogi wyciągnęła. Czemu ty, Likoro, tak wszystkich się boisz?

— Nie boję się — zaprzeczyła kobieta — tylko tak mi jakoś przykro.

— Dlaczego?

Likora wzruszyła ramionami i milczała.

— Dlaczego? — nalegała Hanka.

— Przykro mi, że żyję... — szepnęła wreszcie Likora.

— O, macie! — plasnęła w dłonie Hanka. — Ale dlaczego?

— Sama nie wiem. Tak już jest...

— A po co przyszłaś? Może czegoś potrzebujesz? Może ci w czymś pomóc albo coś pożyczyć?

— Nie, nie, ja tylko tak... — westchnęła.

— To posiedź trochę w izbie, a ja pokręcę się koło gospodarstwa.

Uwijając się przy tym i owym całkiem zapomniała, że zostawiła Likorę samą. Myślała, że kobieta posiedzi i pójdzie sobie, bo przecież ona nie ma czasu na wypytywanie. Ale wróciła po jakiejś godzinie, patrzy, a Likora siedzi w

izbie, jak siedziała. I łagodny smutek świeci się w jej oczach.

— Nie jesteś czasem chora, Likoro? A może Macedon cię wypędził? Chłopy już takie są, powiedz, to może ci ulży.

Na wzmiankę o Macedonie Likora zmieniła się na twarzy, wciągnęła głęboko powietrze, chciała coś powiedzieć, ale nie mogła złapać tchu i z oczu trysnęły jej łzy.

— To znaczy, że cię wypędził? A może zachorował?

A tamta tylko płacze, nic nie mówi. To prawda, że głupiemu kiepsko żyje się na świecie, ale takim, jak Likora, chyba jeszcze gorzej. Dała się jej wypłakać. Wreszcie Likora zebrała się z siłami i powiedziała:

— Zostaw ty jego.

— Kogo? — nie zrozumiała w pierwszej chwili Hanka.

— No, mojego, Macedona.

To było dla Hanki jak grom z jasnego nieba. Chciała się roześmiać, plasnąć o poły rękami, ale się powstrzymała. Jakiś ciężar legł jej na piersi, usta mimo woli drgały, raz i drugi.

— Sama widziałam — mówiła półgłosem Likora — i ludzie gadają... Żeby chociaż ciągiem o tym nie gadali, nie plotkowali, to jeszcze nic by nie było, nie przyszląbym, ale tak...

Hanka słowa nie mogła wypowiedzieć, stała jak ogłuszona. Nigdy nie bała się plotek, ale teraz, kiedy i ją wzięto na języki... I choć nic nikomu nie zawiniła, to przecież w tej chwili czuła się tak, jakby naprawdę była winna przed Likorą. Toż gdyby wiedziała, na staję omijałaby Macedona!

— Czy to ja nie widzę, jak ty żyjesz? — ciągnęła dalej Likora. — Widzę. Harujesz, aż ci żyły na czole wystąpiły. Nie możesz bez chłopa... Ale gdybyś chociaż z nim tak, żeby nikt nie widział...

— O czym ty mówisz, Likoro! — zawołała Hanka. — Toż on dla mnie jak zeszłoroczny śnieg!

— No co? Niechby po cichu, żeby inni nie wiedzieli. Tak jak Tatuń... On też ma jakąś w mieście, ale czyż jego żona o tym wie, albo dzieci? Powiadają, że tam też już ma jedno czy dwoje...

— Likoro, toż on u mnie wypił tylko kieli-szek wtedy za gęsi, to wszystko plotki, przy-sięgam na Boga.

Ale tamta widać nie wierzyła. Od dawna już musieli jej to kłaść w uszy, od dawna radzili, żeby się rozprawiła z Hanką, żeby jej oczy wydrapała, kudły wyszarpała, i skoro już Likora odważyła się przyjść, chciała wszystko wyłożyć.

— Zostaw ty go. Macedon i rozumu za dużo nie ma, i bałamut, i lubi łąać. Żebym nie miała tyle gąb do wykarmienia, niechby sobie szedł, ale tak... Nie potrafiliście ukryć, wypłynęło na wierzch, to teraz chociaż ty, Hanko, miej serce.

Rozgniewać się? Chwycić ożóg i wygnać z chałupy na zbity łeb? Ale przed nią siedzia-ła na ławie wstydliva, niepokażna Likora, i wszystko, co mówiła, pochodziło chyba od in-nych. Nie, nie mogła się Hanka rozgniewać, podnieść ręki. Choć weź i płacz razem z Likorą, ale płakać też nie mogła.

— A czyś ty pogadała z Macedonem? Co on na to?

— Nie gadałam... Alboż on się przyzna?

— Bo nie ma się do czego przyznawać!

— E-e, tak na wiatr ludzie by nie gadali... Jak on tu jeszcze przylezie, to przepędź go, niech zapomni drogę do twojej chałupy.

Hance coraz bardziej mąciło się w głowie, całkiem jakby zaczadziła: ostry ból w oczach, suchość w gardle. Nie potrafiła już ani się usprawiedliwiać, ani pocieszać tamtej. Trzymała na kolanach zaciśnięte pięści, a były one takie ciężkie, że, zdawało się, zaraz oberwą ręce.

Likora wyszła, lękliwie przeszła pod oknami, lękliwie wysunęła się za wrota — ze spuszczo-nymi oczami, z głową wciągniętą w ramiona. Nie kobieta, a cień kobiety. Chciała Hanka w duchu uzalić się nad nią, ale jakoś tego żalu już nie było. Za to rósł w niej gorzki gniew — nie na Likorę, nie, a tak... na cały świat, na wszystko, co każe jej męczyć się i cierpieć, jak- by ona dla mąk tylko na ten świat się naro- dziła. Od tego gniewu paliło ją w głowie, jak- by jej tam ktoś nasypał rozpalonego żaru...

Przez kilka dni nie wychodziła z domu. Wo- łano ją do pracy, powiedziała, że jest chora. Rzeczywiście, czuła się jak pobita. I w krzyżu ją czemuś bolało, i w karku, i w pasie. A tak ją mdliło, że piła gorący wywar z suszonych śliwek... Kiedy pierwszy raz wyszła na ulicę, wydała się sobie całkiem stara, a wszystko na- około było w jej oczach czarne — i domy, i drzewa, i kobiety na ogrodach czy przy stu- dni. I choć nie miała na sumieniu nie tylko grzechu, ale nawet myśli o grzechu, to przecież

nie opuszczało jej poczucie winy. Podejrzliwie łowiła każde rzucone za nią spojrzenie, a gdy ktoś zaczynał szeptać przy niej, była przekonana, że to o niej szepcą, o nikim innym, tylko o niej.

Z Macedonem spotkała się o przedwieczery nad stawem. Jego gniady z brzegu pił wodę, a on sam — boso, w nasuniętym na oczy kaszkiecie — siedział na koniu i związywał bat. Zobaczył Hanke, jak nie opodał nabierała wodę (na mycie głowy, żeby włosy były miękkie) i zawołał:

— Jak się masz, kobieto, coś taka dumna?

Inna na jej miejscu odpowiedziałaby, pogadała do rzeczy. Ale choć Macedon w niczym nie zawinił, nagle wzdrygnęło się coś w Hanczynej duszy od urazy do niego. Nabrała wody, odwróciła się bez słowa i odeszła.

Dziwne rzeczy zaczęły się dziać z Iwanem. Dawniej chodził chłopak kudłaty, miesiącami nie strzyżony, ino patrzeć, jak jakaś sroka zechce uwić sobie gniazdo w jego czuprynie. Kiedy już Hanka nie mogła patrzeć na tę strzechę, brała nożyce i usadowiwszy chłopaka na stołku, obcinała mu włosy na czysto, nawet czuba nie zostawiała. "Żeby ci nie było gorąco" — mówiła. Tylko schodki bielily się na Iwanowej głowie, jak na polu nierówno zżęte ściernisko. Iwan rad był i takiemu strzyżeniu, nawet nieraz przyprowadzał swoich kolegów, żeby ich matka ostrzygła.

I nagle zaczęły się dziać z chłopcem dziwne rzeczy. Pewnego dnia wrócił do domu jakiś

weselszy niż zawsze, jakby uszczęśliwiony, a kiedy zdjął czapkę, zerknął na matkę — zauważyła coś czy nie? Pewnie, że zauważyła — Iwan był porządnie, starannie ostrzyżony, czub miał przylizany i pachniał ni to wodą kolońską, ni to mydłem toaletowym.

— Kto cię ostrzygł? — spytała. Chciała się uśmiechnąć, ale jej wargi jakby przymarzły do siebie.

— Wujek Hument — odparł z jawną dumą.

Hument strzygł w ich wsi i starych, i małych. Każdego, kto nie przychodził strzyc się do niego, nazywał „azjata”. Prócz tego Hument bił świnię, trzebił wieprzki i byczki. Jak krowa miała się cielić, też go wołano. A kiedy ktoś sam bił swoją świnię albo brał weterynarza do czyszczenia byczka, to takich Hument także nazywał „azjatami”.

— Coś mu za to dał?

Iwan wzruszył ramionami. Miało to znaczyć — co dałem, to dałem, co się tak dopytujecie?

— No, przyznaj się — nalegała matka.

— Dziesięć jaj.

— Ile? Dziesięć? A ty je zniosłeś? Co? Będziesz rozdawał po dziesięć jaj, jak sam zaczniesz się nieść! Czyż ja sama nie mogłam cię obskubać? Alboż Hument zrobił to lepiej? Dziesięć jaj!

— Pewnie, że lepiej — mruknął syn.

— To czemu mnie nie płacicieś? Myślisz, że bym nie wzięła? Wzięłabym, jeszcze jak!

— Jakże to — zaśmiał się Iwan — mam od was brać i wam dawać?

— Żebyście mi choć raz coś dali, a to krę-

cę się i kręcę koło was jak głupia i co z tego mam?

No cóż, ostrzygł się u Humenta, niech mu będzie. Ale zaczął włosy zaczesywać do tyłu, a te nie chcą leżeć. Już i czapką przyciskał, i wodą moczył, a te jak były proste jak drut, tak zostały, jak sterczały na wszystkie strony, tak sterczą. To co umyślił? Na całą noc matczyną chustką głowę obwiązywał! I to nie tylko na noc. Nieraz, bywało, schowa się w izbie pośród białego dnia, obwiąże głowę chustką i tylko popatruje w okno, czy ktoś czasem do nich nie idzie.

Hanka już nawet pokpiwała z niego.

— Czy ty przypadkiem nie myślisz się żenić?

— Myślę się żenić — burczał, niekontent z czegoś, Iwan.

— A potem odżenić?

— Potem odżenić.

— A po co obwiązujesz głowę, boisz się, żeby ci się rozum nie roztrząsał?

— Właśnie.

No cóż, to dobrze, jak się boi, żeby mu się rozum nie roztrząsał. Tylko czy tam jest coś do roztrząsania? Chyba nie. I matka wzdychała.

Potem Iwan zaczął przepadać z domu. Przedtem, bywało, trzymał się chałupy jak wesz dziurawego kożucha, a teraz jak wyprysnie po obiedzie, to ani pod wieczór, ani wieczorem, dopiero gdzieś koło północy przygna go do domu. Skrzypnie cichutko nie zamkniętymi drzwiami i skrada się do swojej pryczy, bojąc się nawet odetchnąć. Hanka raz to ścierpiała, drugi, ale w końcu musi przecież wiedzieć, dokąd jej dziecko chodzi! A może związało się z takimi ło-

buzami, że nie tylko samo skończy na szubienicy, ale jeszcze całą rodzinę za sobą pociągnie?

Którejś nocy, kiedy Iwan, przygryzłszy wargi, na palcach skradał się do pryczy, zawołała:

— Iwanie!

Znieruchomiał i czekał chwilę. Pewno myślał, że matka mówi przez sen. Ale ona roześmiała się.

— Od kiedy to zacząłeś się bać rodzonej matki?

Szybciutko skoczył ku pryczy i szusnął pod płachtę. Hanka, wsparta na łokciu, chwilę patrzyła ze swojej leżanki, a potem wstała, podszła do niego.

— Odezdziesz się nareszcie?

Milczał, nakryty z głową.

— Nie udawaj, chłopcze, niemego, bo ja ci tu zaraz głos przywrócę. Gadaj, gdzie się włóczyłeś? Może się zbratałeś z jaką bandą, co uczciwych ludzi napada na drodze? A może po cudzych komorach łazisz z koleżkami?

— Ojej! — burknął Iwan.

— Odpowiadaj, matka cię pyta!

— Odczepcie się — znowu burknął Iwan. A że matka zaniemówiła ze zdumienia, dodał: — Rozpuścili gębę, zaraz się dzieci pobudzą na piecu.

Wtedy zdarła z niego płachtę, złapała za kołnierz:

— To ty tak do matki?!

Skoczył na równe nogi, mocno chwycił ją za rękę.

— Puść! — nakazała.

— Nie puszczę — wydusił głucho.

— Słyszysz?!

— A wy się nie bijcie! Czemu się bijecie?

— To ty będziesz na matkę rękę podnosił? Brał się z matką do bitki? To już nie ma dla ciebie nic świętego? Puść!

Puścił jej ręce i przywarł plecami do ściany. Hanka wzięła go za ucho, przeprowadziła tak przez całą izbę, a kiedy znaleźli się na dworze, powiedziała:

— Możesz iść!

— Dokąd? — nie zrozumiał chłopiec.

— Dokąd chcesz. Tam, skąd przyszedłeś. — A że syn nawet się nie ruszył, dodała: — Teraz jesteś już mądrzejszy od matki, samodzielny, to po co ja ci jestem potrzebna? Idź, skąd przyszedłeś! No, co sapisz jak miech kowalski? Idź i nie wracaj.

— Nigdzie nie pójde — wyjąkał płaczkliwie.

Hanka chwilę pomilczała i czując, że wzięła górę, twardo, gniewnie powiedziała:

— A teraz przyznaj się, gdzie się włóczysz? Bo zaprowadzę do gminy, a tam już z tobą pogadają.

Iwan wiedział, że matka tylko straszy tą gminą, ale przestał się upierać.

— Chodziłem do chłopców. Do Czmyra i Tatunia.

— A co to znowu za konszachty z tym łobuziakiem Czmyrem?

— Nic, tak tylko — wymamrotał syn.

— A z tym postrzelonym Tatuniem? Toż to taki pusty łeb, aż dzwoni!

— Tatuń, mam, ma nowiutki bęben, a Czmyr bałałajkę.

— To co z tego?

— Razem gramy.

— A ty na czym znowu grasz?

— No, ja tak, koło nich...

— A po co wam to granie?

— No, czasem ktoś poprosi do siebie, albo jak dziewczęta na ulicy się zbiorą, czy na wieczornicy...

— Na wieczornicy? — powtórzyła matka. — Alboż teraz zbierają się jeszcze na wieczornice?

— Aha, i to często — potwierdził syn. — Raz u Milionichy, to znowu u Warki Burdejnej. Nawet stare baby przychodzą, takie już pokraki, że nikt nawet nie spojrzy.

— Kto nie spojrzy?

— No, chłopaki, parobki.

— A ty co tam robisz?

Iwan odkaszlnął.

— Bawię się...

— Boż-ż-żeż ty mój, Boże! — piasnęła w dłonie Hanka i wpatrzyła się w swego syna jak w jaką zjawę. Ale Iwan nie bardzo uląkł się tego spojrzenia, widział, że matce złość już przeszła, a o nic więcej mu nie chodziło. — Jakże to ty się bawisz?

— No, siedzimy z chłopakami na ławie, śpiewamy...

— Co? — samo wyrwało się matce.

— „Jechał kozak przez stanicę”, „Wyprzęgajcie, chłopcy, konie”.

— A ty? A ty co tam...? Też tańczysz?

— Pewno — odparł nie bez dumy. — Nieraz to taką kurzawę w chałupie wzbijemy, że kaganka nie widać.

— Tfu! — splunęła Hanka i poszła do izby. Ale odwróciła się jeszcze i dodała:

— Jak cię już tak świerzbi, to się żeń. Weź

sobie babkę Bachurkę albo Klarę Stefanyszyn. Będziesz sam sobie panem, kiedy zechcesz, wtedy się przytelepiesz do domu.

— Potrzebne mi takie stare łyko — mruknął Iwan.

— A ty jaką chciałbyś?

— Jeszcze nijaką, ale w każdym razie nie taką.

— Tfu! — jeszcze raz splunęła Hanka.

A parę dni potem jaką to blachę przyczepił sobie do paska! Do najzwyczajszego rzemyka, pomarszczonego, wystrzępionego na końcu. Była to żółta, mosiężna blaszka z łuski po naboju, wypucowana do blasku. I to nie po prostu blaszka, gdzie tam, ale przemyślnie wycięte, rozpostarte orle skrzydła. Dawniej ten pasek gdzie bądź się poniewierał, całymi tygodniami Iwan go nie nosił, a teraz, gdzie tylko idzie, zawsze się podpasuje, a tę blachę ciągiem maca, i głowę nosi wysoko i prosto jak żołnierz. Dopóki nie miał tej blaszki, był sobie chłopiec jak chłopiec, a teraz jakby nie ten sam, jakby wydorósł, nawet honor skądś się u niego wziął. Przedtem nieraz oberwał od matki po karku, jak nie usłuchał, a teraz jakoś Hanka nie może podnieść na niego ręki. Co to kawałek blachy może zrobić z człowieka!

Mało tego, ten smarkacz Tolek zapatrzył się na starszego brata i jemu też zachciało się zmian. Dotąd podwiązywał się kawałkiem sznurka, byle portki nie spadły, i dobrze było, a teraz i on chce mieć pasek. Był w domu kawałek skóry cielecej, co go Hanka trzymała na łatki, to go wynalazł i już byłby zepsuł, jakby się nie spostrzegła.

— To ty będziesz dobro niszczył?!

Wyrwał się z jej rąk jak wicher, a po tygodniu czy dwóch przecie miał rzemyk — znoszony, całkiem już do niczego, ale rzemyk. Może od kogoś wyprosił, a może mu ktoś dał, bo i tak miał wyrzucić. I Tolek też zaczął zadzierać nosa. Dawniej od razu posłuchał, jak go matka gdzieś posyłała, a teraz, od kiedy nosi pas, nie bardzo się spieszy. A jakby się dopiero zmienił, gdyby jeszcze miał taką blaszkę jak starszy brat!

A z Iwanem dalej działo się coś niedobrego. Jednego razu, kiedy się mył, Hanka zauważyła, że ma czymś takim ubrudzoną rękę, co nie daje się zmyć.

— Co to znowu? — spytała. — Gdzieś się tak umazał dziegciem czy jakimś czernidłem?

Iwan tylko mruknął coś lekceważąco — niby że matka nic nie rozumie, a wtyka nos.

— To jest taki tatuaż — parsknął śmiechem Tolek, który kręcił się w pobliżu.

— Co takiego? — uniosła brwi.

— No, nakłuli mu to igłą.

— Czemu go kłuli? — zdziwiła się matka. — Nie mógł się to obronić?

Mówiąc to podsunęła Iwanowi rękaw do łokcia — i aż jęknęła. Na rękę był wytatuowany sztylet owinięty łańcuszkiem, a na sztylcie napis: „Nie zapomnę ciebie, matko”. Hanka zdarła z syna koszulę, ściągnęła podkoszulkę — całe plecy i piersi Iwana były aż krase od napisów i malunków. „Podłość — wróg człowieka” widniało na brzuchu, a na lewym ramieniu: „Moskwa — stolica Ojczyzny”. Były gwiazdki, Kreml, kotwice, jakieś ciapki. Jedno miejsce

chłopiec zakrył dłonią, ale matka siłą oderwała jego rękę i odczytała: „Antosia”.

— Cóż to znowu za Antosia? — spytała groźnie.

— Szamrajka — naiwnie wyjaśnił Tolek.

— Toś ty sobie Szamrajczyną dziewczuchę wykłuł na piersiach? — wrzasnęła Hanka. — Po to cię na świat wydałam, żebyś ty tę bezwstydnicę z niechlujnego rodu na swoim ciele malował?

Iwan milczał. Tolek przezornie skrył się za węglem, bał się, że i on może oberwać od matki. Bo że dostanie mu się od Iwana, to więcej niż pewne.

— Zaraz ja cię wymyję — powiedziała Hanka, polała Iwana wodą z kubka, nabrała garść piasku i zaczęła szorować mu plecy. — Ze skórą zedrę z ciebie te głupoty.

Iwan sapał tylko, ale się nie wrywał. Hanka tak zawzięcie szorowała, aż wystąpiła krew. Wtedy żal się jej zrobiło własnego dziecka i już tylko pokrzykiwała:

— To ty będziesz za tę głupią Antoszkę krew przelewać? Tak dużo jej masz, co? Czemu zaciskasz zęby i nic nie gadasz? Co to, na froncie jesteś, a matka twój wróg? Odezwij się!

Iwan mruknął coś niewyraźnie.

— Co? — nie dosłyszała.

— Antoszka wcale nie jest głupia — powtórzył głośnie.

— Kiedy tak, to idź i pożycz od niej rozumu. Słyszysz?

— Właśnie że pójdę.

Chodził on do Antoszki pożyczać rozumu czy nie chodził, dość że któregoś dnia wrócił do

domu pobity; sińce pod oczami, uszy podrapane, włosy całe we krwi. A odzież — zdawałoby się, że sucho na dworze, a ten nazbierał gdzieś błota, wszystko na nim takie, że tylko zamknąć oczy i przeżegnać się. Łokcie mu powyłażyły, kolanami też świeci.

— Zbijcie mnie, mamó — poprosił cichutko.

— Co? — matka udala, że nie dosłyszała. Tak się z nim namęczyła w ostatnich czasach, że już nawet nie mogła się gniewać.

— Powieście mnie!

— A to dlaczego?

— Ukarzcie mnie, mamó.

— Kto ci tak dogodził?

Ale co się go nawypytywała, nic nie powiedział, tylko wargi gryzł. To ci zacięta szelma, to ci wyrodek!

— Jeśli choć trochę szanujesz matkę, to idź do gminy i poskarż się na swoich krzywdzieli. Albo mnie powiedz, sama sobie z nimi poradzę.

Nie powiedział. Później dopiero dowiedziała się Hanka, że to któryś ze starszych parobków tak go urządził za Antoszkę. Ileż ta Antoszka ma lat? Chyba ze szesnaście! Czy to mało teraz dziewczyn w Zbarażu? Tyle tego dobrego, co plew u porządnego gospodarza. I żeby chociaż dziewczucha urodna — gdzie tam, jakby ją co dzień surowym mięsem po gębie prali. A on przecie nie ma więcej niż Antoszka, ale, szesnastu jeszcze nie skończył.

I co tu teraz robić? Może nic nie robić? I czy jest jakiś sens i ład na tym świecie? Może nigdy nie było i nie będzie?

Kiedy człowiek nic nie ma, jest niezadowolony, stara się do czegoś dojść. A jak już się dorobi, coś ma, znowu mu się zdaje, że mało, chciałby mieć więcej. Tak że w końcu czy ma coś człowiek, czy nie ma nic — zawsze jest niezadowolony.

Hanka nie miała krowy, bo jak nie kupiła zaraz po wojnie, to i później się nie zdobyła. Pewno, że jakby porządnie się pomęczyła, wszystkie żyły z siebie wypruła, może byłby jaki taki krówski ogon na obejściu. Ale Hanka aż tyle tych żył nie miała, a zresztą, gdyby się nawet ściągnęła na krowę, to czym by ją karmiła?

A co było z kierownikiem klubu, Pawłem Drałą? Wziął konie od swego brata, kołchozowego furmana, i w nocy pojechał z ojcem do lasu. Tam nałożyli cały wóz siana i jakby swoje własne, nie kryjąc się, przywieźli do domu. A przecie ich złapali, musieli odwieźć to siano, skąd wzięli, a Drałę uratowało od kryminału tylko to, że był człowiekiem znanym w rejonie — nie tak dawno zbaraski zespół amatorski zajął na przeglądzie drugie czy trzecie miejsce. We wsi opowiadano sobie, że przewodniczący kołchozu miał powiedzieć do Drały:

— Gdybyś ty, sukinsynu, nie zajął w rejonie żadnego miejsca, to za to kradzione siano już ja bym ci znalazł do-o-obre miejsce!

Po tym wypadku Paweł Drało zaczął bardzo często zwoływać chór na próby, a tych, co nie przychodzili, nie wpuszczał do klubu, kiedy już wreszcie, po długich oczekiwaniach, przyjeżdżało do wsi kino.

Bachurka też nie miała krowy. Nawet jej do

głowy nie przychodziło, że mogłaby na starość mieć własną krowę, pić mleko. I zdawało się, że nigdy jej coś takiego do głowy nie przyjdzie. Aż tu — posłuchajcie. Była w Nowej Grobli na jarmarku i tam spotkała się ze swoją starą znajomą, z którą kiedyś, za dziewczęcych czasów, w przyjaźni były. Tamta zaprosiła Bachurkę do siebie, ugościła mlekiem. I zmęczonej, spragnionej staruszce takie to mleko wydało się smaczne, że spytała:

— To... niezberane?

— Pewno, że niezberane — potwierdziła dawna przyjaciółka.

— Stara krówka czy młoda?

— Żeby to krowa! To mleko od kozy.

— Od kozy?!

Zdziwienie Bachurki nie miało granic. Z wielkim smakiem dopiła mleko, a potem powiedziała, że chciałaby tę kozę zobaczyć. Znajoma zaprowadziła ją nad rów, gdzie przywiązana do palika, z torbą na wymieniu, z wysoko zadartym rogatym łbem stała łaciata koza. Bachurka chciała ją pogładzić, ale koza nastawiła rogi i stara prędko się cofnęła... Wracała potem do Zbaraża i ciągiem myślała o tej kozie i mleku, nie wychodziło jej to czemuś z głowy. Szła przez pole i zdawało jej się, że zaraz z krzaków wyskoczy koza. Bachurka przystawała, żegnała się...

Wieczorem poszła do Hanki. Hanka wróciła właśnie z pola, myła nogi przy studni.

— Posłuchaj, co ci powiem — już z daleka zaczęła Bachurka.

— Już tam coś powiecie — odparła Hanka czując, że nie bez przyczyny stara do niej zawitała.

— A jakbyśmy tak sobie kupiły kozę, co? — z miejsca wyłożyła karty Bachurka.

— Co za kozę?

— Taką, co by dawała mleko.

Hanka wyprostowała się i ze zdziwieniem spojrzała na starą.

— To kupcie sobie, jak się wam zachciało mleka.

— A ty byś nie chciała?

— Czemu nie...

— No to kupmy!

— Jedną kozę na nas dwie? Jakże to, zerwiemy ją na pół? Dla mnie ogon i rogi, a dla was dwa cycki i racice?

— Ale, też gadasz! Pół kozy będzie dla mnie, a pół dla ciebie. Zapłacimy po połowie.

— Jak to pół kozy?

Bachurka aż się zeźliła, że Hanka nic nie rozumie.

— A tak, dla każdej pół kozy. Ot, na ten przykład, ty trzymasz ją tydzień u siebie, karmisz, doisz. A potem ja trzymam tydzień u siebie. Też ją karmię, doję.

— Ach tak! — uśmiechnęła się Hanka, bo wreszcie zrozumiała. — No dobrze... W lecie jeszcze jako tako, ale kto jej będzie doglądał w zimie?

— We dwie, zawsze we dwie.

— A wściekłe podatki? Jak ktoś ma krowę, musi nosić mleko do skupu. I dawać mięso. Na kozę też chyba nakładają?

O tym Bachurka nie pomyślała. W samej rzeczy, a jak każą nosić więcej mleka, niż ta koza daje? To co, dokupywać dla państwa? Pospmutniała staruszka, aż Hance żal się zrobiło —

po co jej to mówiła? Niechby się babka cieszyła, układała plany.

Smutna wyszła Bachurka od Hanki, a za kilka dni znowu przybiegła, z taką miną, jakby jej kto podarował srebrnego rubla. Już od wrót wołała:

— Nie biorą, Hanko, nie nakładają!

— Kto nie bierze? Czego nie nakładają? —
Hanka widać już zapomniała o niedawnej rozmowie.

— Nie biorą mleka! Za kozę! Byłam w Nowej Grobli, pytałam.

— Coś takiego! To dobrze, że nie biorą. A dowiedzieliście się, czy można na pół kupować? A nuż jest takie prawo, co na to nie pozwala? Że można trzymać kozę, ale pół kozy nie wolno? Co?

Bachurka zasepiła się. Alboż ona zna się na prawach? Zresztą prawo też można obracać i tak, i siak, jak się kiedy spodoba ich wiejskim władzom. Skąd można wiedzieć, co tam pisze o kozie? Myślała, myślała i w końcu wymyśliła:

— A jakbyśmy tak trzymały tę kozę potajemnie, żeby nikt nie wiedział?

— W naszej wsi? Na Chacapetówce?

— I to prawda.

Ale i tej wątpliwości Bachurka się pozbyła. Poszła do gminy, rozmawiała z Bałką i sołtys powiedział, że jak chcą trzymać po pół kozy, to niech trzymają. A jakby ktoś chciał trzymać ćwierć kozy, to też nikt mu nie zabroni, bo nie ma na to żadnych przepisów.

— Nie ma? — chciała się upewnić Bachurka.

— Mówię wam, że nie ma.

— A może będą?

— Czy będą? Nie wiem, może będą. Co się martwić na zapas. Chcecie kupić pół kozy, to kupujcie. Toż to się dopiero wzbogacie!

Tę nową wiadomość, przyniesioną z gminy, Hanka przyjęła bez wielkiej radości.

— Powiedział, że nie ma przepisów? I powiedział, że może będą? Otóż to właśnie!

— Co?

— A to, że wszystkiego można się spodziewać, dziś jest tak, a jutro inaczej.

— Coś ty taka strachliwa, Hanko, wszystkiego się boisz... A pamiętasz, bracia-grabarze trzymali jedną krowę na dwóch.

— Trzymali! Już by lepiej było, żeby nie trzymali. Póki nie mieli tego ogona, żyli w zgodzie i spokoju, choć ich obejścia przez płot tylko, a jak się we dwóch ściągnęli na krowę, to prędko stali się wrogami.

— Toż nie oni, tylko ich kobiety!

— Ale, babko! Tu żeby człowiek nie chciał, to stanie się wrogiem... Calutka wieś z nich się śmiała! Doić tę krowinę doili, ale karmić nie było komu. Jeden myślał — niech on karmi, a drugi myślał — niech tamten karmi. I bydlę świeciło zebrami, a przecie krowka była niczego. A mleko nosili do skupu? Żaden nie chciał.

— E tam, Hanko, od kozy mleka nie trzeba oddawać.

— Dajcie mi spokój z tą kozą! Bracia rodzeni się pogniwiali, a my przecież obce.

— Ale się pogodzili.

— A jakże, jak sprzedali krowę.

— Hanko, czy między nami była kiedyś wrogość? Nigdy. I tu się nie pożremy.

Rzeczywiście, czemu miałyby się zrec? Tyle się znają, a chyba nigdy naprawdę się nie pokłóciły. Bóg da, że i o kozę się nie pokłóca. Może się zgodzić? Nie tak znowu wiele trzeba będzie zapłacić za kozę, a jakaż będzie radość nie tylko dla Bachurki, ale i dla dzieci — dla Tolka i Sani. Iwan już duży, nie zechce tego koziego ogona kręcić, ale małe... Ileż to się już od nich nasłuchiwała, żeby kupić krowę!

— Spróbujmy — rzekła. — Kozą wielkiego doglądu nie potrzebuje, przywiąże się ją do palika i będzie się tłukła cały dzień, nim wszystką zieleń dookoła powyskubuje.

— Otóż to! — ucieszyła się Bachurka. — Nie musi mieć trawy, wystarczy jakiś krzak, trochę zielska.

Prawdę mówiąc, czemu by nie kupić tej kozy, myślała Hanka. Czy tam pół kozy. Świni, jak inni, nie trzyma, tyle że trochę tych kur... Będzie się koło czego w domu kręcić, nie tylko koło ogrodu. I może więcej ją będą we wsi szanować, bo człowieka, który nic nie ma i nie chce się postarać, nie bardzo u nich szanują. Można powiedzieć, wcale nie szanują.

— Bożeż ty mój — terkotała tymczasem Bachurka. — Nikogo nie mam na świecie, a teraz będę miała kozę! Nie będę już sama. Dla ciebie, Hanko, to nie to, co dla mnie, bo w twojej chałupie dzieci się kręcą. A u mnie cztery kąty i piec piąty. A teraz będzie koza!

— Pół kozy — przypomniała Hanka.

— A tak, tak, pół kozy. Ale razem — cała koza.

— Ale... ale, słuchajcie, babko, przecie ta koza urodzi kozłátko?

To Bachurce nie przyszło do głowy. Aż się jej oczy rozszerzyły, zaśmiały.

— Jak podrośnie, poprowadzę je na jarmark — paplała Hanka — sprzedam. Wezmę ładne pieniądze, bo od dobrej kozy powinno być dobre potomstwo.

— A tak, tak — przytakiwała Bachurka. Ale raptem oczy jej znów się rozszerzyły i stara podejrzliwie spozjrzała na Hanke. — Ty poprowadzisz na jarmark? A dlaczego ty? Sama? Alboż to twoje kozłátko? Pół kozy jest twoje, a pół moje.

— To co, kozłátko też mamy rozedrzeć na pół?

— A po co rozdzierać? — zaprzeczyła Bachurka. — Kiedy koza jest u ciebie, to i kozłátko z nią, a jak u mnie, to u mnie.

— Zgoda — powiedziała Hanka. — Ale przecież ono kiedyś wyrośnie, można by sprzedać.

— I ty poprowadzisz na jarmark?

— No?

Stara jeszcze bardziej podejrzliwie popatrzyła na Hanke. A ta wciąż jeszcze nie rozumiejąc, o co jej chodzi, dodała:

— Poprowadzimy razem, jak macie taką ochotę pójsć na jarmark.

Bachurki to nie uspokoiło.

— To wychodzi tak, że koza po połowie, ale kozłátko twoje? — powiedziała gniewnie. — Sprzedasz i pieniądze schowasz do swojej kieszeni?

— W imię Ojca i Syna... Co się wam stało, babko?

— Widzicie ją, mnie! — aż podskoczyła Bachurka. — To ja się ciebie pytam!

— Dlaczego miałabym wasze pieniądze chować do swojej kieszeni? Wasze pół kozy, to i wasze pół kozłątka, i wasza połowa pieniędzy.

— Oho, już ja ci wierzę! Wiem, jaka ty jesteś!

— Jaka?

— A taka!

Choć śmieć się, choć płacz! Jeszcze tej kozy nikt na oczy nie widział, jeszcze jej nie kupiły, a już się pogniewały. Bachurka spódnice w garść i podyrdała, aż się za nią zakurzyło... I to już teraz się pokłóciły, a co by było, jakby naprawdę razem kupiły i razem miały tej kozy doglądać? Ale, nie obyłoby się wtedy bez śmiechu i płaczu, a co uciechy mieliby źli sąsiedzi!

Tak Hanka myślała, a przecież czuła w sercu jakiś żal. Bo rzeczywiście można by było mieć kozę, rzeczywiście dzieci miałyby jakąś rozrywkę. A potem przyszłoby na świat kozłątko, może nawet dwoje... Hanka aż się uśmiechnęła. Dlaczego nie, jakby się poszczęściło, koza może mieć nie jedno, ale dwoje młodych. Wtedy nie będą musiały się dzielić, rozdierać kozłątka na pół. Jedno będzie dla Bachurki, drugie dla niej. I co która zechce ze swoim zrobić, niech robi, nic to nikogo nie obchodzi.

Bachurka wysłuchiwała tego wszystkiego niezbyt przychylnym uchem. I wciąż podejrzliwie popatrywała na Hankę. Aha, co innego mówisz, a całkiem co innego możesz mieć na myśli.

— A-ale — przeciągnęła niewesoło — już się rozmyśliłam.

— Jak to, nie chcecie mleka?

— Chcę mleka, ale się rozmyśliłam.

Wyszło tak, że teraz Hanka się napraszała:

— Ależ będziecie mieć własne koźlątko. I co zechcecie, to z nim zrobicie. Zechcecie, to sami sprzedacie, a zechcecie — to będziecie chować, wyrośnie wam koza.

— A czym ja go będę karmić? — spokojnie odpowiedziała Bachurka. — I powiedz, Hanka, czy ja dam rady go doglądać? Mówiliśmy, żeby na pól, a tak... Nie, nie chcę.

— Samiżście do mnie z tym przyszli!

— Nie, ty mi powiedz, co ja z tym koźlątkiem będę robić?

Hanka chciała powiedzieć, że mogłaby komuś podarować, jak sama sobie z nim nie poradzi, ale się powstrzymała. A nuż Bachurka pomyśli, że Hanka chce, żeby jej podarowała? Gotowa się znowu pogniewać i to nie na tydzień, a po co mają się gniewać? Bo rzeczywiście, po co? Bądź co bądź żyją z sobą tyle lat, co prawda nie tak znowu, żeby jedna za drugą w ogień skoczyła, ale przecież dobrze z sobą żyją. Alboż Hanka ma kogoś bliższego? Nie ma. Niby nasiało się tych różnych krewniaków po sąsiednich wsiach, ale chyba Bachurka jest jej najbliższa, chociaż nie krewna.

Jak tylko nadejdzie wiosna, od razu lżej się człowiekowi żyje. Po pierwsze, nie trzeba myśleć o obuwiu i o tym, jak je łątać. Zrzuca się szkraby, co przez zimę dopiekły gorzej niż kajdany, i chodzi się na bosaka, czy sucho na dworze, czy mokro. Nie trzeba też nosić i niszczyć przyodziewku, narzuci się na siebie byle co, aby okryć ciało — ot i cała parada i cała ochrona przed deszczem. A po trzecie, na wio-

snę tyle zielska wybuja z ziemi, młodej zielonej lebiody i pokrzywy, że starcza nie tylko dla świń. Pewno, że nikt się jeszcze nie poprawił na zielsku ani się nie upaśł, ale zawsze weselej popatrzeć w miskę, kiedy w zupie czy w barszczu nie tylko same ziemniaki pływają.

I tę, może ostatnią z trudnych zim, jakoś Hanka z dziećmi przeżyła. A ledwo tylko stopniał śnieg, dzieci biegały bosc i porozbierane. Twarze co prawda miały takie same sine jak nogi, ale kiedy ktoś pytał, czy im nie zimno, mówiły, że nie. Bo były przyzwyczajone. Jak wszystkie dzieci, lubiły się bawić, a Hanka tak ich nauczyła, że nigdy nie wracały do domu z pustymi rękami. Zawsze coś znajdą — to jakąś trzaskę, to patyk. A kiedy szły nad staw, nie tylko się kąpały, ale i ryby przynosiły.

Z tymi rybami różnie bywało. Wszystko było dobrze, póki wybierały raki z nor albo łowiły kiełbiki koło grobli; woda tu płynie bystro, skacze po kamieniach, to jest ich zatrząsienie. Bawiąc się, można przez dzień nawyciągać ich z pół torby, albo i więcej. Pół biedy też, kiedy koło grobli łapały na gazę albo do worka sralki (tak nazywano i nazywa się w Zbarażu drobne rybki). Dzieci miały uciechę, jak pośród sralek trafiła się jakaś większa ryba, ale tu już musiały mieć się na baczności przed rybakami, którzy nieraz podkradali się, a jak złapali, to bili dzieciśka za to, że wyniszczają drobiazg.

Za sralki rzadko się obrywało, bo oprócz dzieci nikt ich nie łowił i nikt specjalnie nie pilnował. Ale co to za jedzenie! Podsmaży się na patelni, z początku jeszcze można jeść, ale dużo zjeść się nie da, bo nie czyszczone i gorzkie.

Tyle, że rozdrażnią apetyt... Dorośli i starsze dzieci łowią karpie, których już pilnują stróże. Starsi robią to w nocy, tuż przed świtaniem, kiedy sen najmocniejszy. Zarzucają sieć, ktoś nagania cichutko senne ryby — nieraz za jednym zachodem tyle nałowią, że starcza dla wszystkich, i to nie tylko na śniadanie, ale jest co zanieść na targ. Stare dziady, przywykłe od dziecka do wody, zakładają więcierze w im tylko znanych miejscach, i to tak sprytnie, że nawet czajki nie zdołałyby ich podpatrzeć... A starsze dzieci w biały dzień łowią na wędkę. Zasyje się taki w sitowiu, żeby go nikt nie zobaczył, i ukradkiem zarzuca wędkę. A nawet łowi bez wędziska, tam gdzie woda głęboka. Siada sobie na widnym miejscu, koło karciarzy, i bywa tak, że nim tamci nałapią durniów, ten całą kupę ryb nałapie. Bo jak mus przycisnie, to nawet bezręki potrafi się przeżegnać.

Sania i Tolek przynosili do domu piskorze i sralki, a Iwan nawet większe ryby. Nieraz musiał uciekać przed stróżami, nieraz dostało mu się od nich i stracił wędkę, ale to była dla niego zwykła rzecz. Wszystkie wsiowe chłopaki tak łowiły i nikt nie pomstował na swoją dolę. Hanka nic mu za to nie mówiła, bo przecie to też była pomoc. Aż któregoś dnia chłopak wrócił do domu skrwawiony, posiniaczony, cała koszula w strzępach.

— Kto cię tak urządził? — spytała gniewnie.

Iwan patrzył spode łba i nie chciał się przyznać.

— Powiesz czy nie?

A ten jakby ogłuchł i oniemiał.

— Na drugi raz żebyś nie dał się złapać —

powiedziała. — A jak cię złapią, żebyś mi się taki do domu nie pokazywał. Toż tej koszuli już nie da się nawet połatać. I jak ja mam na wszystko nastarczyć?

Iwan i potem przynosił ryby, ale nigdy więcej nie przyszedł pobity ani obdarty. Widać nauczył się prędko uciekać.

Hanczyne dzieci nie zbijały bąków. U innej matki dzieciska leniwe, wstają koło południa, domu się nie trzymają, a u niej we wszystkim jest porządek. Chociaż nie było krowy, którą trzeba paść, dzieci wstawały raniutko, jak nie razem z matką, to zaraz po niej, nigdy się nie wylegiwały. Nieraz pasły za kogoś gromadzkie bydło, a nad stawem pilnowały nie tylko swoich gęsi, ale i cudzych. A jak nie było czym palić, zabierała Hanka swoją gromadkę i szli do lasu po susz.

Nie zawsze zostawało Hance po zimie te trochę ziemniaków, żeby zasadzić ogród. Chociaż myślała o nadchodzącej wiosnie, chowała na nasienie, to nieraz bywało, że i to nasienie musieli zjeść. Dobrze było, jak ktoś pożyczył wiadro czy dwa, a jak nie udało się pożyczyć, ziemia leżała odłogiem i tylko chwasty bujały do słońca w ogrodzie. Nieduży ten splacheć, ale serce i o to bolało, bo kto wie, jak to tam będzie...

W tym roku było to samo. Hanka zamartwiała się, chodziła po pożyczkach, gdzieś jej dali pół podołka ziemniaków, gdzie indziej nic nie dali. „Posieję maku — myślała. — Choć tyle maku nam nie trzeba, ale niech bodaj coś rośnie”.

Dopomógł Iwan. W nocy przytaszczył prawie

pełniuteńki worek. Żyły wystąpiły mu na czole z wyteżenia, ale jaki uradowany!

— Będzie, mamó, i na sadzenie, i na jedzenie.

Zacząła się dopytywać, gdzie dostał, ale Iwan tylko krzywo się uśmiechnął:

— Zarobiłem!

— U kogo zarobiłeś?

— Albo co? Zarobiłem i koniec.

— Porządnie się musiałeś narobić, że ci tyle dali.

— Narobiłem się czy nie, niech już was o to głowa nie boli.

Hanka jakby go pierwszy raz zobaczyła. Stał przed nią wysoki, z długimi rękami, i choć twarz miał jeszcze dziecinną, to przecież rysy już zaczynały grubieć, a koło ust zaznaczyły się leciutkie bruzdy. Nawet się nie spostrzegła, kiedy wydorósł. Zdawało się jej, że jeszcze dziś rano był jak zawsze, całkiem jeszcze dziecko, a teraz... Przeniosła wzrok na Tolka, potem na Sanię. Ci też podrosli. I czemuś wydali się jej malutkimi dorosłymi ludźmi. Oczy mieli wszyscy poważne, jakby przyprószone popiołem znużenia, i matka dojrzała w tych oczach życiowe doświadczenie i coś znacznie głębszego, coś więcej niż doświadczenie.

Wstali o świcie, żeby uporać się z sadzeniem, póki ziemia wilgotna. Sporo już zasadzili, gdy przeszedł koło nich Hłemezdyk. Pozdrowił ich starym zwyczajem i już mijając ich ogród krzyknął:

— Słyszałaś? Tej nocy u Hordija Pylawcia ktoś ukradł ziemniaki z piwnicy!

Krzyknął i poszedł dalej. Do Hanki nie doszło

nawet w pierwszej chwili, co on powiedział. A potem nagle wyprostowała się, zmieniona na twarzy, łopata wypadła jej z rąk. Chciała zajrzeć Iwanowi w oczy, ale ten udawał, że nic nie słyszał, bardzo był zajęty pędrakiem.

— Iwanie — odezwała się.

Gałązką lebiody obracał tego pędraka z boku na bok.

— Iwanie...

Jakby ogłuchł na oboje uszu. Tolek podszedł i trącił go w ramię, ale starszy brat odepchnął go łokciem i wciąż chował oczy.

— Dzieci — powiedziała matka — patrzcie dobrze, gdzie są jamki, i wyjmujcie z nich zasadzone ziemniaki.

Wykopywali z jeszcze większą ochotą, niż sadzili. Tolek pobiegł po drugą łopatę, a Sania wygrzebywała wprost rękami. Iwan tymczasem znalazł jeszcze jednego pędraka. Tolek, zerka-
jąc spod oka na matkę, podszedł do brata i sze-
pnął:

— Uciekaj!

Iwan odtrącił go łokciem, ale już nie tak mocno. I znowu pochylił się, grzebiąc w ziemi. Posadzonych ziemniaków nie wybierał, nie. Sania próbowała pochwycić jego wzrok, ale się jej to nie udało, Iwan patrzył tylko pod nogi.

Kiedy wszystko przekopali, wygrzebali wszystko, co zasadzili, Hanka zsyłała ziemniaki razem i powiedziała do Iwana:

— A teraz odnieś, skąd przyniosłeś!

Próbował wziąć worek na plecy, ale zabrakło mu sił. Dreptał w miejscu, oderwać worek od ziemi oderwał, a dalej ani rusz. Kiedy Sania

i Tolek skoczyli, żeby mu pomóc, matka rozkazała:

— Niech sam! Umiał przynieść, niech umie odnieść!

Iwan nadrabiał miną, udawał mocnego, ale i jemu stanęły w oczach łzy. Wtedy matka zadała mu worek na plecy, bo nagle żal się jej zrobiło i dziecka, i samej siebie, i jeszcze czegoś, czego nie potrafiłaby wypowiedzieć słowami.

I tak szli ulicą — Iwan na przedzie, uginając się pod ciężarem, za nim matka, a na końcu reszta. Żadne z nich nie patrzyło przed siebie, wszyscy patrzyli pod nogi i wszyscy byli jednakowo pochmurni i źli. Do chałupy Hordija nie było tak blisko, aż Hanka się dziwiła, jak ten Iwan mógł tyle przytaszczyć. Ale umiał ukraść, niech umie oddać. Czy ona go uczyła, żeby kradł? Czy sama kiedyś wzięła coś cudzego? Nigdy tego nie było i nie będzie, choćby nie wiem jaka ciężka przyszła na nią godzina.

— Dokąd to wy tak całą czeredą? — pytali ludzie, pozdrawiając Hanke.

Nie odpowiadała na pozdrowienia i nie podnosiła oczu. A przecie zatliła się w niej isierka nadziei. Bo jak ich pytają, dokąd idą, to znaczy, że jeszcze nie wiedzą. Ale czy to w ich wsi da się coś ukryć? Czy to ich Chacapetówka, czy cała wieś — to jedno i to samo.

Hordij Pylawec właśnie wychodził z podwórza. Pod pachą niósł torbę z instrumentem, wi dać szedł do kogoś na robotę. Miał białe, jakby przyprószone śniegiem wąsy, od spodu żółte od tytoniu. Pod samym okiem biała blizna — kiedyś drzazga tak głęboko go skaleczyła.

— Dzień dobry! — pozdrowiła go Hanka. —
Przyjmujcie złodziei!

Powiedziała to niby żartem, ale twarz jej ani drgnęła. Hordij spojrział na chłopca z workiem i wszystko zrozumiał.

— Alboż wy jesteście złodzieje? Przecie dobrzy z was ludzie.

Twarzyczka Sani od razu się rozjaśniła. Wesoło spojrzała na braci, ale oni dalej byli pochmurni, to i ona posmutniała.

— Byli dobrzy, ale już nie są — powiedziała Hanka. — Popatrzcie tylko na tego bandytę! Dobrze mu się przypatrzcie!

— Widzę, widzę — dobrodusznie rzekł Hordij. — Tylko że on chyba nie sam, musiał być jeszcze z kimś, bo sporo tych ziemniaków zabrali. Ale co ja wam powiem? To, co mam, to mi wystarczy, a jak wam są potrzebne, to nie oddawajcie.

— Hordiju... — zaczęła Hanka i nie dokończyła.

— A bo co? — podniósł na nią wzrok, nie wzrok, wesoły błysk. — Jak nawet chłopiec wziął, to widać troszczył się o rodzinę, chciał pomóc. Nie przepił, nie poniósł na targ sprzedawać.

— Wybaczcie — zaczęła i znowu nie skończyła.

— Po co było robić chłopcu taki wstyd? Patrzcie, jak on wygląda!

Iwanowi ręce tak zdrętwiały, że nie czuł nawet, kiedy mu się ten ciężki wór zsunął z pleców i upadł na ziemię. Sznurek się rozwiązał i ziemniaki potoczyły się po trawie. Chłopiec schylił się, zaczął zbierać. Sania i Tolek skoczyli na pomoc.

— Nie weźmiemy nic od was — powiedziała Hanka. — Wybaczcie, że tak się stało. Ale nie chcę, żeby wyrosli na złodziei, żeby na cudze łasym okiem spoglądali. Niech umieją sami dla siebie się postarać.

— Hanko, mam zdrowe ręce, mam rzemiosło, a wy...

— Umie kraść, to niech umie zarobić.

— Weźcie te ziemniaki, na jesieni mi oddacie.

— Dziękuję, Hordiju, ale brać to znaczy jeszcze raz się zhańbić.

Zasiała ten splechec makiem. A że makę też zabrakło, to jeszcze nasadziła w ogrodzie kwiatów, po co ma się ziemia darmo wysilać.

Tego samego wieczora Iwan znikł z domu. Najpierw Hanka myślała, że został na noc u któregoś ze swoich kolegów. Ale rano też nie wrócił. Wtedy się przestraszyła — a jeśli dziecko rękę na siebie nałożyło? Pobiegła szukać, rozpytywała, ale nikt go nie widział. Dopiero na drugi dzień w południe ktoś jej powiedział, że widziano go w Nowej Grobli. Domyśliła się, że pewno zaszył się u jej dalekich krewnych w sąsiedniej wsi.

„To nic — pomyślała z ulgą — wielki to dla niego wstyd, ale jakoś to przeżyje. I nigdy już na coś takiego się nie waży. A jak ja ich nie nauczę rozumu, to kto ich nauczy?”

Iwan wrócił do domu po tygodniu. Zmizowany, ponury, nie patrzył matce w oczy, a z młodszym bratem i siostrą prawie nie rozmawiał — ot, burknie coś tylko i odwraca się. We wsi nikt mu ani słowem nie przygadał, widać Hordij nikomu nic nie powiedział, i chło-

piec powoli zaczął przychodzić do siebie, ożywił się. A przecież, jak szedł ulicą, wciągał głowę w ramiona, jakby się czegoś bał. Od swoich dawnych kolegów też się odbił, wciąż tylko kręcił się koło starszych. I do szkoły prawie przestał chodzić — wiecznie siedział w kołchozie. Aż któregoś dnia powiedział do matki:

— Dają mi woły, pójdę do roboty.

Nic mu nie powiedziała, nie kłóciła się. Może, jak wyrośnie, będzie miał żal do niej, że się nie sprzeciwiła, ale jej też było ciężko. A niech staje do roboty, niech coś pomoże. Czy to on jeden taki w Zbarażu? Dużo ich porzuciło szkołę i chodzą z wołami. A Tolek i Sania będą się uczyć, kiedyś się odwdzięczą. I Iwan chyba jej wybaczy...

Kiedyś wracała Hanka z miasta, była na targu. Nie miała z kim zabrać się wozem, samochód też żaden po drodze się nie trafił, musiała iść pieszo. Pieszko, to pieszko, niewielkie nieszczęście, nawet lepiej, za własne nogi nie trzeba płacić. Żeby jeszcze obuwie przy tym się nie zdzierało, to byłoby całkiem dobrze. Szła z opuszczoną głową, aż tu patrzy — leży coś w rowie przy drodze. Poszła już dalej, ale gdzieś w środku jakby ją coś dźgnęło, żeby podejść i zobaczyć.

Podeszła, przyjrzała się. Była zima, śnieg padał cały dzień i to coś ledwo szarzało. Hanka ostrożnie dotknęła — niby materiał. Próbowwała rozwinąć, ale to się nie poddaje, sztywne, zmarnięte, aż trzeszczy. Widać od dawna tu leży. Wreszcie rozwinęła. Spodnie! Brezentowe, sze-

rokie, z długimi nogawicami i nigdzie ani jednej dziurki. Nic innego, tylko ktoś zgubił, bo czyż takie dobro dzisiaj się wyrzuca? Może popytać po wsiach, kto zgubił? Marna sprawa... A nie podnieść, nie zabrać — i tak przepadnie. Zwinęła te skrzypiące, zeszywniałe portki, włożyła do koszyka i poszła dalej, dziękując Bogu za to, że szła nie z zadartą głową, a z opuszczoną.

Wieczorem zebrała dzieci, wyjęła spodnie z koszyka i powiedziała:

— Iwanie, czy ty wiesz, co to znaczy szanować matkę?

— Też gadacie — mruknął Iwan, który nie lubił rozczulania się ani u siebie, ani u innych.

— A właśnie, że nie wiesz. Źle ci będzie w życiu, bo i twoje dzieci nie będą ciebie szanować.

Syn aż się roześmiał — alboż on będzie miał dzieci?

— Wspomnisz kiedyś moje słowo, ale mnie już wtedy nie będzie.

— A gdzie się podziejecie?

Hanka jakby tego nie słyszała. Rozwinęła spodnie.

— To dla ciebie, synu — powiedziała. — Za to, że nie szanujesz matki.

Iwan obiema rękami chwycił ten brezent i jednocześnie twarz mu pociemniała ze wstydu. Tolek i Sania też ciągną do siebie, też ich korci, żeby obejrzeć.

— Szanuję was, mamó — wykrztusił Iwan. — Skądście to wzięli?

— Kupiłam. Noś na zdrowie.

Iwan nigdy jeszcze nie miał kupnych spodni.

Te, co dotąd nosił, Hanka sama mu szyła. Weźmie kawałek płótna, ufarbuje w czarnym bzie, tu gdzieś nożycami rozetnie, tam igłą szepi, przyszyje byle jaki guzik czy kołeczek i gotowe... Toteż na swoje pierwsze kupne spodnie Iwan patrzył z dumą i podziwem.

— Tylko czemu takie długie? — pytał.

— Szukałam na wyrost, nie na jeden dzień.

— I szerokie...

— W zimie będziesz mógł wdziać coś pod spód, będzie cieplej.

Mimo wszystko trzeba było skrócić od dołu; od góry szkoda było podcinać. Wkładając spodnie Iwan podciągał je nieomalże pod brodę i dopiero wtedy podpasywał się. Tonął w nich, każda nogawka była szeroka jak spódnica, ale to mu bynajmniej nie przeszkadzało być dumnym z matczynego prezentu i z siebie w tym stroju.

Hm, a Tolek... Ten też nie chodził goły. Kiedyś Klara Stefanyszyn podarowała Hance rude, prawie nowe ubranie. To ubranie było niemieckie, kto wie, skąd je Klara miała. Ale jak jej nie jest potrzebne, to dlaczego by Hanka miała nie wziąć?

— Tylko obchodźcie się z nim ostrożnie, bo wygląda na papierowe.

„Też coś! — pomyślała Hanka obmacując materiał. — Któż to widział, żeby szyc ubranie z papieru!”

Ubranie dostało się Tolkowi, bo chłopak nic nie miał. Ale w nim nie chodził, tyle tylko, że przymierzył. Matka od razu schowała do skrzyni. Przyjdzie wiosna, będzie Wielkanoc, wtedy wdzieje, też wyjdzie w nowym, jak inne dzieci.

Tolek tak bardzo chciał, żeby ta wiosna przyszła jak najprędzej, że chyba stracił już nadzieję, czy kiedyś przyjdzie. Prawie co dzień nudził matkę:

— To jeszcze nie święto?

— Jak cię przeciągnę pasem, to będziesz miał święto — burczała matka.

Ale w końcu ziściło się najgorętsze może w jego krótkim życiu marzenie. Spłynęły śniegi, ziemia przeschła, zazieleniła się. Jutro Wielkanoc. Dzieci zamiotły podwórze, wygrabiły zgniłe resztki zeszłorocznej trawy z nowej, przyniosły znad stawu żółciutkiego piasku i wysypały ścieżkę do chałupy, a także pod oknami. Potem zebrały śmieci na kupę i podpaliły. Zakołysały się siwe warkocze dymu, popłynęły nad ogrodem i rozpląnęły się w zmierzchu. W górze migotały błękitne ogniki gwiazd, mieniąc się kolorowo — wszystko w ten wieczór wydawało się czyste i cudownie piękne.

Matka krzątała się przy piecu. Szykowała na jutro kure, gotowała studzieninę, pierożki z wątrową, piekła placki na płaskich blachach, a na samym końcu wsunęła do pieca ciasto z białej mąki, którą dostała u młynarza w Nowej Grobli za pszenicę. Potem uchylała co jakiś czas zaticzki i zaglądała do pieca, jak ciasto rośnie, jak się rumieni. Odbłyśki żaru padały na jej twarz, która na chwilę stawała się ognistoczerwona, a w oczach migotały popielate skry. W tej chwili, choć bardzo zakłopotana, była uroczysta i szczęśliwa.

Coraz to wpadała ze dworu Sania. Oczy jej biegały po całym tym bogactwie przeznaczonym na jutro i dziewczynka pytała:

— Mamo, mogę sobie wziąć pierożek?

— Nie, bo złamiesz post, a to grzech.

— A jak wezmę placuszek, to też zgrzeszę?

— Też, córko.

— A jak tylko połóweczkę?

— Jutro, jutro.

— A jak wezmę tylko o taką odrobinę, to też zgrzeszę?

— No to odłam sobie kawałtko.

Sania odłamywała troszkę więcej niż kawałtko i biegła na dwór. Po niej zjawiali się bracia, też udawało się im coś wyprosić. Ale Tolek, otrzymawszy swoje, nie wychodził z izby, kręcił się koło skrzyni, podnosił wieko, zaglądał do środka.

— Zamknij skrzynię i nie tłucz wiekiem, bo aż się przelekłam!

— Mamo, a mogę przymierzyć?

— Co?

— No, portki!

Kiedy indziej byłaby się może zgniewała, ale w taki wieczór grzechem byłoby się gniewać. Odpowiadała łagodnie:

— Czy to ja dla siebie trzymam? Jutro Bóg da święto, to wdziejesz, i to nie tylko portki, ale całe ubranie.

Tolek niechętnie odchodził od skrzyni. A potem długo nie mógł usnąć, zdawało mu się, że ten jutrzejszy dzień nigdy nie nastąpi i że on ani nie wdzieje swego nowego ubrania, ani nie skosztuje świątecznego ciasta...

Kiedy dzieci rano się obudziły, izba była już wysprzątana, na oknach nowe firaneczki, polepa pomazana, ławy wymyte. Matka była w nowej bajowej bluzce, włosy miała gładziutko za-

czesane, z tyłu zebrane w węzeł, twarz jej błyszczała. Umyli się, Iwan wciągnął swoje brezentowe spodnie, Tolek migiem wskoczył w swoje nowe ubranie — i spoglądają na stół, czekają, kiedy matka każe siadać. A Hanka wygląda przez okno, czy nie wracają z Nowej Grobli te kobiety, co chodzą do cerkwi. Ona sama nigdy nie chodziła święcić, ale tego wiosennego święta przestrzegają nie tyle dla siebie, co dla dzieci, żeby chociaż raz do roku mogły porządnie połasować... Wreszcie zobaczyła Bachurkę, idącą w gromadzie innych kobiet przez pole, odwraca się do dzieci i żegna się. One też niewprawnie żegnają się i czym prędzej siadają do stołu. A przecie żadne z nich nie wyciąga po nic ręki, wszystkie patrzą na matkę. Hanka kładzie łyżki i stawia miski nie tylko dla tych, co siedzą przy stole; jedna miska i jedna łyżka dla niego, dla ojca, który zginął na froncie. Przez chwilę siedzi w milczeniu, skupiona, po czym wzdycha, podnosi głowę i zaczyna się śniadanie.

Po śniadaniu, przy którym mało co się odzywali, dzieci wzięły kraszanki do kieszeni i rozeszły się. Słońce co prawda nie świeciło, ale była cicha, spokojna godzina; na wygonie, wzdłuż drogi, po podwórzach zieleniła się młoda trawka. Zostawszy sama Hanka zdrzemnęła się. I przyśniło jej się, że wysoko, pod niebem, lecą żurawie. Jeden żuraw odbił się od stada, Hanka chciała go schwytać. Już, już, zdawało się, złapała go za ogon i w tejże chwili obudziła się. Obudziła się — i ze zdziwieniem popatrzyła na swoje puste ręce...

Za oknem prał gęsty deszcz. Wesoły, zie-

lonkawy, dzwonił o szyby, grzmocił po ścianach, a od wrót od ogrodu biegł mętny potoczek. Hanka siedziała na pryczy wsłuchana w ten wiosenny szum i naraz usłyszała jakby płacz. Jakby ktoś szlochał pod oknem, przestawał i znowu szlochał. Bardzo się Hance nie chciało, ale wyszła zobaczyć.

Chowając się przed deszczem, do ściany tulił się jej mały Tolek. Nie zauważył matki, stał skulony, z twarzą ukrytą w dłoniach, i jego chudziutkie ramiona wzdrygały się od łkań.

— Czego się mażesz? Gdzie jest Sania? — zawołała matka. — Chodź do izby, nie ma co moknąć na deszczu.

Tolek udał, że nie słyszy. Nie odjął dłoni od twarzy, nie odpowiedział. Hanka zaniepokoiła się, ale dalej stała w sieni, nie chciało jej się boso chodzić po mokrym.

— Chodź, synku, popłaczesz sobie w izbie.

Nareszcie łypnął na nią jednym okiem, ale zaraz je zasłonił.

— Nnn-nie ch-ch-chcę — wyjąkał drżącym głosem.

— Zbił cię ktoś, czy odebrał kraszanekę?

Tolek włożył rękę do kieszeni, wyjął kraszanekę, aby pokazać, że nikt mu nie odebrał, i nikt go nie zbił.

— To czego kiśniesz jak ta pogoda? — zezłiła się już matka. — Jakiej choroby jeszcze chcesz? Chodź!

— Nnn-nie m-m-mam w czym — chlpał Tolek.

— Jak to?! — zdumiała się Hanka. — Chodź i nie pleć czort wie co.

— Boję się... Zbijecie mnie...

Matka straciła już do reszty cierpliwość. Tak jak stała, bosy, podeszła do niego i chwyciła za kołnierz. Chwyciła — i jęknęła. Nie było już nowego ubrania, z Tolka zwisały mokre, brudne łachmany. Rękawy były oberwane, trzymały się tylko na paru nitkach, a nogawki to już były nie strzępy, nie gałgany, ale jakaś papka obsuwająca się w dół!

— W imię Ojca i Syna! — wyszeptała Hanka. Tolek zapłakał cieniutko i rzewnie, jakby tylko czekał na te jej słowa. — Boże ty mój, Boże, za co mnie tak karzesz, za jakie grzechy?... Ano, przyznaj się, kto się tak nad tobą znęcał, kto cię tak obdarł!

— N-nikt... Samo...

— Nowe ubranie? Samo?!

— Jak tylko zaczął padać deszcz, wszystko na mnie zrobiło się mokre, potem zaczęło się kłaczyć, a potem drzeć.

— Nie łżyj! Przyznaj się lepiej, jak to naprawdę było.

— Schowałem się pod drzewem, a to rozłazi się na mnie i rozłazi...

— Ale łżesz!

— Przestraszyłem się i pobiegłem do domu. Nim dobiegłem, całkiem się rozlazło. Stałem pod chałupą, płacząc, a to sobie lezie i lezie...

Wzięła Tolka za ucho, zaprowadziła do izby i zaczęła ściągać z niego te łachy. Przyjrzała się uważnie — póki toto było suche, wyglądało jak materia, a jak namokło, rzeczywiście skłaczyło się, rozlazło, kupy się nie trzyma. Całkiem jak rozmokły papier. I dopiero teraz przypomniała sobie, że Klara dając jej to ubranie napomknęła, że jest papierowe.

— Lepiej, żeby nie dawała — mruknęła do siebie Hanka, i do Tolka: — To ja po to się staram, żebyś ty w nowym ubraniu po deszczu latał? Nie mogłeś uważać? Nie potrafisz szanować?

— Może by wysuszyć, a potem pozszywać, ponakładać łąty?

— Ale! Jaki to mądry, jak stary! Teraz chodź sobie w tych dziadach, co masz, a ja nawet palcem nie kiwnę!

— Myślicie, że mi potrzeba? — prawie wesoło odpowiedział Tolek, rad, że wszystko skończyło się dla niego pomyślnie. — Obejdę się! Mogę sto lat chodzić w tej samej koszuli, co mi tam!

I wyciągnąwszy spod ławy stare porcięta i łataną koszulę, której matka nie zdążyła nawet uprać, prędyutko się ubrał i szusnął na dwór. Wypadł za wrota pokrzykując coś głośno, pewno z radości, że mu się upiekło.

A Hanka zebrała te mokre łachmany, żeby wynieść i wyrzucić. Ale w pół drogi przystanęła. A gdyby tak rzeczywiście wysuszyć i połatać? Teraz już dziecko będzie uważało, nie wyjdzie na deszcz... Ale, śmieszna nadzieja! Wyszła na dwór i wyrzuciła ten papier. Ale nie pod chałupą, poszła zimną miedzą aż na pole i tam szpurnęła w krzaki, żeby ludziom nie lazło w oczy i żeby sama więcej nie widziała.

Nie darmo się mówi, że stary człowiek to jak dziecko — oboje mają taki sam rozum. I nie bez przyczyny powiadają, że włos siwieje, a głowa szaleje. Tyle jest tych mądrych porzekadeł,

i jak się tak lepiej przysłuchać i przypatrzeć, to wszystko jak ulał pasuje do Bachurki. Przeżyła kobieta już swoje życie, o dzieci się nie postarała, majątku też się nie dorobiła, przed ciężkimi grzechami Bóg ustrzegł, lżejsze modlitwą okupywała. U schyłku życia czas by już było myśleć o tym, jak by najgodniej zejść z tego świata, co dobrego można ludziom zrobić czy powiedzieć, żeby może kiedyś kto wspomniał.

Któregoś dnia przylatuje stara do Hanka rozpromieniona jak nowa kopiejka. Kręci się niby wrzeczono po izbie, nawet na chwilę nie usiądzie.

— Co was dziś ugryzło, babko? — śmieje się Hanka.

— A właśnie że ugryzło — odpowiada Bachurka, też uśmiechając się bezzębnymi ustami.

— Przyznajcie się, może giez?

— Może i giez — wciąż nie może sobie znaleźć miejsca stara.

— To go złapcie i zabijcie.

— Aha, zabijesz go — trajkocze Bachurka — to taki giez, co ugryzł i poleciał.

— Dopieroż się nacieszycie, jak was jeszcze raz ugryzie — żartuje Hanka.

— Nacieszę się, nacieszę...

Pokręciła się po izbie, zamiotła kurz z polepy długą spódnicą i nic do rzeczy nie powiedziawszy, prędko się wyniosła. A Hanka wciąż widziała przed sobą jej oczy pełne przejrystego, żółtawego światła i ruchliwe zmarszczki na jej ożywionej, jakby czymś uradowanej twarzy... Co by to mogło być? Co to za znak?

Minęło tego czasu tyle co zajęczy ogon, a tu

znowu przybiega Bachurka. Zamiast czarnej chustki, co ją przedtem miała na głowie, założyła teraz białą w niebieskie groszki. Bluzkę też zmieniła, czarną — na kwiciastą. Wyparadowała się, jakby szła gdzieś w gościnę, albo sama czekała na gości. Hanka aż gębę rozdziała z wielkiego zadziwienia.

— Babko, takaście ładna, jakby wam szesnastka wróciła.

— A co, wyglądam na szesnaście?

— Wyglądalibyście, żeby mniej tych siwych włosów i trochę prościejszy grzbiet.

Bachurka znowu zakręciła się po izbie, ani rusz nie może sobie miejsca znaleźć. Jakby w niej diabeł siedział i popędział, i nosił.

— Teraz — powiada Bachurka — starzy są więcej warci niż młodzi.

— Pewno — przyznała Hanka. — Byłam przedwczoraj na jarmarku, to widziałam, jak za jednego starego trzech młodych dawali...

— Ta-ak? — Bachurka wierzyła i nie wierzyła.

— Naprawdę. Tylko że tych dwóch młodych bez rozumu, a trzeci całkiem bez głowy.

Bachurka zrozumiała, że to żart, i roześmiała się.

— A ja ci powiadam, zależy, jak się komu poszczęści.

I znowu wybiegła. Hanke rozpierała ciekawość, aż wyrzała za nią przez okno. Nic innego, tylko Bachurka za męż się wybiera. Albo co, czy nie młódka? A że pniaki ma zamiast przednich zębów, to śmieje się na trzonowe. I nie szkodzi, że nie ma trzonowych — jak się śmieje, pożyczca od sąsiadów.

Nie zdążyła się Hanka obrócić, patrzy, znowu stara biegnie! Chustkę na głowie ma tę samą, w niebieskie groszki, ale zdjęła kwiciastą bluzkę i włożyła w ciapki. Co to może być, że tak ją ponosi?

— Hanko — zaczęła Bachurka z powagą, jakby się wreszcie odważyła o czymś pomówić i już nie chciała się cofnąć. — Powiedz mi, tylko bez żartów, czy ty znasz... Rojika?

— Stepana? Tego z jednym okiem? A któż go nie zna?

— Nie, ty mi powiedz, czy dobrze go znasz? — nalegała stara.

— A co z nim? Stało się coś?

Bachurka zmieszała się, a potem wypaliła prosto z mostu:

— Prosi się do mnie na męża.

Hanka aż siadła na ławie z wrażenia. Patrzy na Bachurkę, a jej twarz to się rozjaśnia, to gaśnie. Nie wie stara, czy ma się zdradzić ze swoją radością, czy lepiej ją zataić.

— To go przyjmijcie, jak się prosi — powiedziała Hanka. — Bo się jeszcze rozmyśli.

— Ależ on młodszy ode mnie o całe trzy lata! Ludzie będą się śmieli...

— Nikt nie będzie się śmiał, on starzej wygląda od was.

— Ale on chce przystać do mnie...

— I co z tego? Alboż zły z niego będzie chłop? To nic, że ma tylko jedno oko, za to widzi daleko. I jest stróżem, ma strzelbę... Patrzcie, patrzcie, tak długo żył sam, a więcej nie może.

— No dobrze, ja go przyjmę — rozważała na głos Bachurka — on u mnie pobędzie, a potem

zabierze się i pójdzie. Toż ludzie mnie wyśmiewają, dzieci będą palcami wytykać, że chłop ode mnie uciekł.

— Babko, babko, jeszcze nic nie było, a wy już — chłop uciekł! — próbowała ją uspokoić Hanka.

— A czyż Rojik nie jest taki?

— Kto go tam wie, jaki on jest.

— Nie gadaj, oni wszyscy jednakowi! Ty jeszcze mało wiesz, ale ja tyle się w życiu napatrzyłam... Rojik ucieknie, zobaczysz.

— To go nie przyjmujcie!

Bachurka podejrzliwie popatrzyła na Hankę — niby, dlaczego radzisz nie przyjmować? Czy nie dlatego, że sama nikogo nie masz?

Hanka dojrzała tę podejrzliwość w jej oczach i złość ją wzięła na Bachurkę, na siebie. Udała, że bardzo jest zajęta robotą i nie ma czasu na puste gadanie. A stara, wciąż jeszcze podejrzliwie spoglądając na gospodynię, wycofała się do drzwi i prędko się zmyła. „No — pomyślała Hanka — jak jeszcze raz tu przyjdzie, zamknę się i nie wpuszczę do chałupy. Bo jeszcze może jej strzelić do głowy, że chcę jej odbić stróża. Że skusiło mnie jego bielmo, a jakże!”

Nie zamknęła się co prawda, ale wzięła motykę i wyszła na ogród. Tylko się schyliła, żeby wyplewić jakiś chwast, a tu znowu Bachurka! Tym razem już się nie przebierała, ale za to znów cała promieniała.

— Posłuchaj, Hanko, co ci powiem.

Hanka nic, pochyliła się i dalej plewi.

— Tylko ty nikomu ani mru-mru, dobrze? — trzepie dalej Bachurka. — On przyszedł do mnie wczoraj, trochę wypił, a potem... — Bachurka

zachichotała i dłonią zakryła usta. — A potem przysuwa się, o tak, na ławie, przysuwa — znów zachichotała — i powiada: „Ty, babko, chociaż nie jesteś już szesnastka, niejedną jeszcze szesnastkę zakasujesz”. To ci stary czort, no, sama powiedz?

Hanka schylona wymachuje motyką, nawet nie patrzy na Bachurkę.

A ta:

— Zakasuję czy nie zakasuję, ale czyż teraz są takie dziewczęta, jak kiedyś bywały? Gdzie tam! Te dzisiejsze nic nie umieją — ani prząć kądzieli, ani bielić płótna, a już co do wyszywania, to każda ma dwie lewe ręce. No, jeszcze ty, Hanko, byłaś dziewczyną jak się patrzy, co prawda, to prawda, a to wszystko — to plewy, nie dziewczęta. Ani się toto zaśmiać nie potrafi, ani stąpnąć nogą jak się godzi.

Hanka tymczasem plewiła, nie potakując i nie przecząc. Niech się stara wygada, jak ma ochotę, jak jej to sprawia przyjemność.

— I szanować się dzisiejsze dziewczęta nie umieją. Taka Katria Muraszko, ile to już miała tych kawalerów! Młoda dziewczyna, a taka rozpaskudzona. Alboż ja jestem taka jak ona?

Hanka, zamiast dalej milczeć, wzięła i roześmiała się.

— Objadłaś się śmiesznego, czy ze mnie? — urażonym głosem spytała Bachurka.

— Objadłam się śmiesznego, babko, nie zważajcie na to.

Bachurka dumnie zesznurowała cieniutkie wargi i jakby się zastanawiała, czy obrazić się zaraz, czy odłożyć na potem. Widać postanowiła odłożyć na później, bo znowu zaczęła mówić.

wić o dzisiejszych dziewczętach. Hanka plewiła myśląc tylko o jednym: żeby nie parsknąć śmiechem, bo będzie kłopotu co niemiara.

Przez kilka dni, jak tylko zobaczyła gdzieś Bachurkę, z daleka ją omijała. A kiedy stara przychodziła do niej, zamykała się albo się chowała. Nie chciała jej widzieć, nie chciała jej udzielać żadnych rad, bo potem mogą z tego wyjść same nieprzyjemności. To tylko z boku się wydaje, że Bachurka taka cicha i pokorna, ale jak się jej zachciało na starość żeniaczki i amatorów, to gotowa wszystkich mieć za wrogów i wszystkie kobiety za rywalki.

Najpierw Hanka chowała się przed Bachurką, a potem widzi, że stara przed nią zaczęła się chować. „Coś tu nie tak” — pomyślała Hanka i wstąpiła któregoś dnia do Bachurki. Stara właśnie mazala podłogę, w izbie czuć było mokrą gliną i kiziakami.

— Przyszłam się spytać, czy was coś nie boli...

— Oj, boli — niewesoło odpowiedziała Bachurka.

— A co?

— Wszystko mnie boli. Gdzie dotknę ręką, wszędzie mnie piecze.

— Może to przeziębienie?

— Czy ja wiem? Robiłam różne nacierania, ale nic nie pomaga.

I znowu zabrała się do roboty. Pewno dlatego, że była taka stroskana, wydała się Hance całkiem stara. Zgarbione to, chudziutkie, na głowie nie włosy, a siwa rozpacz. Hanke aż w gardle ścisnęło, jakby samą siebie zobaczyła.

— Babko — zwróciła się po chwili do Ba-

churki, żeby jakoś rozweselić starowinę i siebie. — A jak tam wasz kawaler, co?

— Jaki? — zdziwiła się Bachurka.

— Przecie Rojik, Stepan — przypomniała jej nie mniej zdziwiona Hanka.

— E-e tam — machnęła ręką Bachurka. — Po co mi ten łajdak? W dodatku ślepy na jedno oko.

— Ale na drugie widzi — wtrąciła nieśmiało Hanka.

— Co on tam widzi! Nic nie widzi! Ja go napoiłam, nakarmiłam, a on o mnie plotki rozpusza...

— Jakie plotki?

— Żem głucha, że próchno się ze mnie sypie... A czy ja go siłowałam, żeby przychodził? Obchodziłam się bez niego, to i dalej się obejść. Sam przylazł! Sam siadł na ławie — pokazała ręką, gdzie siedział Rojik — postawił strzelbę między kolanami... E-e, jakbym wiedziała, to i na próg bym nie wpuściła.

— To nie żałujcie za nim. Potrzebna wam taka niezguła! Lepiej od razu potłuc garnki, niż potem się męczyć.

— To prawda, niech się inna z nim męczy. A ja jestem rada, żem się go pozbyła... Teraz pono do ciotki Gusty się swata. Niby że młodszą i chałupę ma nie taką starą, i lepsza z niej gospodyni. — Bachurka otarła kułakiem oczy i pochlipując dodała: — A ze mnie, powiada, próchno się sypie...

— Dajcie spokój, babko... Po co wam na starość taki kłopot w chałupie — uspokajała ją Hanka. — Wystarczy, że musicie sami o siebie się starać.

— A tak, tak, żeby tylko mieć siły dla siebie zrobić... A toto ślepe, do niczego niezdatne, ino patrzeć, jak ziemi się pokłoni... Tyle bym tylko słyszała — a daj jeść, a podaj to, a zrób tamto. E-e, niech sobie szuka głupszej.

Pogadały jeszcze o tym i owym i Hanka poszła. A za kilka dni spotkała się z Bachurką u Dusi Ławruszczenko, która właśnie urodziła syna. Poschodzili się ludzie, żeby powinszować położnicy, winszowali też ojcu, trochę popili i potoczyła się rozmowa, aż doszła do Bachurki. Kowal Panas, który już na dobre zadomowił się w Zbarażu, a lubił pośmiać się i pożartować, zaczął wypytywać starą:

— Opowiedzcie, babko, jak to się Rojik do was zalecał? Przyszedł ze strzelbą?

— A pewno, że ze strzelbą — odpowiedziała Bachurka wesoło. — Przyszedł, siadł na ławie, strzelbę postawił między nogami i tak się jej ułapił, jak diabeł grzesznej duszy.

Wszyscy gruchnęli śmiechem. Nawet Dusia, słaba i milcząca, krzywiła w łóżku blade usta.

— A potem, potem? — dopytywał się, a może podjudzał kowal.

— Oho, już ja mu wszystko wygarnęłam! Że takich kawalerów, powiadam, nie trzeba siać, sami rosną.

— Cha-cha-cha — zanosił się od śmiechu kowal. Dobrze wiedział, jak było naprawdę, ale niektórzy z gości słyszeli o tym pierwszy raz i tym Bachurka wydawała się chwatem.

— A tak, tak — podochocona tym śmiechem ciągnęła dalej stara. — Siedział, słuchał, słuchał, i tym swoim żywym okiem jak nie łypnieł Zerwał się i poleciał, ledwo do drzwi trafił.

— A strzelby nie zapomniał?

— Jakże by zapomniał, kiedy cały czas się jej trzymał!

— A jakby on tak podniósł tę swoją strzelbę, wycelował w was i powiedział: „Ręce do góry, babko, marsz za mnie za męż!” — pytał kowal. — Co byście wtedy zrobili, ha?

— A czy to ja nie mam pogrzebacza? Ja bym go prędzej ustrzeliła z pogrzebacza, niż on mnie ze strzelby.

— Śrutem strzelacie z tego pogrzebacza?

— I śrutem, i solą.

— A jakby tak na bagnety?

— Można by i na bagnety.

Wszyscy się śmieli. Bachurka też się śmiała. Patrząc na nią Hanka widziała, że stara sama zaczyna w to wierzyć, jakby naprawdę tak było. Kiedy już dobrze popili, rozmowa znowu zesłała na Rojika. Bachurka wymyśliła nowe szczegóły stróżowego swatania. Opowiadała, że niby przyszedł do niej w odświętym ubraniu, a że nie miał własnego, biegał pożyczać do któregoś z niedawnych nowożeńców, ale do kogo, tego już nie powie. A jak przepędziła jednookiego stróża, to pobiegł nie do domu, gdzie tam, poleciał oddawać, co pożyczył...

I Bachurka czuła się zadowolona i szczęśliwa.

Jak z nieba spadli Cyganie.

Wieczorem nikomu ze zbarażan nawet to w myśli nie powstało, a obudzili się rano — w dolince koło stawu, od strony torfowiska, tam gdzie zgania się bydło do stada, zobaczyli cygański tabor. Stało tam kilka bud, koło nich

pasły się koniska — trudno je nazwać ogierami, wszystkie żebra na wierzchu, ale przecie nie ze słomy i smoły ulepione, ale prawdziwe konie. Cyganie kręcili się pośrodku między budami i końmi. Dymiło się ognisko, a koło niego krzątały się dwie czy trzy Cyganki. Po trawie łąziło, świecąc gołym ciałem, kilkoro małych dzieci, starsze biegały na wyścigi z psem. Ten pies był ryży i kudłaty, a wielki jak cielę. Kiedy biegał, torfiasta ziemia aż ugięła się pod nim i głucho dudniła.

— Tylko zapamiętajcie sobie — nakazywała swoim dzieciom Hanka wybierając się z rana w pole — żeby wam nie przyszło do głowy zadawać się z Cyganiętami!

— Z jakimi Cyganiętami? — spytał Tolek, zajęty właśnie zdejmowaniem czarnej łupinki z piezzonego ziemniaka. I spojrzął na siostrę — może ona słyszała coś o Cyganach? Sania odpowiedziała mu zdziwionym spojrzeniem.

— Już ja was znam — mówiła matka — sami sobie poszukacie, gdzie by się potknąć na gładkiej drodze. Może nie?

Sania opuściła głowę i uśmiechnęła się ukradkiem, żeby matka nie widziała.

— Pewno, że nie — zaprzeczył Tolek.

A jak tylko matka poszła z obejścia, od razu zapomnieli, że mają pilnować chałupy, i pognali przez Chacapetówkę, płosząc kury i budząc psy. Nie musieli szukać Cyganów — z pagórka widać było i staw, i przysadziste budy niedaleko stawu.

Koło taboru zebrało się już trochę wiejskich dzieci. Trzymały się z daleka, jedne siedziały, inne stały. Wiele z nich miało baty albo kije

w rękach. Bo co będzie, jak Cyganięta napadną? Ale nikt nie myślał na nich napadać. Tak samo ledwo, ledwo tliło się ognisko, nad którym wisiał na poprzeczce kociołek, tak samo biegął pies z wywieszonym ozorem i rozwianą ryżą sierścią, a za nim troje czarnych, kędzierzawych Cyganiątek. Cyganięta udawały, że nie widzą wiejskich dzieci, jakby ich tu wcale nie było.

A wiejskie mówiły między sobą:

— Co też oni gotują?

— O, patrz, patrz, coś jakby jagły sypie.

— Co gotują? Alboż to nie nażebrzą? A jak nie nażebrzą, to nakradną.

— O, patrz, patrz, wyniosła z budy kawałek słoniny!

— Dobrze sobie żyją! A wy jak myślicie, czemu oni jeżdżą po świecie? Czemu nie pracują w kołchozie? Bo w kołchozie dadzą tę dniówkę albo nie dadzą, a tak zawsze mają.

— E, co oni tam mają! Tacy obdarci...

— Obdarci! Żebyś ty widział, co oni w swoich skrzyniach wożą!

— A ty wiesz?

— Pewno, że wiem! Popatrz, co sobie do uszu ponaczepiali!

Młoda Cyganka, co krzątała się koło śniadania, miała w uszach kolczyki, a przy nich monety, złote czy srebrne. Wiejskie dzieci nie wiedziały tak całkiem na pewno, jakie, bo ich ojcowie ani srebra, ani złota nie mieli, ale te monety były całkiem inne niż te, za które można kupić zeszyt czy ołówek, jakimi grało się w cymbergaja, to musiały być złote albo srebrne!

— Hej, ty! — krzyknęło któreś do wysokiego cygańskiego chłopca z wyłupiastymi, błyszczącymi oczami. — Chodź no tutaj!

Cygan udał, że nie słyszy. Wtedy zagadali do niego inaczej:

— Hej, ty! Chodź tutaj! Ty z portkami na jednej szelce!

— Z baraniami oczami!

Cygańskie dzieci nareszcie przestały biegać, pies też. Wszystkie uważnie przyglądały się małym zbarażanom. Chłopak, którego wołali, podciągnął na ramię drugą szelkę.

— Chodźcie tu bliżej — krzyczeli wsiowi.

Ten z wyłupiastymi oczami odkrzyknął:

— Chodźcie wy!

Cyganięta popatrzyły po sobie i wybuchnęły śmiechem. Żadne z wsiowych nie zrobiło ani jednego kroku. Sania i Tolek dlatego, że nie było po co, a inne — kto ich tam wie.

Z gromady wiejskich dzieci wystąpiło naprzód chłopaczysko z czubem nad czołem, z policzkami jak pampuchy. Popatrzył spode łba, jakby chciał się bósć.

— Czego tu siedzicie? — krzyknął.

Wyłupiastooki Cygan rozłożył ręce:

— Bo nie leżymy!

Pucołowaty nawet się nie uśmiechnął, choć Cyganięta znowu się zaśmiały.

— Czemu nie pracujecie w kołchozie? — pytał dalej.

— Bo nie mamy kołchozów!

— Nie przyjmują was?

— W waszych nie chcemy, a swoich nie mamy!

— A co, wolicie kraść?

Wyłupiastooki skrzywił się, ale zmusił się do uśmiechu.

— My nie kradniemy!

Teraz wsiowe zaczęły się śmiać. Najpierw nieśmiało, potem coraz głośniej.

— A jakże to wy zarabiacie? Nocą, kiedy wszyscy śpią, co?

Znowu wsiowe się śmiały, a cygańskie stały w milczeniu. Pies machał ogonem, wywieszał język, to chował. Pucowałowy, nadymając swoje pampuchy, krzyczał:

— Wy wszyscy jesteście jednakowi! Nie chodźcie po wsi, bo wam nogi poprzetrącamy. A waszego psa strujemy!

Wtedy wkroczyła młoda Cyganka. Widać przysłuchiwała się tej kłótni, bo skoczyła raptem do budy, wyciągnęła stamtąd coś bardzo strasznego, ni to strzelbę, ni to żelazny drąg, i rzuciła się ku wiejskim dzieciom. Coś przy tym krzyczała, ale co, tego żadne by powiedzieć nie potrafiło, bo wzięły nogi za pas i tak rwały, że tylko trawa spod pięt leciała.

Tego samego dnia Cyganie pokazali się we wsi. I wcale nie było ich tak mało. Skądsiś zjawili się mężczyźni, kilka starych kobiet i jeszcze więcej dzieci. Zbarażanom na długo pozostał w pamięci jeden Cygan. Miał obrośniętą twarz, chodził w czarnej bluzie narzuconej na ramiona i grał na ustnej harmonijce. I był ślepy... Najpierw myśleli, że widzi, bo oczy miał otwarte, dopiero jak się przyjrzeni — a w tych oczach żadnego wyrazu, sama pustka. Nazywał się Jonasz. Dzieci zbaraskie hurmą za nim biegały, bo Jonasz był wesoły, opowiadał różne zmyślane historyjki o Cyganach i sam się śmiał.

Przychodzili Cyganie kilka razy i do Hanki, ale ona się chowała albo zamykała drzwi od środka. Bo chodzą po prośbie, a co im da, kiedy sama nic nie ma? No i mogą coś ściągnąć, czy to się da upilnować? Nie darmo chyba tyle się opowiada o ich sprycie. A przecież się nie ustrzegła, któregoś dnia przyszli do niej, zastali pośrodku izby. Boże, niechby już jedno, to jeszcze nic, ale przyniosło лихо Cygankę, a z nią jej dzieci: od najmniejszego, co go przy piersi kołysze, do najstarszego, co stanął w progu trzymając za ręce dwie swoje wielkookie siostry.

Cyganka weszła, stanęła koło pieca i uśmiechnęła się. Hankę najbardziej uraził ten uśmiech.

— Co się śmiejesz? — spytała nie bardzo przyjaźnie.

Cyganka całkiem rozplynęła się w uśmiechu. Jej dzieci — także. Jakby każde z nich po torbie pieniędzy dostało.

— Widzę, że masz jakieś zmartwienie — odezwała się Cyganka. — Coś cię gryzie. Nie masz chłopca, co? Powrócę ci o nim, będzie ci lżej. A dzieci masz? Widzę, że masz. Powrócę i im. Dobrze im będzie...

— Jakoś tam już będzie — powiedziała Hanka. — A te to wszystkie twoje? Czy może pożyczylas, żeby więcej z tobą chodziło, to prędzej coś dadzą?

— Wszystkie moje — odpowiedziała Cyganka. — Po co bym miała pożyczać? Nie lubię pożyczzać, żeby potem nie oddawać.

— To prawda — przyznała Hanka. — Na pożyczkach daleko się nie zajedzie. Jak nie ma szczęścia, to się go nie wyprosi... A to najmniejsze ile ma?

— Zimą się urodziło.

— Męża masz?

Cyganka tylko się zaśmiała.

— Pewno masz — sama sobie odpowiedziała Hanka. — Bo skąd by się dzieci wzięły? Same się nie biorą.

— No to powrózę ci — znowu zaczęła swoje Cyganka. — Całą prawdę ci powiem. Powiem, jak to jest na świecie, będziesz wiedziała, co cię czeka. Jedno cię zasmuciło, a drugie rozweśli. Od rudego smutek, a od blondyna będzie radość.

— Wszystko mi jedno, czy rudy, czy blondyn, bo nie mam ani tego, ani tego...

— W urzędzie ci powiedzą...

— Już powiedzieli — przerwała Hanka. Kiedyś wierzyła Cygankom, wierzyła w ich wróżby, a jak gdzieś spotkała, dawała rubla i słuchała, słuchała ich prędkiej mowy, co dawała ukojenie i budziła nadzieję. Chciała im wierzyć, ale wszystkie mówiły to samo i nic się nie sprawdzało. Ot, póki człowiek słucha, póty wierzy, a potem... — A ty przyznaj się — ciągnęła dalej — jak ci jest na duszy, kiedy tak chodzisz po prośbie? Czy to przyjemnie? Jeszcze z takimi dziećmi?

— Nie chodzę po prośbie. Powrózę komuś, powiem prawdę, to się ludzie odwdzięczają.

— Jaka tam prawda!

— E-e, kobieto, ty chyba nosisz w sercu gniew na cały świat, dlatego tak gadasz. Dobre słowo leczy, pomaga.

— Jakie tam dobre, kiedy to wszystko kłamstwo.

— Nie gadaj, jak nie wiesz. Bo dla jednego

to kłamstwo, a dla drugiego nie. Kto wierzy, temu jest dobrze, ale takiemu jak ty — całkiem kiepsko.

— Słowo to nie lekarstwo, co go przyłożysz do rany.

— A właśnie że lekarstwo! — upierała się Cyganka. — Tylko jak dla kogo...

— Ale żeby tak z dziećmi — nie mogła pojąć Hanka. — Po całym świecie... Czy tobie wszystko jedno, co z nich wyrosnie? Toż one będą takie same jak ty, nie będzie się im chciało robić, wiecznie tylko z wyciągniętą ręką...

— Nam, Cyganom, jest dobrze. A wyrosną takie — niech tam, jeszcze mi podziękują.

— A jakże, podziękują — burczała Hanka. — Bierzcie ten chleb i idźcie sobie, bo nie mam czasu darmo pytlować językiem.

Ale, o dziwo, Cyganka nie wzięła chleba.

— Nie jesteśmy żebrakami. Nie chciałaś, żeby ci powróżyła, to ja nie chcę twego chleba.

Widać i ona się rozeźliła. „A ty swój honor masz!” — pomyślała Hanka. A na głos:

— Bierz, bierz! W Zbarażu dużo się nie nawróżysz, a twoje dzieci muszą coś jeść. — We tknęła bochenek najstarszemu chłopcu, ten strzelił na matkę czarnym okiem, jak czarną iskrą, ale chleb wziął, przytulił do piersi.

Już na dworze Cyganka powiedziała:

— Dobrze masz serce, tylko że kamień na nim leży. Zrzuć, kobieto, ten kamień, po co go masz darmo nosić. Posłuchaj mnie, bo wszystko u ciebie przez ten kamień.

— Tak, tak, przez kamień — przytaknęła Hanka. — A ty mi lepiej powiedz, co umiesz

robić? Szyć umiesz? A skopać ogród? Konopie moczyć? Buraki czyścić?

— Dużoś nagadała, a nie ma co słuchać. Myślisz, że nam jest źle. A czy tobie jest lepiej? Toż tobie, kobieto, gorzej niż nam. Ja twego życia znać bym nawet nie chciała, na suchej gałęzi bym się powiesiła!

I poszła. Hanka bardzo się rozstroiła, ale niechby ją kto spytał, dlaczego, sama nie umiałaby odpowiedzieć. Calutki dzień coś ją gnębiło, nie dawało spokoju. Zdawało się jej, jakby miała coś w rękach i zgubiła. Przyglądała się swoim rękom, chciała sobie przypomnieć, co to mogło być. Chyba nic...

Pod wieczór przybiegła Sania, krzycząc już od progu:

— Złapali Cyganek! Złapali Cyganek! Chodźcie popatrzeć, mamol!

— Kto złapał? Gdzie?

— Todos! Kaczkę mu ukradli!

Hanka wyszła na dwór. Ulicą wolno sunął tłum ludzi, dobiegał stamtąd lament, ktoś wymachiwał rękami. Hanka podeszła bliżej. Pośrodku tłumy stał Todos — rozczarwiony, z gniewnym błyskiem w oczach, z drżącymi wargami. W jednej ręce trzymał swoją laskę z żelaznym okuciem na końcu, a drugą wczepił się w rękaw Cyganki, tej samej, co dzisiaj przychodziła do Hanki wróżyć. Cyganka tak samo trzymała niemowlę przy piersi, a jej najstarszy chłopczyk, koło niej, przyciskał do siebie swoje dwie siostry. „Patrzajcie ją — pomyślała Hanka — ode mnie nie chciała wziąć chleba, a do Todosa polazła po kaczkę! Toż on taki, że rodzonemu ojcu, jakby wstał z grobu, palce

by odrąbał za suchą skórkę chleba. A mówiła — ja twego życia znać bym nie chciała... To ja twego nie chcę znać, niech je ziemia pochłonie!"

Todosowi z wielkiego gniewu jakby odjęło mowę, tylko żuł ustami, a jak nie żuł, to mu się wargi trzęsły. Za to bardzo czemuś starała się Bachurka, tak krzyczała, jakby to nie u' Todosa, ale u niej coś ukradziono.

— Czyś ty tę kaczuszkę doglądała? Czyś ty do niej rąk dołożyła? Czyś dla niej rzesę zbierała? Co? I wyciągnęłaś rękę po cudze? A co Pan Bóg przykazuje? Czy wy, wraz z nasieniem, w Boga nie wierzycie? Co Bóg przykazuje? Nie kradnij! A ty tego nie wiesz i twoje dzieci nie wiedzą!

Za nią i inni zaczęli pokrzykiwać:

— Alboż dadzą radę żyć, jak będą znali przykazania boże?

— Trzeba ją obmacać, może jeszcze co u kogo ukradła!

— Zmusić ją, żeby się odezwała! Czemu nic nie gada?

— Aha, połknęła język, ale my jej zaraz nowy przyczepimy!

— Do gminy z nimi, tam prędko się rozezna ją, co i jak.

— A po co prowadzić tak daleko? Można i tu dać jej takiego łupnia, żeby sobie raz na zawsze zapamiętała!

Nareszcie odezwał się Todos:

— Spadli Cyganie na wieś jak te kruki, kradną, oszukują, ale władza na to nie patrzy. Niechby ich wyłapali i wszystkich pozamykali.

Z tłumu już nalegano:

— Po co do gminy? Podnieść kieckę, wziąć zamaszystą różgę i po całym gadaniu!

— To jej nie oduczysz — obstawał przy swoim Todos. — A władza, jak zechce, zrobi z nią porządek.

— Toż trzeba ją będzie gdzieś zamknąć — sprzeciwiali się. — A u nas w gminie nie ma nawet żadnej komórki.

— Znajdzie się!

— A dzieci? Dzieci też zamykać?

— Jak już nauczyć, to wszystkich, inaczej szkoda zachodu.

Cyganka cały czas milczała. Niemowlęta też nie było słyhać. Żadne z dzieci nie otworzyło ust — czy się bały, czy co, ale nie odzywały się ani słowem. Może wiedziały, że nie trzeba dolewać oliwy do ognia? Może już nieraz były w takich opałach?

— A gdzież jest ta kaczka — odezwała się Hanka. — Została na obejściu, tak? Nikt jej nie wziął, nie ukradł? To czy warto przez jedną głupią kaczkę podnosić taki gwałt?

Tłum przycichł.

— Cudzego ci nie żal — rzekł Todos. — Cudze byś rozdawała, ale sama trzaski nie podarujesz.

Hance żal się zrobiło nie tyle Cyganki, ile jej dzieci, co tylko błyskały tymi swoimi czarnymi węgielkami. Zaczął w niej wzbierać gniew na Todosa.

— Wyście przecie święty i pobożny — mówiła. — I taki słodki, aż nudno. I waszej kaczki nikt nie ukradł, została w domu. Toż jakby do mnie przyszli prosić, czyż ja bym nie dała? — Hanka już zapomniała, jak się zamykała przed

Cyganami. — Czego trzymacie kobietę za rękaw. Ano, puście! Puszczajcie, powiadam!

Todos ani myślał słuchać. Wystawił przed siebie laskę, jakby chciał rozsunać ludzi. Hanka zaskoczyła mu drogę, odtrąciła laskę.

— Nie urządźcie tu samosądu! Jak wy we Święta czy na Wielkanoc chodźcie z workiem i ludzi obieracie, to można, co? A ich za co karać? Za to, że świat jest taki?

Bachurka też przerzuciła się na stronę Hanki.

— Jużście ich postraszyli, a teraz puście, niech sobie idą.

— Jaki ten Todos zawzięty — dorzucił ktoś z boku. — Jak się wczepi zębami, to trzyma jak wściekły.

— On za swoje dobro Boga by sprzedał.

I przecież wybronił Cyganekę, Todos ją puścił. Ludzie się rozstąpili, a ta dalej stoi pośrodku ulicy, nie rusza się. Potem jakby się opamiętała, spuściła głowę i nie spojrzawszy na nikogo, poszła. Dzieci za nią. Zbarażanie patrzyli, jak się oddalają. I Todos patrzył, wsparłszy się na lasce i obłapiwszy ją obiema rękami, jak diabeł grzeszną duszę.

O świtaniu, czy może jeszcze w nocy, Cyganie znikli. Ot, byli — i nie ma ich, została po nich tylko wypalona trawa nad stawem. A Hanka długo jeszcze ich wspominała, szczególnie tę Cyganekę. Nie, ona nie jest wrogiem dla swoich dzieci, ani dla siebie, nikomu nie jest wrogiem... A powiedziała coś takiego, co nie wychodzi z pamięci, choć chciałoby się zapomnieć. I niby nieprawdę powiedziała, a przecie to nęka i nęka...

Nie pokrywała swojej chałupy ani przeszłego roku, ani w tym nie zbierała się kryć. Godziłoby się także zamienić kilka lat, bo całkiem już strupieszały, ale Hanka się nie spieszyła. Ino patrzeć, jak miała zwoływać tlokę. O drzewo już się postarała, majstrowie zrobili koło niego, co trzeba, i teraz leżało w chlewiku, przykryte badyłami, żeby kury się po nim nie tłukły i nie paskudziły. Okienne ramy też gotowe, i drzwi, i odźwierki — niejedyn raz przychodzili do niej Hordij Pylawec i Makar Szynkarenko, ciosali, strugali. Miała już i gwoździe, i klamki, i zawiasy. Ciężko teraz z żelazem, ale potrafiła zdobyć. W myślach porywała się nawet na blaszany dach, ale skąd wziąć tej blachy? Powiadali, że jakiś człowiek z Nowej Grobli pokrył swoją chałupę baliami. Nakupił dużo balii, porozginał — i miał materiał na dach. Ale te balie nie leżą na ulicy, także trzeba kupić, płacić pieniądze, a u Hanki pieniądze nie rosną. No cóż, trzeba będzie kryć słomą, snopki dostanie z kołchozu.

Gdzie jeszcze ta nowa chałupa, ale kiedy Hanka myślała o tym, że trzeba się będzie przenieść ze starej, to mimo radości ścisnął jej serce leciutki żal. Niby i nie szkoda porzucić starej chałupy, niesłodko się w niej żyło, a przecież piękące szpileczki żalu kłuły i nie dawały spokoju. Wtedy zaczynała sobie przypominać całą swoją przeszłość. Stawał jej przed oczami ojciec, czarny zimą i latem jak grudka ziemi. A oczy miał ciepłe, jak farbka niebieskie. Ojciec nie umiał czy nie chciał mówić — milczkiem jadł śniadanie, milczkiem wychodził w pole czy do koni. Jak zebrała się kiedy groma-

da chłopów, to i tam nie było słycać jego głosu, a jak byli gdzieś na weselu czy w gościnie i wszyscy śpiewali, ojciec też siedział w milczeniu, tylko przyglądał się innym uważnie, nieomal zaczepnie, a w ciepłym barwinku jego oczu świeciła się jakaś myśl... W przeciwieństwie do ojca, matka Hanki lubiła pogadać, poplotkować o wszystkich swoich znajomych. Podobna trochę do Cyganki, zawsze skora do śmiechu, Stepanida szwendała się po sąsiadach, ale najwięcej po chałupach różnych krewniaków. Znała wszystkich do dwunastego pokolenia, a może i jeszcze dalej, i to nie tylko w Zbarażu, ale i po okolicznych wsiach; wiedziała, co się komu urodziło, czego się kto dorobił, jaka się komu przytrafiła bieda. Kiedy ktoś z jej dalekiej rodziny żenił się albo wychodził za mąż, ich krewniaków też znała, a kiedy bywała na jarmarku w Nowej Grobli czy w Turbowie, to naokoło — sami jej znajomi, a połowa z nich to krewni. Hanka zawsze słuchała jej z ciekawością, bo matka, poszukawszy w zakamarkach swej niezawodnej pamięci, potrafiła dowieść, że ten a ten czy ta a ta to ich krewni, ale tacy już dalecy, z takiej bocznej linii, że sami się tego nie domyślają. I Hanka, wtedy jeszcze mała dziewczynka, całkiem innymi oczami zaczynała patrzeć na tego wujka czy ciotkę. Już nie wydawali się jej obcy, ale jakby bliżsi i bardziej rozumiali... Stepanida lubiła też chodzić w gościnę, a kiedy bywała w Kurzawie czy jakiejś innej wsi, zawsze odwiedzała swoje siostry, braci, wujenki, szwagrów, pociotki... I gniewała się, kiedy ktoś szedł przez Zbaraż i do niej nie wstąpił.

Wspominała Hanka swoje dzieciństwo. Od małego pasła bydło, aż do dziewczynskich czasów. Wkładała do torby flaszkę mleka, brała kawałek chleba, ząbek czosnku, słoniny na palec i szła na cały dzień. Pasła razem z chłopcami, to nabrała od nich różnych nawyczek, powiedzonek, piosenek. Zachowywali się przy niej tak, jakby ona też była chłopcem.

Był przed wojną w Zbarażu popędliwy, prędki do kłótni, w zapalczywości gotów do bezmyślnego czynku, smagły i kosooki chłop, którego przezywano Czerkiesem. Pokłócił się o coś z ojcem i zapowiedział, że spali mu chałupę. A nieraz wtedy się zdarzało, i dziś zresztą nie bez tego, że nagle śród nocy zajmie się czyjaś chałupa, niemy ogień huczy i klekoce, strzela snopami iskier, a ciemność to ustąpi przed pożarem, to zatopi go na krótką chwilę, żeby znowu ustąpić. Ojciec nie sypiał wtedy od wieczora do białego rana; odziawszy się ciepło, brał do ręki zamaszysty kij i chodził po obejściu, po ulicy, zasadzał się w ogrodzie, czujnie nasłuchując i wypatrując, czy gdzie co nie zaszeleści, czy nie mignie jaki cień... A za dnia także musiał ktoś siedzieć koło chałupy, pilnować. Ojciec zesechł, jeszcze więcej szerniał i zrobił się taki zły, że bez przyczyny kłócił się ze wszystkimi, burczał, patrzył podejrzliwie. Długo to trwało, póki Czerkies nie wyjechał z ich wsi, zgłosił się gdzieś na robotę. Dopiero wtedy ojciec odetchnął... Odetchnąć, odetchnął, ale długo jeszcze budził się w nocy i wychodził na dwór, wypatrując ze wszystkich stron, czy się ktoś nie skrada... A matka, która przez tego Czerkiesa chciała sprzedać chałupę i uciec na

inną wieś, gdzie by nie mógł ich znaleźć, jeszcze długo, długo potem mówiła do ojca, że gdzieś tam pono jest do sprzedania ładna chałupa, niedawno postawiona, i tam, powiada ją, można by coś napytać, i jeszcze gdzie indziej...

Chałupa... Kiedyś ojciec umyślił przestawić ścianę, tę od ogrodu, bo całkiem się już przechyliła, podpierali ją drągami. Zaczął nosić workiem glinę. Przyniósł raz, przyniósł drugi, a potem nie ma go i nie ma. Myśleli, że się gdzieś z kimś zagadał, a jak się zmierzchno, zaczęli szukać, rozpytywać. Znaleźli go zasypanego w gliniance. Wszyscy wybierali glinę koło drogi, głęboko wkopali się w bok, no i zawaliło się. Kiedy ojca wyciągnęli, czuć go było suchą ziemią i robakami, twarz miał wykrzywioną z bólu, a w zaciśniętych dłoniach trzymał pełne garście gliny. Hanka była wtedy jeszcze mała i zapamiętała nie tyle sam pogrzeb, co stypę po pogrzebie. Zebrało się pełno ludzi, a wszyscy pochmurni, jakby dotąd jeszcze każdy z nich czuł na sobie ciężar trumny. Ale kiedy popili, zaczął narastać gwar, rzekłbyś, na lekkim wietrzyku zaszumiała trawa; a potem ten gwar był coraz głośniejszy, jakby trawa stała się gęstsza albo wiatr powiał silniejszy. Wszyscy mówili, jaki to nieboszczyk był rozumny i sprawiedliwy, i do roboty zdatny, i jakie miał dobre serce, a jakie złote ręce! Że dobrzy ludzie idą do ziemi, a złych ziemia nie chce przyjąć. I nagle Hanusia odczuła, że ojciec naprawdę był rozumny i sprawiedliwy, zrozumiała, że nigdy go już nie będzie. Rozszlochała się i ukryta za chałupą długo płakała. Przystawała na chwilę,

brała grudkę ziemi, patyk czy jakieś źdźbło, przyglądała się — wszystko jest takie, jak było, jakby nic się nie stało, i wszystko pozostanie takie same, i niebo, i ich wieś, i cały świat — i znowu wstrząsał nią szloch...

Hanka podnosi się z leżanki, staje pośrodku izby. I wydaje jej się, że nie jest tu sama, oto wróciły do niej wszystkie przeżyte dni, cała jej przeszłość, wszystko, co w niej było dobrego i złego, i wszystko to postawało popod ścianami, patrzy na nią ślepyimi oczyma z kątów, wygląda z pieca, spod łóżka. I jakby mówiło: „Postawisz sobie nową chałupę, przeniesiesz się do niej i będziesz się cieszyła myśląc, żeś o wszystkim zapomniała. Ale twoja przeszłość przeniesie się razem z tobą, i twój niegdysiejszy ból też wejdzie do nowej siedziby, i twoja niedorośla radość. Wspomnienia przeniosą się razem z tobą, choć ich o to nie będziesz prosiła. I cień twojej matki pójdzie za tobą, i ojca, i cień twego skąpego szczęścia i twojej goryczy”.

Hanka opęda się ręką od tych myśli.

Kogo poprosi na tłokę? Najpierwej, ma się rozumieć, babkę Bachurkę. Jej nawet nie trzeba prosić, sama przyleci, bo już nie może się doczekać. Co tu gadać, bez babki się nie obejdzie! Bo kto dla zmęczonych ludzi ugotuje taki smaczny obiad jak ona? Kiedy jest gdzieś wesele czy tłoka, komuś dziecko się urodzi czy komuś się zemrze, zawsze wołają Bachurkę, żeby gotowała. Ona nigdy nie przetrzyma barszczu na ogniu, jej pierożki z mięsem czy serem są takie pulchne i rumiane, że same do gęby się proszą, a już przyrządzić pieczeń czy duszoną kapustę

z mięsem, czy choćby smacznie zrobić taką зда-
wałoby się prostą rzecz jak zalewajka — lepiej
od Bachurki nikt nie potrafi. „Bo ja — lubi
nieraz mówić Bachurka, ale nie żeby się chwali-
ła, broń Boże! — ja rękami czuję, nie tylko
widzę oczami, ile trzeba ten bochenek trzymać
w piecu, żeby się w sam raz upiekł, żeby od
spodu nie odstawało i z wierzchu żeby nie po-
pękał. A jak długo trzeba piec napalać, to czu-
ję po gębie.”

Dalej trzeba koniecznie poprosić — Hanka
mimo woli się uśmiechnęła — Jawdoszkę Ław-
ruszczenko. Ta jest z pracowitego rodu, z tych,
co to sobie wszystko zrobią i innym jeszcze
pomogą, bo nie mogą usiedzieć bez roboty.
Kiedy Jawdoszka widzi, że ktoś siedzi z zało-
żonymi rękami, a robota czeka, nie zmilczy.
Nie tylko nie zmilczy, ale zakasawszy rękawy
i podatkawszy spódnice pokazuje, jakiej mat-
ki i ojca jest dzieckiem. O, bez Jawdoszki
chałupy się nie postawi, tak samo jak bez Li-
kory.

A czemu nie można się obejść bez Likory?
Czyż z niej taka niezastąpiona robotnica albo
kucharka? Wcale nie. Ale za to Likora śpiewa
tak, że bez niej śpiewanie nie jest śpiewaniem,
pieśń nie jest pieśnią. Kropelką wódki zwilży
wargi, zarumieni się, spojrzenie jej łagodnieje,
i zaczyna płynąć z jej piersi cieniutki strumy-
czek. I jest w tym strumyczku jakaś słodka
żałość, tęskność kobiecej duszy, aż chwytła za
serce cierpki żal. Likorze wystarczy posłyszeć
tylko melodię i już, patrzajcie, sama sobie ukła-
da pieśń; posłyszysz tylko słowo, a ono w niej
zakiełkuje i daje nie jeden pęd, ale całą niwę.

Choć się niby pogniewały z Likorą, ale kto o tym wie? A Likora przyjdzie, bo nigdy gniewu w sercu nie chowa.

Jak to ona śpiewa, kiedy panna młoda wraca do ojcowego domu? I Hanka cichutko zanuciła:

A wczora z wieczora burza się zerwała,
A o północy woda zieleń zabrała.
Zasmuciły się Natalczone družki,
Czym ustroiły Natalce wianuszek?
Oj, owsem, owsem, czerwoną kaliną,
Czerwoną kaliną i dolą szczęśliwą.

Uśmiechając się do siebie Hanka powtórzyła:
„Oj, owsem, owsem, czerwoną kaliną...”

Przypomniało jej się na króciutką chwilę własne wesele. Jak ją obsypywano chmielem i ziarnem, jak obsypano miedziakami; wieczór matka wyjęła zza pazuchy maluśki węzełek, rozsypała i położyła jej na dłoni dwa złote czerwońce z carem Mikołajem; potem je matka zabrała, powiedziała, że da jej przed śmiercią; umarła i nie dała, szukali, ale nie mogli znaleźć. Hanka zaraz odegnała od siebie te wspomnienia, jakby tego wszystkiego nigdy naprawdę nie było.

Wody w beczce dzieci same nawożą ze stawu, same też będą polewały. Ale do mieszenia gliny trzeba mocnego chłopca poprosić, i to nie jednego, bo spróbuj pochodzić z końmi, kiedy nogi więzną w glinie, że trudno je wyciągnąć. A jak nie będzie koni czy chłopów, wtedy baby same podkaszą spódnice i będą miesić; będą deptać i deptać rozkisałą glinę i choć to ciężko,

ale w gromadzie, jak to się mówi, nawet ojca łatwiej bić... Kowal Panas powiedział, że przyjdzie, Klara Stefanyszyn się obiecała, nawet Sońka Twerdostupicha zaczęła ją kiedyś i pytała, czemu jej nie prosi na tłokę. Przyjdzie, ma się rozumieć, ciotka Gusta, to rzetelna kobieta, bez przypominania przyjdzie. Do Hordija Pylawcia trzeba wstąpić, do Makara Szyńkarrenki także. Przechodziła w myśli cały Zbaraż, wszystkich krewniaków po okolicznych wsiach — oho, ile to ludzi będzie jej pomagać, toż za jeden dzień chałupa stanie jak dzwon, a potem tylko podeschnie i...

Hanka zarumieniła się z radości. Jeszcze nie ma tej tłoki, gdzie jeszcze ta chałupa, a tak jej wesoło, jakby już wszystko było zrobione, jakby wszyscy siadali już do stołów ustawionych na dworze pod wiśniami, żeby powieczerać, żeby zaśpiewać:

A wczora z wieczora burza się zerwała,
A o północy woda zielę zabrała...

Ludzi w klubie jak pestek w dobrym arbuzie. Na przodzie, przed sceną, siedzą ludzie starsi i poważani albo tacy, co sami się szanują, jak ich inni nie chcą szanować. Chłopcy i dziewczęta tłoczą się pod ścianami i po ciemnych kątach, gryzą pestki słonecznika, niekiedy dobiega stamtąd cienki pisk dziewczęcy i gruby śmiech parobków. Wszyscy palą. Dym kłębi się nad głowami, podpira powałę, w siwych smugach znikają twarze. Dzieciska kręcą się pod nogami niby małe okońki w zaroślach osoki,

ale bardziej przewidujące i spokojniejsze już posiadały na samym przodzie, wprost na zaplutej podłodze. Chociaż na kilku ławach jest jeszcze trochę wolnego miejsca, żadne z dzieci nie próbuje nawet na nich usiąść, bo wiedzą, że ci, co tam teraz rechocą popod ścianami, niedługo zaczną szukać miejsca i ich przepędzą.

W jednym kącie — skupiona cisza. Grają tam w durnia. Gospodarz klubu, rudy i kłapouchy Paweł Drało, który chyba dlatego tylko prowadzi klub, że umie grać na harmonii, też tam stoi. Zagląda poprzez schylone głowy, kto czym bije i kto przegrywa, ale nie zapomina od czasu do czasu rzucić błagalnie:

— Kończcie, chłopcy, nie można tak, zaraz się zacznie... Słyszycie, chłopaki?

Na scenie stoi stół nakryty czerwoną materią, dwie ławki dla prezydium, a także trybuna — wysoka skrzynka z pochyłym wierzchem, na niej karafka z wodą, połyskująca nie startymi kroplami, i graniasta szklanka. Tymczasem napchało się jeszcze więcej narodu, jeszcze więcej dzieci się kręci; zadymione powietrze z każdą minutą robi się gęściejsze, choć nożem kraj! Gwar staje się coraz głośniejszy, bo mówią wszyscy i w tym hałasie ginie dziewczęcy pisk, prawie go nie słysząc... Nareszcie na progu stanął Drobacha, zmrużył od światła te swoje mongolskie oczy, że zrobiły się jak szparki, w których tylko migoce żółtawy blask. Za Drobachą wszedł milicjant. Szeroka czapka zakrywa mu czoło, o mało na oczy nie spadnie, całe szczęście, że się zatrzymała na uszach. Te uszy ma jak dwa sterczące kapuściane liś-

cie, a co piegów — jak na indyckim jajku. Dalej przestąpił próg Maksym Tiupa i jeszcze kilkoro. Hałas trochę przycichł, wszyscy na nich patrzyli i od razu ktoś krzyknął:

— Róbcie wreszcie ten sąd, dokąd będziemy czekać!

Nowo przybyli przepychali się do sceny, jeden po drugim siadali za stołem. Drobacha był jakiś niespokojny. To rozpina guzik swojej zielonej bluzy, to zapina, albo bębni palcami po czerwonym stole. I nie mówi ani słowa. Dopiero jak się uciszyli, jak wybrali do czerwonego stołu jeszcze kilku spośród aktywistów, Drobacha nie wstając z miejsca krzyknął:

— Zwolnijcie pierwszą ławę!

Hałas umilkł. Zaległa głęboka cisza, tylko w siwym dymie czerniały ciemne plamy twarzy i błyszcząły oczy. Ci z pierwszej ławy nie zrozumieli, co i dlaczego, i nie ruszyli się. Drobacha powtórzył, aż w uszach zadzwoniło:

— Zwolnijcie pierwszą ławę! I to prędko! — A kiedy ludzie wstali i odeszli od ściany, to znowu: — Naruszyście artelowego statutu, zajmijcie swoje miejsca!

Przez salę przetoczył się lekki szmerek, ale nikt się nie kwapił wyjść naprzód. Wtedy Drobacha wstał, wsparł się pięściami o stół:

— Mam wywołać imiennie? Czy sami wyjdziecie? Ci, którzy otrzymali wezwanie na gromadzki sąd?

— Imiennie! — zawołał basem dryblasowaty Horyk, którego lewe ucho płonęło jak kalina. I wciągnął głowę w ramiona, ale potem się ośmielił i zachichotał w kułak.

— Można imiennie — rzekł Drobacha i na-

dając swej twarzy zimny i nieprzystępny wyraz, zawołał: — Maryna Sznajder!

Wszyscy zaczęli się oglądać szukając oczami Maryny Sznajder. Ta, okutana krasą chustką tak, że tylko oczy było widać, stała przy drzwiach.

— Idź, Maryno! — krzyknął ktoś.

— Stoisz tu, to chociaż sobie posiedzisz, idź!

— Idź, Maryno, toż cię nie zjedzą!

Ale kobieta jakby wrosła w ziemię. Tymczasem Drobacha wymieniał dalej:

— Hryćko Kisiel! Nie chowaj się za cudzymi plecami, i tak się nie schowasz, nie uciekniesz przed odpowiedzialnością!

Ludzie śmieli się wesoło. Bo Hryćko Kisiel, wysoki i chudy, głową sięgał prawie powały — niech się taki spróbuje schować! Kiedy idzie, ugina nogi w kolanach i wciąga głowę w ramiona, chce się wydawać choć troszkę mniejszy, bo jemu samemu nieswojo, że tak wybujał.

— Toż nie uciekam, stoję — mruknął Kisiel.

A wokół już zaczęli dobrodusznie z niego pokpiwać:

— Alboż to kisiel? To dziesiąta woda po kisielu!

— Dziesiąta woda nie po kisielu, a po wódcel

— Bo też u niego ona różna bywa: raz z biedą, a dwa razy z wodą!

— Jak już u kogoś pić, to u Maryny — jak wódką nie dogodzi, to sama bez uroku.

— Oksen Tyłymonczyk — wyliczał dalej Drobacha, przeczekawszy śmiechy i jeszcze mocniej wsparłszy się o stół — na pierwszą ławę!

— Posiedzę i tu — krzyknął gdzieś z tylnych rzędów ruchliwy, czarny jak kruk Tyłymonczyk.

— Tamto miejsce bardziej honorowe! — wy-

krzyknął Hłemezdyk, który też przyszedł na zebranie i jako człowiek poważany we wsi siedział na przodzie, trzymając kaszkiet na kolanach. -

— Nie trzeba mi honorów, mnie żeby tylko dobrze było! — odciął się natychmiast Tyłymonczyk, błyskając czarnymi oczami i aż się uniósł na ławie, żeby zobaczyć Hłemezdyka.

— Tyłymonczyk swój honor nosi w kieszeni, jak machorkę — niewesoło zażartował Drobacha. — Włoży rękę do kieszeni, zwinie skrętek i ten honor puszcza z dymem.

— To taki ze mnie zbój? — podchwycił Tyłymonczyk. — W kieszeni, powiadacie?

Drobacha spojrział na niego ostro, chwilę patrzył w milczeniu, jakby ważył coś w sobie, a potem powiedział z naciskiem:

— Towarzyszu Tyłymonczyk, trzeba uszanować otwarte zebranie kołchozu, bo za zniewagę zostaniecie ukarani!

Przy tych słowach przewodniczącego milicjant poprawił czapkę, odsłaniając białe, spłaszczone czoło i ujął się pod boki.

— Dlaczego nie, ukarać go! — krzyknął Hryćko Kisiel. — Ma sześć przepracowanych dniówek na rok, to mu odpiszcie dziesięć.

— Toż to się dopiero człowiek wzbogaci! — dorzucił ktoś ze śmiechem.

— A pewno, że się wzbogacę — zawołał Tyłymonczyk. — Jak ten łysy, co to włosy z tyłu do przodu zaczesuje i nie ma ich ani z tyłu, ani z przodu.

— Tak ci wesoło, Oksenie? — kpiąco rzucił Drobacha.

Ta kpina niespodziewanie otrzeźwiła Tyły-

monczyka. Od razu przycichł, zrobił się pokornutki i bąknął:

— A co ja? Ja, chwalić Boga, nie jestem ły-sy...

— A także proszę na pierwszą ławę Hankę Wołoch — powiedział przewodniczący kołchozu.

Wszyscy zaczęli się rozglądać szukając oczami Hanki. Nigdzie jej nie było.

— Może jej nikt nie powiedział?

— Chyba zapomnieli do niej posłać...

— Jestem, jestem — udając babski głos krzyknął Horyk, ale któryś ze starszych parobków tak go zdzielił po kaszkiecie, że chłopaczysko aż przysiadło, zagryzając wargi.

Paweł Drało, który stał obok, tylko się uśmiechnął z zadowoleniem: a przecież się doigrałeś, jak ci mało, to wieczór długi, inni ci dołożą.

— Nie ma Hanki! — rozległy się wreszcie głosy z kilku stron.

— Tiupa, bierz milicjanta i skoczcie tam na jednej nodze! — polecił Drobacha.

Kiedy Tiupa z milicjantem wyszli, przewodniczący nalał do szklanki wody, upił łyczek i mówił dalej:

— Towarzysze, niech podsądni nie myślą sobie, że będziemy ich błagać, żeby usiedli tam, gdzie należy. Podsądni powinni zrozumieć, że nasza wola to dla nich rozkaz. I my dziś możemy ich ukarać, ale możemy też ułaskawić.

Po tych słowach pierwsza zaczęła się przeciskać do przodu Maryna Sznajder. Widząc to Hryćko Kisiel machnął ręką — było nie było — i też wstał. Oksen Tyłymonczyk, patrząc na nich, wyszedł także. Posiadali na zwolnionej ławie, ale z daleka jedno od drugiego. I wtedy

w klubie zrobiło się tak cicho, że wyraźnie sły-
chać było sapanie jakiegoś dziecka.

— No cóż, towarzysze, zaczynamy sąd gro-
madzki nad członkami naszego artelu, którzy
złośliwie zajmują się pędzeniem samogonu...

Po tym sądzie odebrano Hance ogród. Niby
za to, że spekulantka, że pędzi samogon. Poszła
do rejonu domagać się sprawiedliwości i prze-
cież dobiła się swego. Dzięki Semenowi Bałce,
to on jej dopomógł. Gdyby nie Semen, kto wie,
jakby się to wszystko skończyło. A on sam ją
pouczył, do kogo ma się udać i co mówić. Zwró-
cili Hance ogród, wszystko jak się należy.

Niedługo potem Drobachę przeniesiono na kie-
rownika mleczarni w Turbowie. A na jego miej-
sce przysłano innego — młodszego, bardziej za-
radnego. Na zebraniu wyborczym ktoś się wy-
rwał, że lepiej kogoś ze zbaraskich, u nich też
są ludzie, co się znają na rzeczy, ale w końcu
przewodniczącym został ten przysłany. Okazał
się człowiekiem nie za bardzo gospodarnym, ale
za to sprawiedliwym. Choć, co prawda, nie dla
wszystkich. Ale jak było z Hanką Wołoch? Wi-
dać dużo o niej słyszał, bo kiedyś wezwał ją do
zarządu i obiecał, że pomoże postawić chału-
pę.

— Wy mnie pomożecie? — powiedziała mu na
to Hanka. — Żebyście tylko nie przeszkadzali,
to i za to bym podziękowała.

A przecież pomógł. Nawet sam przyszedł na
tłokę, siedział z ludźmi, pił, śpiewał. Ma się ro-
zumieć, pierwszą śpiewaczką była Likora. Nie
obyło się bez Duni Ławruszczenko. I Klara Ste-

fanyszyn, która na ten czas przyjechała z miasta, też przyszła. Prawie cała wieś się zebrała, a co krewniaków z różnych stron poprzychodziło!

Bachurka czuła się tak, jakby to jej chałupę stawiali. Umiała stara ugotować, ale umiała też zapraszać do jedzenia. Jeszcze nie zdążył ktoś zjeść studzieniny, a ona już znowu pełną miskę podsuwa. Ubrała się dziś w koszulę z wyszywającymi rękawami i długą, sutą spódnicę. A na głowie miała kwiecistą chustkę, dużą, ciepłą, choć na dworze był upał.

Przyszedł na tłokę i Stepan Rojik. Ze strzelbą.

— Wujku! — wołano. — A po coście tę luśnię przytaszczyli? Gwoździe będziecie nią zabijać?

— A właśnie — odpowiadał kolchozowy stróż. — W twoją głowę.

— To znajdźcie sobie jakąś głupią głowę!

— W głupią nie wejdą, bo twarda, a twoja w sam raz!

Przy stole też siedział ze strzelbą.

— W naszej służbie — mówił do HANKI — trzeba mieć dobrego psa. Stróż bez dobrego psa to nie stróż.

— A gdzie jest wasz?

— Zdechł. Teraz szukam szczeniaka, co byłby zły i szczekliwy. Ale czy to dzisiaj są takie szczeniaki? Te dzisiejsze to nie psy, a tflu!

Hłemezdyk też zawitał na tłokę. Odwołał HANKĘ na bok i podał jej jakiś pakuneczek.

— Weź, to śledzie, choć tanie, ale smaczne.

— Ależ po co?... Oj, Boże, nie trzeba!

— Bierz, bierz, tyle tu narodu, wszystko zje-

dzą. A jak zostanie, to też nie ma zmartwienia, u dobrej gospodyni nic się nie zmarnuje.

A Homozów nawet na podwórzu nie było widać. Ani Todosa, ani Martochy, jakby pomarli... Pewno zamknęli się w chałupie i siedzieli tak od rana do wieczora. Dopiero wieczorem przebiegła Martocha z wiadrem do studni, zerknęła ukradkiem na sąsiedzkie obejście, raz, potem jeszcze raz i ze spuszczoną głową, przechylona na bok, z pełnym wiadrem prędiutko podreptała z powrotem, jakby to jej było bajbardzo, jakby nawet nie zauważyła.

Likora śpiewała:

Oj wczoraj, oj wczoraj,
Oj wczoraj się upiłam
I za rubla, i za dwa,
I za rubla, i za dwa
Kaczorka sprzedałam.
A trzeciego muzykantom rzuciłam...

Twarz jej przybladła, czoło świeciło się suchym, chłodnym blaskiem, a pierś to podnosiła się, to opadała, i nie chciało się wierzyć, że taki przejmujący głos może mieszkać w tym wątłym, chudziutkim ciele... Rojik z wielkim napięciem wpatrywał się swoim jednym okiem w Likorę, zaciskał i rozwierał pięści, próbując jej wtórować:

— I za rubla, i za dwa, kaczorka sprzedałam...

No i już po tłóce, a jeszcze trochę — i przeniosła się Hanka Wołoch z dziećmi do swej nowej chałupy. A w nowej chałupie — nowe życie, nowe troski i kłopoty...

EPILOG

Minęło pięć czy sześć lat. Późną nocą pisała Hanka list do swego starszego syna. Uczył się w szkole przyfabrycznej, dawno już nie był we wsi, to i bolało ją serce.

„Pisane w środę, dnia szóstego, roku pięćdziesiątego czwartego” — wypisała krzywo i zamyśliła się. Co dalej? Złożyła usta w trąbkę i z przydechem wypuszczając przez tę trąbkę sepleniące powietrze, napisała: — „Dzień dobry, Iwanie!”

Nie wiedziała, jaki będzie ten dzień, kiedy otrzyma od niej list, dlatego życzyła mu, żeby był dobry. Za oknami siał deszcz, jesienna szaruga hulała po Zbarażu i chyba po całutkim świecie. Hanka skuliła się, popatrzyła na swoje ręce, pokryte gęsią skórą.

A że dalej myśli ani rusz nie chciały układać się w słowa, to w duchu zwracała się do syna:

Za dniówki dostaliśmy pieniądze, różnego ziarna, a cukru nigdy jeszcze tyle nie dawali, co w tym roku. Teraz całą zimę będziemy pili herbatę. Niedługo zrobię paczkę dla ciebie, to ci też pošlę. Trochę sprzedałam na targu i za te pieniądze kupiłam koszulę dla Tolka, a Sani kupiłam marszczoną sukienkę. Nasza dziewczucha uczy się dobrze, nie wyłazi z tej szkoły, nawet by tam spała. Tolek też wyślepia oczy nad książkami, muszę go paskiem zaganiać do spania. Niech się uczą, może z nich także wyrosną takie uczone ludzie jak z ciebie.

Posyłam ci naszą fotografię, żebyś tam patrzył na nas i żebyśmy byli wszyscy razem.

Dużo u nas nowości. Nie chodzimy już na nogach do roboty, całe lato wozili nas samocho-

dami. Niby to wygoda, ale trzeba bardzo wcześnie wstawać, bo jak się przyjdzie później, to samochód już odjechał i musi się iść na piechotę. Bachurka wzięła sobie dziecko z przytułku, całymi dniami ten chłopczyk u nas przesiaduje, a takie to płaksiwe, że niech ręka boska broni. Bachurka patrzy na niego i też beczy, aż ludzie się śmieją. Duńka Ławruszczenko ma bliźniaki, nacieszyć się nie może.

Umarła Todosicha, niech jej ziemia lekką będzie, a Todos przyjął jakąś starą babę z Nowej Grobli, żeby koło niego chodziła. Ta baba pije, Todos już ją wypędzał, ale ona nie chce iść, bije się z Todosem i chce go za coś tam podać do sądu. Kiedyś złapała Todosa za brodę, jakbym ja ich nie rozdzieliła, mogło się to źle skończyć.

Jak zrobili u nas cegielnię, to teraz każdy chce się budować. Jeszcze dobra chałupa, a biorą i wałę, na Chacapetówce pięcioro się buduje, skądś biorą materiał, ściągają się na wszystko. Teraz łatwiej niż wtedy, jak ja naszą stawiałam.

A największa nowina — Hordija Pylawcia na przewodniczącego wybrali. Nie chciał, mówił, że stary, ale bardzo go wszyscy prosili. Przy nim nikt nie kradnie, sumienie nie pozwala, bo wiesz, jaki on jest, swoją koszulę by zdjął i drugiemu oddał. A teraz już całkiem dla siebie nie żyje, tak zmarniał, aż się boję o niego. Jakby, mój synu, wszędzie tacy ludzie siedzieli, nie byłoby wojen ani moru, i żyłoby się tak, jak się teraz w naszym Zbarażu żyje.

Jak będziesz jechał do domu na święta, pewno już przymarznie, bo czas, ale jak nawet nie przymarznie, to od samej Nowej Grobli wymoś-

cili już drogę kamieniem, można iść w butach bez kaloszy, dopiero w Zbarażu wzuć, bo tu jeszcze nie zdążyli, a szkoda twoich chromowych butów.

Klarka Stefanyszyn nie przyjeżdża teraz z miasta, ma tam jakąś dobrą pracę, a o Maksymie Tiupie nawet pisać się nie chce. Ile to już było u nas tych przewodniczących, a ten jak był brygadziwą, tak pozostał. A mordę to ma jeszcze więcej spasioną. To człowiek bez sumienia. Powiedziałam mu, że jak ty wrócisz do wsi, to ciebie zrobią brygadziwą. A on mi na to, że nie dlatego stąd uciekłeś, żeby tu wracać. Wracaj, synu, jak najprędzej, dla rozumnych rąk i u nas pracy jest dosyć, a Tiupa bardzo mnie tym dotknął.

U Macedona i Likory przyszło na świat jeszcze jedno dziecko, razem to już dziewięcioro. Swoją najstarszą wydali za jakiegoś żołnierza, nie z naszych, to Hordij dał im maszynę do szycia, od siebie. Na weselu było wszystkiego — narznęli kur, Macedon kupił w mieście dwa indyki, to ja też skosztowałam. Pili monopolkę i taką, a komu było mało, to jeszcze i teraz chodzą do Macedona w gościnę. Zabił dwa wieprzki, wszystko przehulał i teraz Likora pożyczą mięso ode mnie.

A twoja Antoszka, synu, coś ty sobie dla niej piersi kłuł, też wzięła ślub z jakimś z Samgródka. Wielka szycha, jeździ własnym samochodem, a pracuje w Turbowie przy jajkach i jeszcze przy czymś, ale nie pamiętam.

I jeszcze ci coś opowiem o Bachurce. Nakupił gdzieś Hordij pięknych krów i rasowych buhajów. Jeden zerwał się i gonił po obejściu, na-

deszła akurat Bachurka, to ją bucnął i podarł spódnicę. Poszła do zarządu, żeby jej zwrócili pieniądze albo materiał, a przewodniczący dał jej igłę z nitką, że jeszcze dotąd ludzie się śmieją.

Co by tu jeszcze napisać? Bo to nic, tylko o Bachurce i o Bachurce, a czy to nie ma więcej ludzi? Choćby kowal Panas... Ale co tu ciekawego, kuje, jak kuł... Aha, prawda, kuźnię pokryli blachą... Teraz i w ich młynie będą pyłować, żeby tylko postawili do tej roboty jakiegoś porządnego człowieka. Słyszała, że niejeden prosi się na pytel, a nikt jakoś nie pomyśli, żeby ją, Hankę, tam postawić. Nie powiodło się jej kiedyś ze stróżowaniem, ale tu — całkiem inna sprawa. Ona by nikogo nie oszukała i jej by nikt nie oszukał.

Pomyślała i dopisała:

„Żeby nie było wojny, to wszystko będzie dobrze...”